



Rachel Gibson

Uratuj mnie



Gibson Rachel

Uratuj mnie

Z języka angielskiego przełożyła Elżbieta Janota



Rozdział pierwszy

Trzeciego grudnia 1996 Mercedes Johanna Hollowell popełniła najcięższą ze zbrodni znanych w świecie mody. Latami balansowała na krawędzi, łącząc wzorzyste tkaniny z gładkimi i nosząc białe sandały po sezonie. Ale gwoździem do trumny, w której złożono jej wycucie stylu, przewinieniem poważniejszym niż *faux pas* z białym odzieniem w niewłaściwym okresie, okazała się fryzura, którą zaprezentowała na Tekszańskim Balu Świątecznym - oklapła jak rozjechane zwierzątko.

Wszyscy wiedzieli, że im wyżej upięte włosy, tym bliżej do Boga. A gdyby ten ostatni chciał, żeby kobiety czesały się płasko, nie zainspirowałby ludzi do wynalezienia pianek stylizujących, grzebieni do tapirowania oraz lakieru Aqua Net Extra Super Hold. Dlatego wszyscy mieli świadomość, że gładka fryzura to nie tylko pogwałcenie praw mody, ale niemalże grzech. Coś jak picie przed niedzielnym nabożeństwem albo nienawiść do futbolu.

Sadie zawsze była nieco... inna. Dziwna. Nie dziwaczna, jak pani London, która kolekcjonowała koty oraz kolorowe magazyny i przycinała trawnik nożyczkami. W przypadku Sadie chodziło raczej o jej specyficzne pomysły. Na przykład w wieku sześciu lat ubzdurzyła sobie, że odkryje złóża złota, jeśli tylko wykopie wystarczająco głęboki dół. Jakby jej rodzina potrzebowała dodatkowych pieniędzy. Jakiś czas później strzeliło jej do głowy, by zafarbować swoje jasne włosy

na szokujący różowy kolor, a usta malować czarną szminką. Mniej więcej w tym samym czasie odeszła z drużyny siatkarskiej. Każdy wiedział, że jeśli rodzina została pobłogosławiona męskim potomkiem, to musi on grać w futbol. Dziewczynki uprawiają siatkówkę. Taka była zasada. Prawie jak jedenaste przykazanie: dziecko płci żeńskiej grać będzie w siatkówkę, aby nie narazić się na pogardę pozostałych mieszkańców Teksasu.

Innym razem doszła do wniosku, że uczennice z zespołu tanecznego Beaverettes zmusza się do noszenia seksistowskich kostiumów, więc wystosowała do dyrekcji liceum w Lovert petycję o wydłużenie ich spódniczek. Jakby krótka spódniczka mogła okazać się większym skandalem niż płaskie włosy.

Nikt jednak nie winił Sadie za niesłychane pomysły i skłonność do buntu. Urodziła się późno, gdy oboje jej rodzice - surowy ranczer Clive i jego przeurocza żona, Johanna Mae - osiągnęli już dojrzały wiek. Johanna Mae była prawdziwą damą z Południa. Jej rodzina, a także cała reszta lokalnej społeczności, przeżyła pewien szok, kiedy ta uprzejma, hojna dziewczyna zaczęła interesować się Clive'em, mężczyzną starszym od niej o pięć lat i upartym jak osioł. Wywodził się wprawdzie ze starej, szanowanej rodziny, ale, szczerze mówiąc, z natury był zrzędlivy, a maniery miał nieco szorstkie. W przeciwieństwie do Johanny Mae, prawdziwej królowej piękności, która od dziecka zdobywała laury we wszystkich możliwych konkursach, począwszy od Małej Miss, a skończywszy na Miss Teksasu. W wyborach Miss Ameryki zajęła drugie miejsce, a miałyby szansę na pierwsze, gdyby sędzia numer trzy nie sympatyzował z feministkami.

Ale Johannie Mae przypadła w udziale nie tylko uroda, lecz i spryt. Uważała, że mężczyzna nie musi odróżniać wazy na zupe od miseczki do płukania rąk. Wiedziała, że

dobra żona bez problemu wyjaśni mu niuanse między nimi - liczyło się tylko to, żeby męża było stać na jedno i drugie. A Clive Hollowell bez wątpienia mógł sobie pozwolić na zastawę stołową od najbardziej prestiżowych wytwórców.

Po ślubie Johanna Mae wprowadziła się do dużego domu na ranczu Hollowellów, marząc o dzieciach, ale przez piętnaście lat, pomimo wypróbowania każdej dostępnej metody, od prowadzenia kalendarzyka małżeńskiego do sztucznego zapłodnienia, nie zdołała zająć w ciąży. Wreszcie małżonkowie pogodzili się z rzeczywistością, a Johanna Mae oddała się pracy wolontariuszki. Wszyscy bez wyjątku uważali ją za niemal świętą, nic więc dziwnego, że w wieku lat czterdziestu została nagrodzona „cudownie poczętym” dzieckiem. Poród rozpoczął się o miesiąc za wcześnie, ponieważ Sadie - jak powtarzała jej matka - „nie mogła się doczekać, by wyskoczyć na świat i zacząć rozstawiać wszystkich po kątach”.

Johanna Mae spełniała każdy kaprys swojej jedynaczki. Ledwie Sadie skończyła pół roku, matka zgłosiła ją na pierwszy konkurs piękności. W ciągu kolejnych pięciu lat dziewczynka zgromadziła pokaźną kolekcję koron i szarf. Ale z racji skłonności, by trochę za dużo się kręcić, trochę za głośno śpiewać i spadać ze sceny pod koniec numeru ze stepowaniem, nigdy nie spełniła marzenia matki o głównej nagrodzie. Skończywszy czterdzieści pięć lat, Johanna Mae zmarła niespodziewanie na serce, a sen o tytule królowej piękności dla małej odszedł wraz z nią. Jedynym opiekunem Sadie został teraz Clive, on zaś czuł się dużo pewniej wśród krów rasy Hereford oraz zatrudnionych na ranczu pomocników niż w towarzystwie dziewczynki, która wołała, żeby jej buty były pokryte brylancikami, a nie krowim łajnem.

Clive zrobił co mógł, by wychować Sadie na damę. Wysłał ją do Szkoły Wdzięku i Dobrych Manier Panny Naomi, aby nabyła umiejętności, których on jej nie przekazał z bra-

ku czasu albo predyspozycji, lecz żadna szkoła wdzięku nie mogła zrekompensować braku kobiecego wzorca w domu. Podczas gdy pozostałe dziewczynki wracały do siebie i powtarzały lekcje etykiety, Sadie zrzuciła sukienkę i szalała, niepilnowana. W wyniku tej mieszanej metody edukacyjnej potrafiła tańczyć walca, nakrywać do stołu i prowadzić konwersację z gubernatorami. Umiała też przeklinać jak prawdziwy kowboj i pluć jak wszyscy pracownicy rancza.

Krótko po ukończeniu liceum spakowała walizki do bagażnika swojego chevroleta i wyjechała na jakiś modny uniwersytet w Kalifornii, pozostawiając daleko za sobą ojca i poplamione balowe rękawiczki. Od tego czasu prawie nie widywano jej w Lovett. Nie odwiedzała nawet swojego biednego taty. I o ile wierzyć krążącym informacjom, do tej pory nie wyszła za mąż. Co uznawano za po prostu smutne, a do tego niezrozumiałe, bo naprawdę - czy znalezienie mężczyzny mogło być aż tak trudne? Nawet Sarah Louise Baynard-Conseco, która na swoje nieszczęście odziedziczyła budowę ciała po ojcu, Dużym Buddym Baynardzie, zdołała kogoś złapać. Choć prawdą jest, że Sarah Louise poznała swojego małżonka za pośrednictwem serwisu internetowego dla więźniów. Pan Conseco rezydował obecnie w oddalonym o ponad dwa tysiące kilometrów zakładzie karnym San Quentin, ale Sarah Louise wierzyła święcie, że jest niewinny, nie dopuścił się występków, za które został osadzony, i zamierzała rozpocząć życie małżeńskie za dziesięć lat, kiedy to mąż otrzyma zwolnienie warunkowe, a w każdym razie ona miała nadzieję, że tak się stanie.

Poczciwa dziewczyna.

Jasne, zdarzało się, że w małych miasteczkach nie było w czym przebierać, ale przecież właśnie z tego powodu wyjeżdżało się na studia. Każdy głupi wiedział, że zdobycie wyższego wykształcenia nie stanowi najważniejszego celu samotnej młodej kobiety wybierającej się na uczelnię.

Wiedza także się liczyła, bo umiejętność precyzyjnej wyceny sreber prababci na niestabilnym rynku mogła przydać się w każdej chwili. Ale priorytetem studentek stanu wolnego było zawsze znalezienie partnera.

I to właśnie zrobiła Tally Lynn Cooper, dwudziestojednoletnia kuzynka Sadie ze strony matki. Poznała swojego narzeczonego na Tekszańskim Uniwersytecie Rolniczo-Technicznym, a już za kilka dni miała pójść z nim do ołtarza. Mama Tally Lynn nalegała, żeby Sadie została druhną, co poniewczasie okazało się nie najlepszym pomysłem, ponieważ nagle kwestia tego, jaką suknię włoży panna młoda albo jak bardzo imponujący pierścionek zaręczynowy zdobi jej palec, albo czy wujek Frasier odstawi na trochę flaszkę i będzie się zachowywał poprawnie, zesłała na dalszy plan. Najbardziej palącym pytaniem stało się natomiast: czy Sadie Jo zdołała wreszcie złapać faceta? No bo naprawdę - czy to mogło przysparzać aż tylu trudności? Nawet jeżeli mowa o zbuntowanej dziewczynie ze specyficznymi pomysłami i oklapłą fryzurą?

Sadie wcisnęła guziczek na drzwiach saaba i szyba zsunęła się o centymetr. Ciepłe powietrze wdarło się przez szczelinę, a ona uchyliła okno jeszcze odrobinę. Powiew pochwycił kilka kosmyków jasnych włosów i uniósł je wokół jej twarzy.

- Sprawdź wykaz nieruchomości w Scottsdale - rzuciła, przyciskając swojego BlackBeny do policzka. - Znajdź dom przy San Salvador, z trzema sypialniami. - Podczas gdy jej asystentka, Renee, przeszukiwała dokument, Sadie zerknęła na ciągnące się za oknem równiny północnego Teksasu. -Oznaczyli go już jako sprzedany? - Czasem brokerzy czekali kilka dni, zanim oficjalnie odnotowali decyzję klienta o kupnie posiadłości, licząc, że inny agent zdoła uzyskać wyższą cenę. Cwane dranie.

-Tak.

Sadie odetchnęła z ulgą.

- Świetnie. - Przy obecnej sytuacji na rynku liczyła się każda transakcja. Nawet na niewielką kwotę. - Zadzwoń jutro. - Rozłączyła się i wrzuciła telefon do uchwytu na kubek.

Mijany krajobraz składał się ze smug w różnych odcieniach brązu, i tylko widoczne w oddali potężne wiatraki, których skrzydła obracały się leniwie na ciepłym teksańskim wietrze, przełamywały tę monotonię. Przez jej głowę równie powoli prześlizgiwały się wspomnienia z dzieciństwa, a w sercu odżywały dawne emocje, które pozostawały uśpione aż do momentu przekroczenia granicy rodzinnego stanu. Składała się na nie osobliwa mieszanka miłości i tęsknoty, rozczarowania i poczucia niewykorzystania szans.

Jedne z jej najwcześniejszych wspomnień dotyczyły matki szykującej ją na konkurs piękności. Szczegóły zdążyły zatrzeć się w pamięci i tylko niewyraźnie przypominała sobie wkładane przez głowę sukienki i przypinane pasemka sztucznych włosów. Doskonale pamiętała za to towarzyszące temu uczucia. Pamiętała radość, podekscytowanie i dodający otuchy dotyk matki. Pamiętała też zdenerwowanie i strach. Pragnienie, by wszystko poszło jak należy. Chęć spełnienia oczekiwań rodzicielki i fakt, że nigdy w pełni jej się to nie udało. Pamiętała zawód, który Johanna Mae bezskutecznie starała się ukryć za każdym razem, gdy jej córka otrzymywała nagrodę w kategorii „Najlepsze zdjęcie z pupilem” albo „Najładniejsza sukienka”, nigdy nie zdobywając jednak królewskiej korony. A przecież z każdym kolejnym konkursem Sadie starała się bardziej. Śpiewała nieco głośniejsze, z większym entuzjazmem kręciła biodrami i dodawała kolejne wymachy do numeru tanecznego, ale im więcej wysiłku wkładała w te próby, tym gorzej jej to wychodziło - wypadła z roli, z rytmu albo spadała ze sceny. Jej trenerka wciąż powtarzała, by dziewczynka trzymała

się tego, co razem ćwiczyły, i nie zmieniała nic w utartym scenariuszu, lecz ona nie słuchała. Zawsze miała problemy z robieniem i mówieniem tego, co jej kazano.

Potrafiła też mgliście przywołać okoliczności pogrzebu matki. Muzyka organowa odbijająca się od drewnianych ścian kościoła i niewygodne białe ławki. A później odbywająca się na ranczu stypa i ciotki tulące ją do pachnących lawendą biustów.

- Biedna sierotka! - gruchały, pogryzając serowe krakersy. - Co się teraz stanie z biednym osieroconym maleństwem naszej siostry?

Nie była już ani maleństwem, ani sierotą.

Wspomnienia dotyczące ojca przybierały żywsze i konkretniejsze kształty. Jego surowy profil na tle nieskończonego błękitu letniego teksańskiego nieba. Duże dłonie sadzające ją w siodle i to, jak usiłowała się w nim utrzymać, dotrzymując tacie tempa. Ciężar jego ręki na jej głowie, kiedy stała przed białą trumną matki, i jego szorstka skóra, o którą zaczepiały się jej włosy. Odgłos kroków mijających drzwi jej sypialni za każdym razem, gdy płakała w poduszkę, powoli odpływając w sen.

Swoją relację z ojcem określiłaby jako skomplikowaną i od zawsze budzącą w niej sprzeczne uczucia. Na każdy krok w przód przypadał jeden w tył. Emocjonalna wojna, w której ona niezmiennie przegrywała. Im jawniej okazywała emocje, im bardziej próbowała się do niego zbliżyć, tym silniej ją od siebie odpychał, aż musiała się poddać.

Przez długie lata starała się sprostać oczekiwaniom, które wszyscy w niej pokładali. Najpierw matka. Potem ojciec. Wreszcie ludzie z miasteczka, spodziewający się odnaleźć w niej miłą, dobrze wychowaną i pełną wdzięku dziewczynkę. Królową piękności. Kogoś, kto przysporzy im dumy, jak Johanna Mae, albo poprzez swe osiągnięcia stanie się wzorem do naśladowania, jak Clive. W czasach gim-

nazjalnych zmęczyły ją te beznadziejne próby zadowolenia innych, porzuciła je więc i wreszcie zaczęła po prostu być sobą. Patrząc z perspektywy czasu, zdawała sobie sprawę, że jej zachowanie bywało skandaliczne. Czasami celowo do tego doprowadzała, jak w przypadku różowych włosów i czarnej szminki. Nie chodziło o to, że podobał jej się taki styl. Nie eksperymentowała w poszukiwaniu własnego ja. Chciała tylko w ten rozpaczliwy sposób zwrócić na siebie uwagę jedynej osoby na świecie, która codziennie zasiadała z nią do kolacji, lecz jakby nigdy jej nie zauważała.

Szokująca fryzura nie pomogła, na nic zdał się też cały sznur niesympatycznych chłopaków, których sprowadzała do domu. Przez większość czasu ojciec po prostu ją ignorował.

Minęło piętnaście lat, odkąd zapakowała cały dobytek do samochodu i opuściła rodzinne miasto. Wracała do Lovett tak często, jak tylko mogła. Raz czy dwa na Boże Narodzenie. Kilka razy na Święto Dziękczynienia, a ostatnio z okazji pogrzebu cioci Ginger. Pięć lat temu.

Znów wcisnęła guzik, opuszczając szybę do samego końca. Podmuch rozwiał jej włosy, a jednocześnie poczuła na karku kłujące poczucie winy na myśl o ostatnim spotkaniu z ojcem: minęły już trzy lata od czasu, kiedy się z nim widziała. Mieszkała wtedy w Denver, a on przyjechał na National Western Stock Show, największą na świecie imprezę, podczas której atrakcji dostarczają kowboje, hodowcy i ich zwierzęta.

Ponownie wdusiła przycisk, tym razem, aby zamknąć okno. Nie sądziła, że upłynęło aż tyle czasu, jej rachunki nie mogły jednak być błędne, bo przypominała sobie, że krótko po tej wizycie przeprowadziła się do Phoenix.

Niektórzy odnieśliby pewnie wrażenie, że należy do osób, które nigdzie nie zagrzeją miejsca. W ciągu piętnastu lat mieszkała w siedmiu różnych miastach. Ojciec twierdził, że jej nieustanna wędrówka wynika z tego, iż Sadie próbu-

je zapuścić korzenie w nieurodzajnej glebie. Nie wiedział tylko, że jego córka wcale nie chce zapuszczać korzeni. Lubiła, kiedy nic jej nie krępowało. Podobało jej się poczucie, że może spakować się i wyprowadzić, gdy tylko najdzie ją ochota. Obecny zawód umożliwiał jej takie postępowanie. Po latach studiowania i przenoszenia się z jednego uniwersytetu na drugi, nie uzyskawszy ani jednego dyplomu, przypadkiem wylądowała w branży obrotu nieruchomościami. Dorobiła się ważnej w trzech stanach licencji i cieszyła się każdą chwilą spędzoną na sprzedawaniu domów. No, może nie każdą. Użeranie się z firmami kredytowymi czasem doprowadzało ją do szału.

Znak na poboczu drogi informował, że zbliża się do Lovett. Znowu uchyliła okno. Coś w powrocie do domu wywoływało w niej niepokój, nerwowość i pragnienie, by zawrócić, nim jeszcze dotrze na miejsce. Nie chodziło o ojca. Kilka lat temu pogodziła się z naturą ich relacji. On nigdy nie stanie się dla niej tatą, jakiego potrzebowała, a ona - synem, którego zawsze pragnął.

Powodem jej zdenerwowania nie było też rodzinne miasto samo w sobie - problem polegał na tym, że ostatnim razem wystarczyło dziesięć minut w Lovett, by poczuła się jak ofiara losu. Zatrzymała się na stacji Gas and Go, żeby zatankować i kupić dietetyczną colę. Właścicielka lokalu, pani Luraleen Jinks, zerknęła zza lady na jej pozbawioną obrączki dłoń i wciągnęła powietrze, co pewnie zabrzmiałoby jak wyraz przerażenia, gdyby tak bardzo nie przypominało rzeżenia nałogowej palaczki z pięćdziesięcioletnim stażem.

- Nie wyszłaś za mąż, złociutka? Sadie odpowiedziała uśmiechem.

- Jeszcze nie.

Luraleen kierowała Gas and Go od niepamiętnych czasów. Tania gorzałka i nikotyna upodobniły jej pokrytą zmarszczkami twarz do starego skórzanego płaszcza.

- Znajdziesz kogoś. Masz jeszcze czas. - Co w rzeczywistości znaczyło, że powinna się pospieszyć.

- Mam dwadzieścia osiem lat. - Czyli wciąż była młoda. Nie zdążyła jeszcze poukładać sobie życia.

Luraleen poklepała rażąco brakiem obrączki dłoń Sadie i podsumowała pobłażliwie:

- W każdym razie pocziwa z ciebie dziewczyna.

Od tamtego czasu udało jej się zapanować nad wieloma sprawami. Osiągnęła spokój - zburzony w momencie, gdy kilka miesięcy temu ciotka Bess, krewna ze strony matki, zadzwoniła, by przekazać jej, że będzie druhną na ślubie swej młodszej kuzynki Tally Lynn. Zaproszono ją tak późno, że zastanawiała się, czy przypadkiem ktoś inny nie zrezygnował i czy nie zwrócono się do niej w poszukiwaniu zastępstwa na ostatnią chwilę. Nawet nie знаła Tally Lynn, lecz ta należała do rodziny i mimo prób zerwania wszystkich dawnych powiązań oraz ogromnej niechęci do uczestniczenia w weselu kuzynki Sadie po prostu nie mogła odmówić. Nie zmieniła decyzji nawet, gdy pocztą nadeszła do przymiarki jaskraworóżowa sukienka: bez ramiączek, za to z gorsetem, o krótkiej spódnicy z tafty składającej się niemal z samych fałd i przymarszczeń, tak że dłonie Sadie zniknęły wśród materiału, kiedy próbowała ją do siebie przyłożyć. Kreacja nadawałaby się całkiem nieźle na studniówkę. Gdyby Sadie miała osiemnaście lat. Tymczasem jej szkolne czasy zaliczały się do odległych wspomnień. Skończyła trzydzieści trzy lata i wyglądała idiotycznie w tej studniówkowej sukni drużny.

Wieczna drużna. Tak właśnie wszyscy będą ją postrzegać. Wszyscy w rodzinie, wszyscy w mieście... Otoczą ją współczuciem, a tego szczerze nie znosiła. I złościło ją, że wciąż jeszcze się tym przejmuje. Żalowała też, że nie ma obecnie chłopaka, którego mogłaby wziąć ze sobą. Tak bardzo ją to męczyło, że rozważała nawet zapłacenie komuś,

żeby udawał jej partnera. Wybrałaby najdorodniejszy, najprzystojniejszy okaz. Tylko po to, by zamknąć wszystkim usta. By nie musieć wysłuchiwać szeptanych uwag, nie widzieć ukradkowych spojrzeń i nie tłumaczyć się z nieistniejącego chwilowo życia uczuciowego - ale okazało się, że wynajęcie mężczyzny w jednym stanie i przetransportowanie go do innego jest niewykonalne z punktu widzenia logistyki. Jeśli chodziło o aspekt etyczny, Sadie nie widziała problemu. Faceci wynajmowali kobiety bez przerwy.

Kilkanaście kilometrów przed Lovett skomponowaną z brązów scenerię przełamywał wiatrowskaz i fragment starego płotu. Ogrodzenie ciągnęło się wzdłuż drogi aż do topornie wykonanej bramy z drewna i kutego żelaza, strzegącej wjazdu na ranczo jej ojca. Nic się nie zmieniło, zupełnie jakby opuściła to miejsce ledwie wczoraj. Tylko czarna półciężarówka na poboczu stanowiła nowość. Kierowca oparł się biodrem o tylny zderzak, jego czarny strój zlewał się z kolorem karoserii, a daszek bejsbolówki osłaniał twarz przed ostrym teksańskim słońcem.

Sadie zwolniła, by skrócić w drogę dojazdową do rodzinnej posiadłości. Pewnie powinna się zatrzymać i zaoferować mężczyźnie pomoc, jeśli jej potrzebował. Podniesiona maska samochodu dość jasno wskazywała, że tak, ale samotna kobieta na pustkowiu musiała zachować ostrożność, a obcy wydawał się naprawdę dobrze zbudowany.

Wyprostował się na jej widok i oderwał od auta. Jego czarna koszulka opięła szeroką pierś i potężne bicepsy. Zjawi się ktoś inny.

Kiedyś, w końcu.

Wjechała przez bramę na drogę gruntową. Mógł też udać się do miasta na piechotę. Odległość stąd do Lovett przekraczała piętnaście kilometrów. Spojrzała we wsteczne lusterko. Mężczyzna oparł ręce na biodrach i odprowadzał wzrokiem tylne światła saaba.

- Cholera - mruknęła, wciskając hamulec. Wystarczyło, że spędziła w Teksasie niespełna pół dnia, a już rozbudzała się w niej tradycyjna miejscowa gościnność. Minęła szósta. Większość mieszkańców skończyła już pracę i wróciła do domów. Mogło upłynąć nawet kilka godzin, nim ktoś zjawi się na opuszczonej trasie.

Ale... wszyscy używali dziś komórek. Prawda? Na pewno wezwał już pomoc. Zauważyła w lusterku, że uniósł dłoń, wnętrzem do góry. Może nie miał zasięgu. Upewniła się, że automatyczna blokada drzwi działa, a potem wrzuciła wsteczny bieg. Światło zniżającego się słońca wlało się przez tylną szybę, kiedy wycofała z powrotem na główną drogę i podtoczyła się do półciężarówki.

Kierowca ruszył w jej kierunku; złociste promienie muskały jedną stronę jego twarzy. Należał do mężczyzn, w których towarzystwie czuła się trochę niepewnie. Takich, co to ubierali się w skórę, pili piwo, a następnie zgniatali sobie puste puszkę na czole. Takich, przy których zawsze starała się trzymać wyjątkowo prosto. I których unikała jak gorącego czekoladowego ciasta, bojąc się zgubnego wpływu, jakie jedno i drugie mogłoby wyrzucić na okolice jej ud.

Zatrzymała się i nacisnęła guzik przy klamce. Szyba zsunęła się powoli, a Sadie uniosła głowę, dostrzegając twarde mięśnie pod czarną koszulką, szerokie ramiona i silną szyję. Jako że zbliżał się wieczór, jego popołudniowy zarost stał się już doskonale widoczny - ciemne włoski pokrywały dolną część twarzy i kwadratową szczękę.

- Problem?

- Tak. - Jego głos wydobywał się gdzieś z głębi. Jakby pochodził wprost z duszy.

- Jak długo już tu siedzisz?

- Jakaś godzinę.

- Skończyła ci się benzyna?

- Nie - odparł zirytowany, że wzięła go za faceta, któremu przytrafiłaby się podobna sytuacja. Jakby uraziła tym sposobem jego męskość. - To alternator albo pasek rozrządu.

- Albo padła pompa paliwowa. Kącik jego ust drgnął.

- Pompa pracuje. Silnik nie odpala.

- Dokąd jedziesz?

- Do Lovett.

Tego się spodziewała, zważywszy, że w okolicy nie znajdowało się poza tym nic interesującego. Co prawda Lovett też interesujące nie było.

- Zadzwoń po kogoś, kto cię odholuje.

Przeniósł spojrzenie na pustą szosę prowadzącą do miasta.

- Byłbym wdzięczny.

Wybrała numer na informację, a potem połączyła się z warsztatem B. J.'a Hendersona. Chodziła do szkoły z jego synem, B. J.'em Juniorem, którego wszyscy nazywali Brandz-lem. Tak, Brandzlem. Z tego co słyszała, Brandzel pracował u swojego ojca. Zgłosiła się automatyczna sekretarka i Sadie rzuciła okiem na zegar na desce rozdzielczej. Pięć po szóstej. Rozłączyła się i nie zawracała sobie głowy telefonowaniem do innych warsztatów. Pięć minut temu nadeszła pora na piwo i każdy mechanik w mieście, łącznie z Brandzlem, siedział w domu albo w barze z butelką lone stara w dłoni.

Podniosła wzrok na nieznajomego, otaksowała niesamowitą klatkę piersiową i doszła do wniosku, że ma dwie opcje. Mogła zabrać go na ranczo ojca i poprosić jednego z pracowników, by odwiózł go do miasta, albo podrzucić go sama. Jazda drogą gruntową na ranczo zajęłaby dziesięć minut, dotarcie do Lovett - dwadzieścia do dwudziestu pięciu.

Przyglądała się intensywnie jego skrytej częściowo w cieniu twarzy. Nie chciała, żeby obcy dowiedział się, gdzie ona mieszka.

- Mam paralizator - ostrzegła. Kłamstwo, ale zawsze marzyła, by sobie taki sprawić.

Zerknął na nią.

- Słucham?

- Mam paralizator i wiem, jak go używać. - Odsunął się o krok od jej samochodu. - Potrafię być zabójcza.

- Paralizatorowi daleko do zabójczej broni.

- Nawet jeśli ustawię naprawdę wysokie napięcie?

- Nie da się ustawić tak wysokiego, żeby zabić człowieka. Chyba że schorowanego, a ja schorowany nie jestem.

- Skąd to wiesz?

- Pracowałem w ochronie. Ach tak.

- No cóż, w każdym razie cholernie zaboli, jeśli coś w twoim zachowaniu każe mi go wyjąć i przetrzepać ci tyłek.

- Posłuchaj, paniusiu, nie proszę o żadne przetrzepywanie tyłków. Załatw mi tylko holowanie do miasta.

- Wszystkie warsztaty są zamknięte. - Wrzuciła komórkę do wgłębienia na kubek. - Zawiozę cię do Lovett, ale zanim wsiądziesz, musisz mi pokazać jakiś dowód tożsamości.

Kącik jego ust zadrgał w rozdrażnieniu, kiedy sięgał do tylnej kieszeni lewisów, a jej uwagę po raz pierwszy przykuły okolice jego zapinanego na guziki rozporka.

„Dobry Boże”.

Bez słowa wy dobył prawo jazdy i podał jej przez otwarte okno.

Pewnie uznałaby gapienie się na imponujących rozmiarów wybrzuszenie na przedzie jego dżinsów za nieprzyzwoite, gdyby nie to, że znajdowało się tuż przed jej oczami, doskonale widoczne w obramowaniu drzwi auta.

- Świetnie. - Wcisnęła kilka klawiszy w swoim telefonie i czekała, aż Renee odbierze. - Cześć, Renee, to znowu ja. Masz długopis? - Zerknęła na okazały męski sprzęt na

wysokości swej twarzy, kontynuując: - Podwożę do miasta faceta, który utknął na poboczu. Zapisz jego dane. - Podała asystentce numer wydanego w stanie Waszyngton prawa jazdy i dodała: - Vincent James Haven. Adres: North Central Avenue **4389**, Kent, Waszyngton. Kolor włosów: brązowe. Kolor oczu: zielone. Metr osiemdziesiąt dwa, osiemdziesiąt sześć kilogramów. Masz? Dobrze. Jeśli nie odezwę się w ciągu godziny, zadzwoń do biura szeryfa w hrabstwie Cook w Teksasie i zgłoś, że mnie porwano i moje życie może być w niebezpieczeństwie. Przekaż im informacje, które ci podałam. - Rozłączyła się i oddała mężczyźnie dokument. - Wskakuj. Podrzucę cię do Lovett. - Wbiła wzrok w cień rzucony przez daszek czapki. - I nie zmuszaj mnie, żebym potraktowała cię paralizatorem.

- Dobrze, proszę pani. - Kącik jego ust uniósł się nieznacznie w górę, kiedy wsuwał prawo jazdy z powrotem do odpowiedniej przegródki. - Wezmę tylko bagaż.

Odwrócił się i wcisnął portfel do tylnej kieszeni spodni, a ona śledziła tę czynność uważnie. Niezła klata. Niesamowity tyłek. Przystojny. Jeżeli te wszystkie lata, przez które pozostawała singielką, nauczyły ją czegokolwiek o płci brzydkiej, to tego, że dało się wśród jej przedstawicieli wyodrębnić kilka różnych typów. Istnieli dżentelmeni, zwykli faceci, czarujący uwodziciele i nałogowi zbereźnicy. Do prawdziwych dżentelmenów należały wyłącznie kompletne kujony żyjące nadzieją, że dobre maniery pozwolą im pewnego dnia zaliczyć. Mężczyzna, który aktualnie wyciągał swój bagaż z kabiny półciężarówki, był zbyt atrakcyjny, by dało się go przypisać do którejkolwiek klasy. Zapewne należał do trudnych do rozszyfrowania mieszańców.

Odblokowała drzwi, a on rzucił na tylne siedzenie zielony plecak wojskowy. Sam zajął miejsce obok kierowcy, wypełniając wnętrze saaba swoimi szerokimi barkami oraz irytującym dźwiękiem alarmu, który uruchomił się automa-

tycznie i przypominał nowemu pasażerowi o pasach bezpieczeństwa. Sadie ruszyła, zawróciła samochód i spytała:

- To twoja pierwsza wizyta w Lovett, Vincent? -Tak.

- Czeka cię moc wrażeń. - Założyła ciemne okulary i mocniej wdusiła pedał gazu. - Zapnij, proszę, pasy.

- A jeśli odmówię, porazisz mnie prądem?

- Całkiem możliwe. Zależy, jak bardzo zdąży mnie zirytować to brzęczenie, nim dotrzemy do celu. - Poprawiła na nosie złote awiatory i dodała: - A powinnam cię ostrzec, że po całym dniu jazdy już niewiele mi brakuje.

Zaśmiał się cicho i spełnił jej prośbę.

- Ty też do Lovett?

- Niestety. - Zerknęła na niego kątem oka. - Tu się urodziłam i wychowałam, ale uciekłam, jak tylko skończyłam osiemnaście lat.

Uniósł nieco daszek bejsbolówki i odwrócił głowę w jej stronę. W jego prawie jazdy napisano, że oczy ma zielone, i takie rzeczywiście były. Jasnozielone. Nie dostrzegła w nich nic niepokojącego. Czuła się jedynie trochę nieswojo, kiedy tak je w nią wlepiął, błyszczące w bardzo męskiej twarzy.

-1 co cię sprowadza?

- Wesele - odparła. „Nieswojo” oznaczało w tym przypadku, że najchętniej podkręciłaby kosmyk włosów na palcu, a na wargi nałożyła czerwony błyszczek. - Moja kuzynka wychodzi za męża. - Młodsza kuzynka. - Ja robię za drużną. - Pozostałe drużny też niewątpliwie są młodsze. I na pewno wszystkie przyprowadzą osoby towarzyszące. Ona jedna przyjdzie sama. Stara i samotna.

Wjechali do miasta, mijając tablicę z napisem: „Witajcie w Lovett, w stanie Teksas, ludziska!”. Od jej ostatniej wizyty ktoś pociągnął znak jaskrawoniebieską farbą.

- Nie wydajesz się z tego powodu zachwycona.

Zbyt długo pozostawała poza domem, skoro pokazywała światu swoje „brzydactwa”. Jej matka określała w ten sposób wszystkie emocje, które nadawały twarzy nieładny wyraz. Dziewczyna mogła je odczuwać, nie mogła tylko pozwolić, żeby się uwidoczniły.

- Sukienka pasowała by osobie dziesięć lat młodszej ode mnie, która na dodatek gustuje w ubraniach koloru gumy do żucia. - Wyrzwała przez okno i odwzajemniła się tym samym pytaniem: - A co ciebie sprowadza do Lovett?

- Słucham?

Popatrzyła znów na niego, gdy mijali autokomis i bar Mucho Taco.

- Co cię sprowadza do Lovett? - powtórzyła.

- Sprawy rodzinne.

- Którzy to twoi krewni?

- Krewna. - Wskazał stację Gas and Go po drugiej stronie drogi. - Możesz mnie tam wyrzucić.

Przecięła dwa pasy i wjechała na parking.

- Dziewczyna? Żona?

- Ani jedno, ani drugie. - Zmrużył oczy, spozierając przez przednią szybę na budynek sklepu. - Może byś zadzwoniła do Renee, powiadomić ją, że cię nie poćwiartowałem?

Skręciła na miejsce postojowe obok białego pick-upa i sięgnęła po komórkę.

- Nie chcesz, żeby szeryf złożył ci wizytę?

- Pierwszego dnia pobytu może niekoniecznie. - Odpiął pas, otworzył drzwi i wysiadł.

Wybierając numer Renee, Sadie niemal czuła zapach popcornu sprzedawanego na Gas and Go. Zanim asystentka odebrała, w jej uchu rozbrzmiewał przez chwilę przebój Lady Gagi *Born This Way*.

- Ciągle żyję - poinformowała, przesuwając okulary na czubek głowy.

- Widzimy się w poniedziałek w biurze.

Vincent otworzył tylne drzwi, wyjął swój worek, rzucił go na chodnik i na powrót zamknął auto. Oparł ręce na dachu pojazdu i pochylił się do okna, by na nią spojrzeć.

- Dzięki za podwózkę. Bardzo mi pomogłaś. Gdybym mógł się jakoś odwdzięczyć, daj znać.

To była jedna z tych rzeczy, które ludzie powtarzali odruchowo, nie ze szczerych intencji. Jak uprzejme pytanie „Co słychać?“, chociaż odpowiedź nikogo właściwie nie obchodziła. Skierowała na niego wzrok, przypatrując się jasnozielonym oczom i tej męskiej twarzy o ciemnej karnacji. Wszyscy w mieście od niepamiętnych czasów powtarzali, że niedostatek rozsądku Sadie nadrabia wyjątkowym tupetem.

- Cóż, właściwie jest coś takiego.

Rozdział drugi

Vince Haven naciągnął głębiej daszek czapki i spod niego obserwował saaba wytaczającego się z parkingu. Zwykle nie odmawiał pięknej kobiecie przysługi. Zwłaszcza jeśli właśnie zaoszczędziła mu kilkunastokilometrowego marszu. Oczywiście w porównaniu z biegiem na pięćdziesiąt kilometrów albo wyprawą przez afgańskie góry z ważącym niemal trzydzieści kilogramów ekwipunkiem na grzbiecie i taką ilością amunicji w przewieszonym przez pierś pasie, że wystarczyłoby na wysadzenie w powietrze niewielkiej wioski, pokonanie odcinka drogi w północnym Teksasie to przyjemny spacer. W tamtych czasach na jego piersi podskakiwałyby karabinek M4A1, do biodra przypasałby sig sauera, a colta 1911 kalibru .45 ACP przypiąłby do uda.

Chwycił swój bagaż i wsadził go sobie pod pachę. Odrzucił propozycję Sadie, tłumacząc się brakiem garnituru. Co odpowiadało prawdzie, lecz nie stanowiło powodu, dla którego odmówił. Jasnowłosa Sadie nie należała do kobiet w jego typie. Owszem, była z pewnością wystarczająco ładna jak na jego standardy. Właściwie - piękna, tyle że on preferował bezproblemowe blondynki. Takie, które nie miały trudności z zawieraniem znajomości ani z wyluzowaniem się; z którymi bez problemu dało się dogadać, a potem, równie łatwo, dało się je zaciągnąć do łóżka. Te same zasady dotyczyły brunetek i rudych. Przeciętna bezproblemowa dziewczyna nie prosiła go o nic; nie chciałyby na przykład,

żeby ubrał się elegancko i poszedł z nią na wesele, na którym nikogo by nie znał. Nie zameczała go rozmowami o uczuciach. Nie wymagała zaangażowania w nic poza seksem, nie marzyła o stałości ani nie wyrażała setek innych oczekiwań, których on nie mógł spełnić. Na szczęście istniało mnóstwo bezproblemowych kobiet, które darzyły go taką samą sympatią, jaką on czuł do nich.

Nie wiedział, jak to o nim świadczyło. Pewnie dużo dałoby się na tej podstawie powiedzieć o jego charakterze. A wnioski najprawdopodobniej nieszczególnie przypadłyby mu do gustu. Dobrze więc, że nieszczególnie go to wszystko obchodziło.

Gumowe podeszwy tłumiły odgłos jego kroków, kiedy kierował się w stronę sklepu przy stacji benzynowej, mijając białą półciążarówkę ze sporym wgnieceniem na tylnym zderzaku. Sadie nie była głupia. W przeciwnym razie nie zadzwoniłaby do przyjaciółki, by podać jej jego dane - jakby uważała go za jakiegoś seryjnego mordercę - zanim pozwoliła mu wsiąść do auta. Szczerze mówiąc, zaimponowała mu tym posunięciem, a nieistniejący paralizator także stanowił miły akcent. Nie wiedział, czy dziewczyna zalicza się do grupy łatwych. Czasami mądre dziewczyny okazywały się tak samo łatwe jak te głupie, ale nie sądził, by tak się sprawy miały w jej przypadku. Jej strój - dżinsy i obszerna szara bluza z kapturem - niczego nie zdradzał, Vince nie próbował więc nawet zgadywać, czy ciało dorównywało atrakcyjnością jej buzi. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Takie jak Sadie zawsze pragnęły związku. Nawet jeśli zapewniały, że jest inaczej, nawet jeśli on ze swej strony mógł zaoferować wyłącznie przygodę na jedną noc, góra na dwie. Ewentualnie kilka spotkań więcej - pod warunkiem że jego towarzyszące zależało tylko na niesamowitym seksie.

Gwałtownym ruchem otworzył drzwi sklepu i w nozdrza uderzył go zapach popcornu, hot dogów oraz środka czysz-

czącego. Przy ladzie stał kowboj obładowany paczkami suszonej wołowiny i dwunastoma piwami marki Lone Star, gawędząc z kobietą o wysoko upiętych cienkich siwych włosach i twarzy pokrytej głębokimi zmarszczkami. Białą koszulkę z napisem: „Nie zadzieraj z Teksasem” wepchnęła za podciągnięty pod same piersi pasek spódnicy. Z długimi kolczykami dyndającymi w uszach przypominała wychudzonego psa rasy shar pei.

- Cześć, ciociu Luraleen.

- Vince! - Siostra jego matki przerwała pakowanie suszonej wołowiny kowboja, by popatrzeć na gościa. - Aleś ty przystojny!

Jej niebieskie oczy błyszczały, gdy wychodziła z za lady. Przyłgnęła do jego piersi, aż upuścił sobie plecak na stopy. Objęła go tak mocno, jak tylko mogła, i uściskała z nieskrywaną czułością, której on nigdy nie rozumiał. Upodobanie do przytulania należało do wrodzonych cech teksańskich krewnych jego matki. Zupełnie jakby zapisano je w ich DNA. Ale tak się złożyło, że ani on, ani jego siostra nie odziedziczyli genu przytulania. Uniósł dłoń, by poklepać ciotkę po plecach. Ile razy powinien to zrobić? Raz? Dwa? Poprzestał na dwóch.

Zadarła głowę, żeby mu się przyjrzeć. Minęło kilka lat, odkąd widział ją po raz ostatni, nie zmieniła się jednak wcale.

- Jesteś wielki jak wszystkie kręgi piekła i pół Teksasu! - zawołała tym swoim niskim, nosowym i chropawym od papierosów głosem, który w dzieciństwie wprawiał go w przerażenie. To, że Luraleen osiągnęła tak znaczny wiek, zawdzięczała raczej własnemu uporowi niż zdrowemu trybowi życia. Vince sądził, że ta akurat nitka musiała się zawierać także w jego kodzie genetycznym, bo sam nie prowadził się najzdrowiej. - A do tego pociągający jak grzech pierworodny! - dodała.

- Dzięki - odparł z uśmiechem. - Wygląd mam po krewnych z Południa. - Co zdecydowanie mijają się z prawdą. Wszystkich w rodzinie matki cechowała jasna karnacja i ruda czupryna. Jego siostra pasowała do tego opisu, natomiast on po swej rodzicielce odziedziczył jedynie zielone oczy i skłonność do wędrowania z miejsca na miejsce. Po ojcu dostały mu się czarne włosy i skłonność do uganiania się za spódniczkami.

Luraleen ostatni raz ścisnęła go swymi kościstymi ramionami.

- Pochyl no się, żebym mogła cię ucałować.

Jako dziecko zawsze cały się kulił na zapowiedź ucałowania. Teraz, będąc trzydziestosześcioletnim mężczyzną, a do tego byłym żołnierzem SEAL, sił specjalnych marynarki Stanów Zjednoczonych, zdołał przetrwać rzeczy straszniejsze niż nikotynowy oddech ciotki. Podsunął jej policzek.

Wspięła się na palce, żeby obdarzyć go potężnym cmoknięciem, a potem jej stopy w wygodnych butach znów opadły na podłogę. Kowboj właśnie opuszczał sklepik.

- Luraleen - pożegnał się, przechodząc obok.

- Do zobaczenia jutro wieczorem, Alvin.

Policzki wychodzącego kowboja pokryły się głębokim rumieńcem.

- Myślisz, że jest tobą zainteresowany?

- Oczywiście, że tak. - Podeszwy jej butów zapiszczały na linoleum, gdy skierowała się z powrotem za ladę. - Jestem samotną kobietą, która ma potrzeby i perspektywy.

Oprócz tego miała blisko siedemdziesiąt lat i świszczący oddech palaczki. Z pewnością liczyła sobie ze dwa krzyżyki więcej niż ten kowboj. Dwie trudne, nieciekawe dekady. Roześmiał się.

- Prawdziwa z ciebie Mrs Robinson, ciociu. - Jezu, kto by się spodziewał? To dowodziło jedynie, że pewni mężczyźni nie kierowali się żadnymi zasadami. Niektóre

kobiety - przede wszystkim jego siostra - uważały zapewne, że z niego istny pies na baby, ale on przynajmniej ustalił sobie standardy! I zgodnie z nimi unikał, między innymi, starszych charczących pań.

Luraleen przyłączyła się do niego ze swoim chrapliwym śmiechem, który przeszedł w atak kaszlu.

- Jesteś głodny? - zapytała, rozcierając mizerną pierś. - Grzeję kilka Wściekłych Psów. Klienci uwielbiają moje hot dogi z ostrą papryką.

Był głodny. Ostatni raz jadł coś, przejeżdżając przez Tulsę.

- Znajdzie się też kilka zwykłych kiełbasek. Ludzie tutaj biorą do tego sos serowy, ketchup i chili.

Aż tak głodny nie był.

- Zostanę chyba przy Wściekłym Psie.

- Jak sobie życzysz. Weź też piwo. - Uśmiechnęła się i wskazała mu duże chłodziarki. - Najlepiej dwa, siądziemy na zapleczu i dotrzymam ci towarzystwa.

Podczas gdy matkę Vince'a cechowała głęboka religijność, jedyną świątynię, do której regularnie uczęszczała ciotka Luraleen, stanowił jej ulubiony bar, w którym przesiadywała z butelką taniej gorzałki i paczką papierosów. Vince podszedł do lodówki i uchylił szklane drzwi. Zimne powietrze owiało mu twarz, kiedy wyciągał ze środka dwie butelki z etykietką „Shiner Blonde”. Nie pił piwa tej marki od czasu wizyty u matki Wilsona w San Antonio. Pete Bridger Wilson wraz z nim ukończył szkolenie PKNP/S i Vince uważał go za najmądrzejszego faceta, jakiego dane mu było kiedykolwiek spotkać. Jego duża okrągła głowa mieściła wszelkiego rodzaju informacje, od błahostek po ważne przemyślenia. Był wysokim, dumnym Teksaszczykiem, a dla Vince'a - kolegą z drużyny i bratem z SEAL. Był także najlepszym i najdzielniejszym z ludzi. Wypadek, który zmienił życie Vince'a, dla Wilsona okazał się śmiertelny.

Po drodze na zaplecze Vince wepchnął jedną z butelek pod pachę i porwał z podgrzewacza dwa Wściekłe Psy. Zwykle i paprykowe kiełbaski obracały się powoli na rostkach najohydniejszego grilla, jaki w życiu widział.

- Spodziewałam się ciebie kilka godzin temu - odezwała się Luraleen, kiedy wszedł na zaplecze. Przycupnęła przy starym, zniszczonym biurku, ściskając w palcach marlboro. Najwyraźniej na Gas and Go nikt nie widział nic złego w paleniu w miejscu pracy. Pewnie miało to coś wspólnego z tym, że to ona była tu właścicielką.

Podał jej butelkę, którą przytrzymała za szyjkę, podczas gdy on zdejmował kapsel.

- Miałem mały problem z samochodem, jakieś piętnaście kilometrów przed Lovett. - Otworzył i swoje piwo, po czym zajął miejsce po drugiej stronie biurka. - Nadal stoi tam na poboczu.

- Czemu nie zadzwoniłeś?

Zmarszczył brwi, wciąż nie wierząc w to, co musiał w odpowiedzi wyznać:

- Komórka mi padła. - Kiepsko jak na Pana Przygotowanego. Zawsze upewniał się, że jego sprzęt nie ma absolutnie żadnych szans go zawieść. Pamiętał czasy, gdy odpowiednie przygotowanie przesądzało o kwestiach życia i śmierci. - Chyba ładowarka szwankuje.

Zaciągnęła się głęboko, a potem wydmuchała dym.

- No to jak się tu dostałeś? Przecież nie pieszo?

- Nie, ktoś mnie podwiózł.

Odwinął hot doga z folii aluminiowej i ugryzł. Nie nazwałby tego może wysmienitym daniem, ale jadał już gorsze. Do głowy przychodziły mu na przykład larwy jedwabników od ulicznego sprzedawcy w Seulu.

- Ktoś miejscowy?

Najgorszy posiłek w życiu: albo larwy, albo potrawka z psa. Larwy były mniejsze. Przełknął, wspominając, i popił.

Wtedy zalał się w trupa, to też pomogło rozprawić się z jedwabnikami.

- No, kto?

- Na imię ma Sadie.

- Sadie? Jedyne znane mi Sadie to Sadie Jo Hollowell, ale ona wyniosła się z tych stron. - Luraleen nalała sobie piwa do kubka z Kanarkiem Tweetym. - Wyjechała zaraz po liceum. Zostawiła swojego biednego tatę.

- Wspominała, że już tu nie mieszka.

- Hm. Więc Sadie wróciła. - Upiła łyk. - Pewnie z okazji ślubu Tally Lynn. Ma się odbyć w ten weekend, o osiemnastej, w Kaplicy Ślubów w Pałacu Zakochanych. To wielkie wydarzenie. - Odstawiła kubek na blat. - Ja oczywiście nie zostałam zaproszona. Bo niby czemu? Jedynym powodem mogłoby być to, że chodziłam do szkoły z jej kuzynką ze strony taty, no a poza tym Tally Lynn i jej przyjaciele swego czasu regularnie próbowali wyłudzić ode mnie sprzedaż piwa fałszywymi dowodami. Jakbym nie znała ich praktycznie od urodzenia!

W głosie Luraleen pobrzmiwała gorycz, nie wspomniał więc, że on został zaproszony.

- Skoro nie idziesz, to skąd tyle na ten temat wiesz? -Odgryzł kolejny kęs hot doga.

- Ludzie opowiadają mi o wszystkim. Jestem jak fryzjerka i barman w jednym.

Bardziej prawdopodobne, że zwykła wściubiać nos w nie swoje sprawy. Znów przełknął i pociągnął długi łyk z butelki. Dzwonek u wejścia obwieścił przybycie klienta, więc Luraleen zgasła papierosa. Wstała, podpierając się o blat biurka.

- Starzeję się. - Skierowała się do drzwi i dorzuciła przez ramię: - Rozgość się i dokończ kolację. Jak wrócę, porozmawiamy o biznesowej propozycji, jaką dla ciebie mam.

Tej, z powodu której przyjechał do Teksasu. Zadzwoiła do niego kilka tygodni wcześniej, gdy pomagał koledze z Nowego Orleanu w odnawianiu elewacji domu. Nie zdradziła nic więcej, tylko tyle, że ma dla niego propozycję i że na pewno nie pożałuje. Vince chyba się jednak domyślał, o co chodzi. Przez ostatnie pięć lat pracował w ochronie, a oprócz tego kupił pralnię samoobsługową, która cienko przędła. Włożył trochę wysiłku w jej uratowanie i obrócił w interes przynoszący spory zysk. Kryzys czy nie, ludzie zawsze prali ubrania. Zarobione pieniądze zainwestował w odporną na recesję firmę farmaceutyczną. Podczas gdy inni patrzyli bezradnie, jak ich zasoby maleją praktycznie do zera, wartość jego udziałów wzrosła od momentu, w którym je kupił, o dwadzieścia siedem procent. A pół roku temu odsprzedał pralnię z całkiem niezłym zyskiem. W tej chwili niespiesznie rozglądał się za innymi akcjami, których nie naruszy recesja, i przedsięwzięciami zapewniającymi stały dopływ kasy.

Zanim wstąpił do marynarki, uczęszczał w college'u na kilka kursów związanych z prowadzeniem biznesu, które w późniejszym czasie okazały się przydatne. Kilka kursów to nie magisterka z ekonomii, ale nie potrzebował przecież dyplomu, by obserwować rynek, przeprowadzać w głowie bilans kosztów i zysków i orientować się, jak zarobić trochę pieniędzy.

Ponieważ ciotka raczej nie planowała zatrudnić wykwalifikowanego ochroniarza, spodziewał się, że zaoferuje mu wykonanie jakichś prac naprawczych.

Ugryzł kawałek swojej kolacji i popił go piwem. Obrzucił spojrzeniem całe pomieszczenie, starą mikrofalówkę i lodówkę, pudła pełne środków czystości oraz plastikowych kubeczków. Nienowe już ludy w kolorze oliwkowym i szafki pochodzące z czasów jeszcze bardziej zamierzchłych. Lokal był zrujnowany, to nie ulegało wątpliwości. Przydałoby się położyć nową warstwę farby, a na podłodze - płytki

ceramiczne. Lady, tutaj i w sklepie, należało potraktować młotem.

Dokończył Wściekłego Psa i zwinął foliowe opakowanie w kulkę. Miał teraz czas, żeby pomóc ciotce w jej planach. Odkąd kilka miesięcy temu zrezygnował z posady w firmie ochroniarskiej w Seattle, dysponował dość znaczną ilością czasu. W ogóle odkąd odszedł z armii, pięć lat temu z ogonkiem, otwierały się przed nim nieograniczone perspektywy. Nieco zbyt nieograniczone jak na jego gust.

Parę miesięcy po tym, jak musiał opuścić oddziały SEAL z powodów zdrowotnych, jego siostra urodziła syna. Samotna i przestraszona, potrzebowała wtedy swojego brata. Był jej coś winien za to, że opiekowała się ich umierającą matką, kiedy on stacjonował w Iraku, w strefie wojny. Zamieszkał więc w stanie Waszyngton, znalazł tam zatrudnienie i dbał o swoją młodszą siostrę, wspierając ją w wychowywaniu Connera. Bardzo niewiele spraw wzbudzało w Vinsie wyrzuty sumienia: fakt, że siostra sama zajmowała się matką, osobą trudną w pożyciu nawet w lepszych okresach, niewątpliwie się do nich zaliczał.

Pierwszy rok w cywilu okazał się trudny i dla niego, i dla Connera. Mały wrzeszczał z powodu kolek, a Vince miał ochotę wrzeszczeć przez to cholerne dzwonięcie w uszach. Mógł zostać w drużynie. Zawsze zakładał, że odsłuży pełne dwadzieścia lat. Mógł poczekać, aż nastąpi poprawa, a potem wrócić, lecz wiedział, że nigdy już nie będzie słyszał tak dobrze jak przed wypadkiem. Komandos z uszkodzonym narządem słuchu narażałby na niebezpieczeństwo cały zespół. Jego doświadczenie w starciach zbrojnych oraz walce wręcz, a także doskonała znajomość żołnierskiego wyposażenia, począwszy od sig sauera, a skończywszy na karabinie maszynowym, nie miały żadnego znaczenia. Tak jak i jego umiejętności z zakresu niszczenia podwodnego albo to, że jak nikt inny potrafił przedostawać się w najbardziej

niedostępne miejsca. Gdyby nie zrezygnował, narażałby na szwank tak siebie, jak i innych.

Brakowało mu tego napędzanego adrenaliną, sterowanego testosteronem życia. Cały czas. Ale kiedy wystąpił z wojska, podjął się nowej misji. Przez dziesięć lat przebywał z dala od domu. Jego siostra, Autumn, samotnie radziła sobie z ich matką, wreszcie przyszła więc jego kolej, by zatroszczyć się z kolei o nią i siostrzeńca.

Teraz jednak dawali sobie radę bez niego, a po tym, jak wdał się w wyjątkowo nieprzyjemną barową bójkę, która skończyła się poranieniem, mnóstwem siniaków i pobytem w areszcie, doszedł do wniosku, że potrzebna mu zmiana otoczenia. Od dawna już nie czuł takiej wściekłości. Takiej, która wzbierała w nim, tuż pod skórą, niczym ciśnienie w szybkowarze. Gotowa rozerwać go na strzępy, gdyby pozwolił jej wybuchnąć - ale do tego nie dopuszczał nigdy. Albo raczej: przez bardzo długi czas.

Wrzucił sreberko do kosza na śmieci i rozpakował drugiego hot doga. Przez ostatnie trzy miesiące wiele podróżował i wiele rozmyślał, wciąż jednak nie udało mu się znaleźć odpowiedzi na pytanie, dlaczego wówczas wpakował się do baru pełnego bikerów. Do dziś nie miał też pewności, kto rozpoczął tę burdę, pamiętał za to doskonale, jak obudził się za kratkami, z obolałą twarzą oraz żebrami, a także z kompletem zarzutów o pobicie. Dzięki dobremu adwokatowi i przez wzgląd na błyskotliwą karierę wojskową Vin-ce'a wszystkie zostały wycofane, co nie zmieniało faktu, że był winny. Jak cholera. Z pewnością nie próbował wywołać awantury, nigdy tego nie robił. Nigdy też nie szukał okazji do rękoczynów, zawsze jednak wiedział, gdzie ją znaleźć.

Sięgnął po butelkę i przytknął do ust. Siostra lubiła mu wytykać, że ma problem z kontrolowaniem gniewu, lecz się myliła. Przełknął łyk i odstawił piwo na biurko. Gniew nie stanowił problemu. Potrafił nad nim zapanować, nawet czu-

jąc w całym ciele jego pełzanie, grożące eksplozją. Nawet w samym środku wymiany ognia albo bójki w barze.

Nie, to nie gniewem należało się martwić. Tylko nudą. Z reguły zdarzało mu się wpadać w kłopoty, kiedy nie koncentrował się na żadnym konkretnym celu lub zadaniu, na czymś, czym mógłby zająć ręce i umysł. I chociaż etat oraz dodatkowe zajęcia w pralni wypełniały mu dni, od kiedy jego siostra zdecydowała się ponownie poślubić tego sukinsyna, swojego byłego męża, czuł, że traci grunt pod nogami. Skoro Sukinsyn wracał do gry, Vince musiał ustąpić mu pola i pożegnać się z jednym ze swoich obowiązków.

Przeżył kolejny kęs. W głębi duszy zdawał sobie sprawę, iż powinien się cieszyć, że Sukinsyn w końcu wziął się w garść i zamierzał spełnić się w roli ojca. Poza tym nigdy nie widział Autumn tak szczęśliwej jak przy ostatnim spotkaniu. Nigdy nie słyszał, by jej głos brzmiał równie radośnie, jak podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej. Ale szczęście siostry wyrwało ziejącą dziurę w jego życiu. Pustkę, jakiej nie odczuwał od momentu odejścia z SEAL. Tę, którą próbował wówczas wypełnić rodziną i pracą. Teraz usiłował się jej pozbyć, jeżdżąc po kraju i odwiedzając kumpli, którzy rozumieli.

Znajome piszczenie podeszew i nikotynowy kaszel oznajmiły powrót Luraleen.

- To była Bessie Cooper, mama Tally Lynn. Przez to wesele biega jak kot z pęcherzem. - Obeszła biurko i opadła na obrotowy fotel. - Przekazałam jej, że Sadie dotarła. - Zapaliła ponownie zgaszonego wcześniej papierosa i chwyciła swój kubek z Tweetym. W dzieciństwie Vince często dostawał od niej cukierki w kształcie papierosów, co doprowadzało jego matkę do szału - podejrzewał, że właśnie dlatego ciotka Luraleen nie zaprzestawała swojego zwyczaju. Tak czy owak, on uwielbiał te smakołyki w paczce wyglądającej, jakby zawierała prawdziwe wyroby tytoniowe. - Pytała, czy

Sadie przybrała na wadze, jak to się zdarza kobietom z rodziny jej taty.

- Nie wyglądała mi na grubą. Choć oczywiście nie przyjrzałem jej się aż tak dobrze. - Szczegółem, który najlepiej utkwił mi w pamięci, był moment, w którym niebieskie oczy Sadie rozszerzyły się i przybrały rozmarzony wyraz, kiedy groziła mu przetrzepaniem tyłka za pomocą nieistniejącego paralizatora.

Luraleen zaciągnęła się i wypuściła dym w stronę sufitu.

- Bessie mówi, że wciąż nie wyszła za mąż - dorzuciła. Vince wzruszył ramionami i uraczył się następnym kęsem kolacji.

- Czemu do mnie dzwoniłaś, wtedy miesiąc temu? - spytał, zmieniając temat. Pogawędka o małżeństwie w ogóle zwykle prowadziła ostatecznie do pytania, kiedy on zamierza się ożenić, a na razie nie miał takich planów. Nie znaczyło to, że nigdy o tym nie myślał, ale wiedząc o wysokim odsetku rozwodów wśród wojskowych i pamiętając rozstanie własnych rodziców, nie chciał ryzykować - a nie spotkał jeszcze kobiety, która skłoniłaby go do zmiany zdania. Mogło to mieć coś wspólnego z jego upodobaniem do dziewczyn o niewygórowanych wymaganiach. - O co chodziło?

- Twój ojciec powiedział mi, że z tobą rozmawiał. - Luraleen umieściła papierosa w popielniczce; z jego koniuszka uniosła się kręta smużka dymu.

- Tak, to prawda. Jakieś cztery miesiące temu. - Facet odezwał się po dwudziestu sześciu latach milczenia i najwyraźniej próbował odgrywać jego tatę. - Dziwi mnie tylko, że zadzwonił też do ciebie.

- Mnie też to zaskoczyło. Niech mnie, nie miałam z Dużym Vinem kontaktu, odkąd zostawił twoją mamę. - Zaciągnęła się znów potężnie i wypuściła grubą wstęgę dymu. - Zwrócił się do mnie, bo sądził, że mogę przemówić ci do rozumu. Twierdził, że nie chcesz go wysłuchać.

Nieprawda, Vince go wysłuchał. Spędził godzinę w salonie starego, nim doszedł do wniosku, że nasłuchał się już dość, i wyszedł.

- Nie powinien był cię niepokoić. - Pociągnął długi łyk piwa i rozparł się wygodnie na krześle. - Powiedziałaś mu, żeby się pierdolił?

- Blisko - rzuciła, podnosząc kubek. - Ty powiedziałeś mu mniej więcej to samo?

- Nie mniej więcej. Dokładnie tak mu powiedziałem.

- Nie chcesz jeszcze tego rozważyć?

- Nie. - Przebaczenie nie przychodziło mu łatwo. Musiał włożyć wiele wysiłku w to, by się z kimś pojednać, a jedyną osobą na świecie niewartą takiego trudu był Vincent Haven Senior. - To dlatego mnie tu zaprosiłaś? Myślałem, że masz dla mnie propozycję.

- Bo mam. - Upiła nieco złocistego płynu. - Starzeję się i zamierzam przejść na emeryturę. - Odstawiła kubek na blat i zamknęła jedno oko, broniąc się przed wijącym się dymem z końcówki papierosa. - Chcę podróżować.

- Brzmi rozsądnie. - On zwiedził świat. Niektóre miejsca przypominały piekło na ziemi. Inne zachwyciły go zapierającym dech w piersiach pięknem. Planował wrócić w pewne rejony już jako cywil. Może właśnie tego mu teraz trzeba. Nic go tu nie trzymało. Mógł pojechać, gdzie tylko mu się zamarzy. W każdej chwili. I zostać tak długo, jak tylko zapragnie. - A gdzie w tym moja rola?

- Ty możesz kupić ode mnie Gas and Go, to wszystko.

Rozdział trzeci

Odrzucił jej propozycję. Zapytała obcego człowieka, czy wybierze się z nią na wesele młodszej kuzynki, a on odmówił jej bez wahania.

„Nie mam garnituru” - to wszystko, co od niego usłyszała, nim się oddalił. Nawet gdyby nie widziała jego prawa jazdy i nie zwróciła uwagi na brak charakterystycznego dla rodowitych Teksańczyków nosowego brzmienia w jego głosie, i tak wiedziałyby, że nie jest tutejszy, bo nie wysilił się, by wymyślić porządne kłamstwo. Coś w stylu, że zdechł mu pies i żałoba nie pozwala mu na zabawę albo że nazajutrz umówił się już na oddanie nerki.

Zachodzące słońce skąpało ranczo w pomarańczowo-złotym świetle, a jego promienie przebijały się przez chmury pyłu wzbite kołami saaba. Zdeklarował chęć odwdzięczenia jej się, lecz tak naprawdę wcale nie zamierzał się wysilać. Postąpiła głupio i impulsywnie, zapraszając go. A przez głupie, impulsywne pomysły niezmiennie pakowała się w kłopoty. Jeśli więc tak na to spojrzeć, można by rzec, że Vince z Pobocza wyświadczył jej przysługę. No bo co właściwie robiłaby do późnej nocy z wielkim, niesłychanie seksownym nieznanym, po tym jak spełniłby już swoje zadanie? Wyraźnie tego nie przemyślała, nim złożyła mu ofertę.

Dotarcie drogą gruntową na ranczo zajmowało od dziesięciu do dwudziestu minut, zależnie od typu pojazdu, a także tego, kiedy ostatnio tę trasę wyrównano. Już za moment

Sadie spodziewała się usłyszeć wściekle szczekanie psów do zaganiań bydła w liczbie około pół tuzina. Dom wraz z budynkami gospodarczymi stał na należącym do rodziny terenie o powierzchni czterech tysięcy hektarów, w odległości ośmiu kilometrów od głównej szosy. Nie była to największa posiadłość w Teksasie, należała jednak do najstarszych i każdego roku chowano tu kilka tysięcy krów. To prapra-dziadek Sadie, major John Hollowell, zakupił na początku dwudziestego wieku ziemię nad brzegiem Canadian River, na której rozciągał się dziś majątek. Kolejni potomkowie majora urzędowali na ranczu, doświadczając lat tłustych i chudych, na zmianę prosperując i popadając w biedę, niezmiennie jednak zajmując się hodowlą czystej krwi herefordów i rodowodowych amerykańskich koni rasy Paint Horse. Lecz w kwestii zapewnienia rodziny męskich potomków, którzy by zabezpieczyli jej przyszłość, Hollowellowie właśnie polegli. Sadie była ostatnią z rodu, nie licząc paru dalekich kuzynów, których niemalże nie widywała. Fakt ten stanowił dla jej ojca powód ogromnego rozczarowania.

Nie zaczął się jeszcze sezon na wypasanie, krowy znajdowały się więc na łąkach nieopodal zabudowań. Jadąc wzdłuż ogrodzenia, Sadie obserwowała znajome sylwetki przeżuwające trawę. Wkrótce przyjdzie pora na znakowanie i kastrację. Nie tęskniła bynajmniej za odgłosami i zapachami towarzyszącymi temu okropnemu, acz niezbędnemu procesowi, które omijały ją szczęśliwie od czasu wyprowadzki.

Zatrzymała samochód przed domem o powierzchni trzystu siedemdziesięciu metrów kwadratowych, wybudowanym przez jej dziadka w latach czterdziestych ubiegłego wieku. Starsze gospodarstwo, zamieszkane obecnie przez nadzorcę Snooksa Perry'ego i jego najbliższych, leżało kilka kilometrów na zachód, nad niewielką rzeką zwaną Ogonkiem. Rodzina Perrych pracowała na ranczu, jeszcze nim Sadie się urodziła.

Chwyciła z tylnego siedzenia swoją torebkę od Gucciego i zamknęła drzwi auta. Głosy lelków niosły się z chłodnym wiatrem, który musnął jej policzki i wniknął za kołnierz szarej bluzy z kapturem Pink.

Biały dom z kamienia i drewna w promieniach zachodzącego słońca stawał się złoty. Sadie ruszyła w stronę dużych, dwuskrzydłowych, siermiężnie wykonanych drzwi z dębiny; na każdym skrzydle widniały pośrodku litery „JH”, oznaczające nazwę rancza. Powrót do domu niezmiennie wywoływał w niej niepokój. Węzeł emocji zacisnął się wokół jej żołądka i serca. Przyjazne uczucia wymieszały się ze znanym jej dobrze poczuciem winy i obawą - stan ten dopadał ją zawsze, gdy przyjeżdżała do Teksasu.

Otworzyła drzwi, których nikt nie pofatygował się zamknąć na klucz, i wkroczyła do pustego przedsionka. Powitały ją domowe zapachy. Wciągnęła w nozdrza woń cytryn, drewna i środka do konserwacji skóry, w powietrzu wyczuwała też ślad dymu, utrwalony przez lata palenia w ogromnym kamiennym kominku salonu, oraz nutkę pozostawioną przez kilka dekad gotowania domowych posiłków.

Nikt na nią nie czekał, skierowała się więc w stronę znajdującej się na tyłach kuchni, stąpając po sękatych sosnowych deskach i wzorzystych nawajskich dywanikach. By ranczo funkcjonowało bez przeszkód, konieczne było stałe zatrudnianie wielu pełnoetatowych pracowników. Gospodyni, Clara Anne Parton, zajmowała się utrzymywaniem czystości i porządku zarówno w domu, jak i w baraku dla pomocników, natomiast jej siostra bliźniaczka, Carolynn, przyrządzała trzy posiłki każdego dnia oprócz niedziel. Obie niezamężne, mieszkały razem w mieście.

Sadie poszła za miarowym, stłumionym odgłosem wywołanym przez coś ciężkiego wirującego w suszarce. Minęła pustą kuchnię, potem spiżarnię i dotarła do pralni. Stała w drzwiach, a na jej usta wypłynął uśmiech. Pierwszym,

co zobaczyła, okazała się okazałych rozmiarów pupa Clary Anne, która schylała się właśnie, by podnieść z podłogi ręczniki. Obie siostry zostały obdarzone pełnymi kształtami i wąskimi taliami, co lubiły podkreślać, mocno ściągając paski od spodni, ozdobione klamrami wielkości talerzyków deserowych.

- Już trochę późno na pracę.

Clara Anna podskoczyła i okręciła się prędko, przyciskając dłoń do serca. Wieża upięta z jej czarnych włosów zachybotała się lekko.

- Sadie Jo! Wystraszyłaś mnie na śmierć, dziecko! Sadie uśmiechnęła się i zrobiła kilka kroków w głąb pomieszczenia, czując wzbierające w sercu ciepło.

- Przepraszam. - Bliźniaczki pomogły ją wychować i teraz szeroko otworzyła ramiona, by uściskać jedną z nich. - Dobrze cię widzieć.

Gospodyni przycisnęła ją z całych sił do swego obfitego biustu i ucałowała w policzek. Ciepło, które zrodziło się w sercu, rozlało się teraz po całej piersi.

- Od ostatniego razu minęły całe szopowe wieki! Sadie się roześmiała. Siostry Parton prezentowały

konserwatywną postawę w kwestiach upinania włosów i starych, wyświechtanych teksańskich powiedzonek, jak to o szopach. A gdyby Sadie zwróciła Clarze Anne uwagę, że niektórym ludziom to wyrażenie wydałoby się dzisiaj odrobinę rasistowskie*, ta nie mogłaby otrząsnąć się ze zdziwienia, gdyż nigdy, ani jedną komórką swego ciała, nie odczuwała żadnych uprzedzeń. Raz, jako dziecko, Sadie próbowała zagiąć Clare Anne pytaniem, ile dokładnie taki szopowy wiek trwa. Kobieta spojrzała jej prosto w oczy i odrzekła z powagą:

*** Po angielsku to wyraźnie brzmi „coon's age”, słowo *coon* to skrót od *raccoon*, czyli szop, ale też obraźliwe określenie Afroamerykanina (przyp. tłum.).**

- Sześć do ośmiu lat. Tyle właśnie żyją szopy na wolności.

Kto by się spodziewał, że faktycznie istnieje odpowiedź?

- To nie był nawet jeden szopowy wiek.

- Ale prawie. - Clara Anne odchyliła się w tył, by spojrzeć Sadie w twarz. - Panie niebieski! Wyglądasz zupełnie jak twoja mama!

Tyle że pozbawiona wytworności, wdzięku i wszystkiego, za co ludzie kochali Johannę Mae.

- Oczy mam po tacie.

- Tak. Niebieskie jak polne teksańskie dzwonki. -Spracowanymi dłońmi przesunęła po ramionach Sadie. -Tęskniliśmy tu za tobą.

- Ja też za wami tęskniłam. - Co się zgadzało: tęskniła za Clarą Anne i za Carolynn. Brakowało jej ich ciepłych uścisków i dotyku ich warg na swoim policzku. Oczywiście nie na tyle, by wrócić w rodzinne strony. Opuściła ręce, którymi obejmowała Clarę Anne. - Gdzie tata?

- W stołówce, je kolację z chłopcami. A ty jesteś głodna?

- Umieram z głodu. - Jasne, że ojciec przesiadywał w stołówce z pomocnikami. Zawsze jadał tam posiłki, bo to wydawało się najrozsądniejszym rozwiązaniem. - Pamiętał, że dziś przyjeżdżam?

- Pewnie, że pamiętał. - Gospodyni chwyciła stos ręczników. - Nie zapomniałby o czymś tak ważnym jak twój powrót.

Sadie nie byłaby taka pewna. Przegapił uroczystość z okazji ukończenia liceum przez jedynaczkę. Choć właściwie problemy z pamięcią nie miały tu nic do rzeczy - po prostu zbyt zajmowało go w tym czasie szczepienie bydła. Zawsze poświęcał więcej uwagi zwierzętom niż ludziom. Interesy przede wszystkim - Sadie zaakceptowała to już dawno temu.

- Jak tam jego nastrój?

Clara Anne posłała jej spojrzenie ponad stertą ręczników, którą trzymała w ramionach. Obie dobrze wiedziały, dlaczego Sadie pytała.

- Świetnie. Teraz biegnij do taty, a my pogadamy jutro. Chcę wiedzieć absolutnie wszystko o twoim życiu.

- Przy lunchu. Może Carolynn zrobi nam croissanty z sałatką kurczakową? - Dla pracujących na ranchu mężczyzn kucharka nie przyrządzała takich frykasów. Oni woleli bardziej pożywne kanapki z pełnoziarnistego chleba obłożonego grubymi plastrami mięsa. Sałatkę kurczakową Carolynn przyrządzała wyłącznie dla mamy Sadie, a potem i dla niej samej.

- Przekażę jej, że o tym wspominałaś. Chociaż myślę, że już to zaplanowała.

- Mniam. - Sadie jeszcze raz popatrzyła na Clare Anne, a potem cofnęła się do kuchni i wyszła przed dom. Ruszyła betonowym chodnikiem, który przemierzyła już tysiące razy. Im bardziej zbliżała się do stołówki, otynkowanego długiego budynku z pustaków, w którym jadano większość posiłków, tym wyraźniejsza stawała się woń grillowanego mięsa i przypieczonego pieczywa. Gdy wchodziła na biegnący wzdłuż ściany drewniany ganek, zaburczało jej w brzuchu. Zawiasy siatkowych drzwi skrzypnęły, obwieszczając jej przybycie, kilku pomocników uniosło głowy znad talerzy. Na haczykach przy wejściu wisiało osiem kowbojskich kapeluszy. Wnętrze nic się nie zmieniło, odkąd zaglądała tu ostatnio. Sosnowe podłogi, bielone ściany, zasłony w bia-ło-czerwoną kratkę i ta sama dwudrzwiowa lodówka firmy Frigidaire. Jediną nowość przedstawiał lśniący, świeżo kupiony piec z piekarnikiem.

Rozpoznała kilku z mężczyzn, którzy na jej widok podnieśli się z miejsc. Nakazała im gestem, by nie wstawali, i rozejrzała się za swoim tatą. Wreszcie dostrzegła go - siedział

z głową pochyloną nad kolacją, ubrany jak zwykle w jedną ze swych klasycznych kowbojskich koszul, beżową, zapinaną na białe perłowe zatrzaski. Coś ścisnęło ją w żołądku i na chwilę wstrzymała oddech. Nie wiedziała do końca, czego się spodziewać. Miała trzydzieści trzy lata i wciąż czuła się przy ojcu tak niepewnie... Zachowa się życzliwie czy niedostępnie?

- Cześć, tato.

Uniósł głowę i obdarzył ją zmęczonym uśmiechem, który nie objął jednak okolonych siateczką zmarszczek niebieskich oczu.

- Jesteś wreszcie, Sadie Jo. - Podparł się o blat stołu, żeby wstać. Zdawało jej się, że czynność ta zajęła mu więcej czasu niż normalnie. Serce opadło jej aż do ściśniętego z nerwów żołądka, gdy się do niego zbliżała. Ojciec zawsze był szczupły. Wysoki. Miał długie ręce, bardzo długie nogi w stosunku do tułowia, lecz nigdy nie wyglądał tak mizernie jak teraz. Policzki mu się zapadły i Sadie odniosła wrażenie, iż postarzał się o dziesięć lat, odkąd widziała się z nim w Denver - trzy lata temu. - Spodziewałem się ciebie przed godziną.

- Podwoziłam kogoś do miasta - wyjaśniła, obejmując go w pasie. Pachniał nadal tak samo. Mydłem, kurzem i czystym teksańskim powietrzem. Wyciągnął sękatą dłoń i poklepał ją po plecach. Dwukrotnie. Od zawsze przysługiwały jej dwa poklepania, chyba że należało uczcić jakieś wyjątkowe jej osiągnięcie - wówczas otrzymywała trzy.

- Jesteś głodna, mała?

- Jak wilk.

- No to bierz talerz i siadaj.

Puściła go i zerknęła w górę, na jego twarz, czując nagle, jakby ktoś nałożył jej na ramiona stutonowy ciężar. Jej tata się starzał. Wyglądał na swoje siedemdziesiąt osiem lat i ani dnia młodziej. Co ona robi, kiedy go zabraknie? Co z ranczem?

- Schudłeś.

Usiadł z powrotem i ujął w dłoń widelec.

- Może z kilogram. Raczej dziesięć.

Podeszła do pieca i nałożyła sobie ryżu, wzięła też kawałek świeżo upieczonego chleba. Kiedyś opiekowała się kilkoma owcami i krowami dla Stowarzyszenia 4-H, ale poza tym nie miała pojęcia o hodowli bydła i codziennych obowiązkach na ranchu. A w najgłębszych zakamarkach jej zdradzieckiej duszy drzemał skrzętnie skrywany mroczny sekret: wcale nie chciała mieć o tym wszystkim pojęcia. Musiano ją pominąć przy rozdzielaniu tej szczególnej miłości do ziemi odczuwanej przez pozostałych Hollowellów. Woląca mieszkać w mieście. Jakimkolwiek mieście. Nawet w Lovert, którego populacja liczyła dziesięć tysięcy.

Drugie siatkowe drzwi na tyłach budynku zamknęły się z trzaskiem za Carolyn Parton, która właśnie weszła. Wydała z siebie pisk i wyrzuciła ręce w powietrze - jeżeli nie liczyć zwiewnej spódnicy i bluzki z ozdobną falbanką przy dekolcie, wyglądała zupełnie jak siostra.

- Sadie Jo!

Sadie zdążyła odstawić talerz na obłupany blat na sekundę przed tym, nim kobieta zgniotła ją w uścisku, przytulając do swej wydatnej, miękkiej piersi.

- Mój Boże, dziewczyno, szopowe wieki cię nie widziałam!

Sadie się uśmiechnęła, podczas gdy Carolyn cmoknęła ją w policzek.

- Niezupełnie.

Po paru chwilach pogaduszek kucharka przejęła talerz Sadie i naładowała na niego górę żeberek. Nalała jej też szklanek słodkiej herbaty i odprowadziła Sadie do stołu. Niektórzy z jedzących zwolnili już swoje miejsca, Sadie mogła więc usiąść obok ojca.

- Jutro musisz wszystko mi opowiedzieć - zażądała Carolynn, stawiając przed nią napój. Potem przeniosła uwagę na Clive'a. - Jedz - rozkazała, nim się oddaliła.

Clive ugryzł kromkę chleba kukurydzianego.

- Jakie masz plany?

- Jutro muszę iść na próbę weselnej kolacji, a sam ślub jest w sobotę o szóstej. - Wsunęła do ust widelec pełen ryżu po hiszpańsku przygotowanego przez Carolynn i westchnęła błogo. Jej brzuch wypełniał się nie tylko jedzeniem, ale i przyjemnym poczuciem, że znalazła się wśród rzeczy i ludzi od zawsze sobie znanych. - Ale poza tym jutro cały dzień mam wolny. Moglibyśmy zrobić razem coś miłego, skoro już przyjechałam. - Spróbowała przypomnieć sobie wszystkie rzeczy, które wspólnie z ojcem robili do tej pory. Przeżuła kolejny kęs, starając się mocniej skupić. - Może postrzelać do rzutków albo wziąć konie i wybrać się nad Ogonek, pogawędzić ze Snooksem. - Swego czasu uwielbiała strzelać z tatą do glinianych celów oraz pokonywać konno szlak do siedziby nadzorcy. Co prawda nie zdarzało się to często. Zwykle, jeśli męczyła tatę wystarczająco długo, kazał któremuś z pracowników spełnić jej zachciankę.

- Snooks jest w Denver, sprawdza dla mnie jedno stado. - Pociągnął długi łyk mrożonej herbaty. - A ja wyjeżdżam jutro do Laredo.

Nawet specjalnie jej to nie zaskoczyło.

- Co jest w Laredo?

- Zabieram tam Maribell na krycie srokatym ogierem, Diamond Danem.

Interesy zawsze na pierwszym miejscu. Słońce czy deszcz, wakacje czy wizyta córki. Rozumiała to. Wychowano ją tak, by rozumiała, a jednak... na ranchu JH zatrudniano mnóstwo ludzi, którzy z powodzeniem mogliby dowieźć klacz na krycie do Laredo. I czy nie można by poprosić właścicieli, by dostarczyli próbkę nasienia Diamond Dana?

Ale na to pytanie Sadie znalazła odpowiedź. Jej tata był stary i uparty i chciał wszystko nadzorować osobiście, więc nie, nie można by. Musiał na własne oczy zobaczyć krycie, aby upewnić się, że dają mu tego ogiera, za którego zapłacił.

- Wrócisz na wesele? - Nie pytała, czy został zaproszony. Należał do rodziny, nawet jeżeli z krewnymi mamy nie łączyły go ani więzy krwi, ani szczególnej sympatii.

Potrząsnął głową.

- Nie zdążę. - Nie zadał sobie trudu, by wyglądać na zdruzgotanego tym faktem. - Snooks powinien wyrobić się do niedzieli. Wtedy możemy go odwiedzić.

- Muszę wyjechać w niedzielę rano. - Wzięła z talerza żeberko. - W poniedziałek zamykam transakcję. - Renee mogłaby się tym pewnie zająć, ale Sadie wolała nie zostawiać jej samej w razie jakichś nieprzewidzianych komplikacji. Zamarła z żeberkiem w połowie drogi do ust i spojrzała w zmęczone niebieskie oczy taty. Niedługo stuknie mu osiemdziesiątka. Za pięć lat może go już tu nie być. - Właściwie dam radę poprzesuwać terminy. Zostanę do wtorku.

Chwycił szklanę z mrożoną herbatą, a ona zdała sobie sprawę, że wstrzymuje oddech. Czekwała, jak zawsze. Czekwała, by dał jej jakiś znak, słowo czy gest... cokolwiek, cokolwiek, co pozwoliłoby jej sądzić, że jej decyzja coś dla niego znaczyła.

- Nie ma takiej potrzeby - odparł, pociągając łyk. A potem, jak przystało na typowego Hollowella, zmienił temat, odsuwając od siebie wszelkie choć trochę istotne sprawy. - Jak podróż?

- Świetnie. - Odgryzła kawałek mięsa. Czcze pogaduszki. To zawsze nieźle im wychodziło. Przełknęła z trudem, czując rosnącą w gardle gulę. Nagle odechciało jej się jeść, więc odłożyła żeberko z powrotem na talerz. - Na poboczu przy wjeździe stała czarna półciężarówka - dodała i wytarła palce w serwetkę.

- Może jedna z należących do Snooksa.

- Nie, kierowca nie był stąd. Podrzuciłam go na Gas and Go.

Tata zmarszczył swoje białe krzaczaste brwi.

- Lovett to już nie to samo małe miasteczko, w którym dorastałaś.

Musisz na siebie uważać.

Lovett prawie się nie zmieniło.

- Uważałam. - Opowiedziała tacie, jak zażądała od nieznajomego dowodu tożsamości. - A poza tym zagroziłam, że w razie kłopotów porażę go paralizatorem.

- Masz paralizator? -Nie.

- W sejfie leży twoja dwudziestkadwójka, przyniosę ci. - W ten sposób tata chciał, jak podejrzewała, zapewnić, że zmartwiłoby go, gdyby seryjny morderca porąbał ją na kawałki.

- Dzięki. - Pomyślała o Vinsie, o jasnozielonych oczach spoglądających na nią spod daszka czapki. Nie wiedziała, co w nią wstąpiło, że zaprosiła go na ten ślub. Krewni matki zaliczali się do osób niezwykle konserwatywnych, a ona zamierzała przyprowadzić im obcego mężczyznę. Mogło się równie dobrze okazać, że naprawdę jest seryjnym mordercą. Jakimś krwiożerczym szaleńcem albo i gorzej.

Demokratą na przykład.

Dzięki Bogu, że się nie zgodził. I dzięki Bogu, że już nigdy więcej nie będzie musiała oglądać Yinenta Havena.

Rozdział czwarty

Saab wtoczył się na stację Gas and Go i stanął przy jednym z jasno oświetlonych dystrybutorów. W skroniach Sadie pulsował tępy ból. Próba kolacji nie wypadła tak koszmarnie, jak się tego obawiała. W końcu to tylko rozgrzewka przed jutrzejszym wieczorem.

Wysiadła z samochodu i zaczęła tankować paliwo premium. Co do jednego się nie myliła. Wszystkie pozostałe druhnny były od niej o jakieś dziesięć lat młodsze i wszystkie miały chłopaka albo męża. Niektóre dorobiły się już nawet dzieci.

Drużba, z którym pod ramię miała dotrzeć do ołtarza, okazał się kuzynem Brandzla Hendersona. Wołali na niego Rusty, czyli zardzewiały. Sadie nie wiedziała, czy to jego prawdziwe imię czy przezwisko, ale uznała, że pasuje idealnie. Błądą jak pupa niemowlaka twarz Rusty'ego zdobiły piegi, a wieńczyła ją ruda czupryna. Był o dobrych dziesięć centymetrów niższy od Sadie, dlatego zasugerował, żeby następnego dnia włożyła buty na płaskim obcasie.

Jeszcze czego.

Oparła się o bok auta i skrzyżowała ręce na piersi, na beżowym trenczu. Chłodny, nocny podmuch wiatru targał jej włosami związanymi w wysoki kucyk, objęła się więc ramionami, żeby nie marznąć. Ciocia Bess i wujek Jim wydawali się naprawdę szczęśliwi, że ją widzą. Podczas deseru wujek Jim wstał i wygłosił niezwykle długą przemowę na temat

Tally Lynn. Rozpoczął od dnia, w którym córka przyszła na świat, a skończył na tym, jak bardzo wszystkich cieszy fakt, że jutro wychodzi za mąż za swoją szkolną miłość i ogólnie „świątecznego faceta”, Hardy'ego Steagalla.

Przez większą część wieczoru Sadie zdołała jakoś uniknąć pytań dotyczących jej życia uczuciowego. Dopiero po deserze żona wujka Frasiera, Pansy Jean, zaczęła sprowadzać rozmowę na odpowiednie tory. Dzięki Bogu już od kilku godzin podawano drinki, wujek Frasier zdążył więc sporo w siebie wlać, zrobił się gadatliwy i ciągle przerywał ciotce swoimi głupimi dowcipami. Dla nikogo nie było tajemnicą, że jego samokontrola w kwestii alkoholu polegała na powstrzymaniu się od picia do godziny piątej po południu i swobodnym opróżnianiu kieliszków po tym terminie. Minęła już ósma, kiedy bezwiednie ocalił Sadie przed przesłuchaniem ze strony ciotki Pansy Jean.

Pompa się wyłączyła, a Sadie odwiesiła pistolet z powrotem na uchwyt dystrybutora. Nie wyobrażała sobie, że mogłaby wziąć ślub w tak młodym wieku, i to ze swoją szkolną miłością. W czasach liceum zapraszano ją na randki, umawiała się z kilkoma chłopakami, ale nie traktowała żadnego z nich poważnie.

Nałożyła nakrętkę na wlew paliwa, otworzyła drzwi auta i sięgnęła po torebkę leżącą na tylnym siedzeniu. Swoją pierwszą prawdziwą związek przeżyła z początkiem studiów na Uniwersytecie Tekszańskim w Austin. On nazywał się Frank Bassinger, ale wszyscy mówili na niego Frosty.

Tak, Frosty, jak ten bałwan.

Był bardzo przystojny, z rozjaśnionymi słońcem włosami i przejrzystymi, błękitnymi oczami. Jak na Tekszańczyka przystało, grał w futbol, a wyraziste rysy zdawały się wróżyć mu karierę senatora. To on odebrał jej dziewictwo, a zrobił to tak dobrze, że jeszcze tej samej nocy poprosiła go o więcej.

Spotykali się prawie przez rok i patrząc z perspektywy czasu, uznałaby, że Frosty był jedynym porządnym facetem w jej życiu, wtedy jednak nie dojrzała jeszcze na tyle, by to dostrzec. Zaczęła czuć się niespokojnie, jak w więzieniu, i wreszcie postanowiła uciec od swojego chłopaka, od Austin, od Teksasu w ogóle.

Złamała mu serce i miała z tego powodu wyrzuty sumienia, ale była młoda, a przyszłość otwierała się przed nią szeroko. Szerzej nawet niż widok na niezmiarzone równiny Teksasu, który od urodzenia rozciągał się przed jej oczami.

Dziesięciocentymetrowe obcasy jej butów stukały na betonie, kiedy szła przez parking do wejścia na stację. Zastanawiała się, co się stało z Frostym. Pewnie ożenił się z jedną z tych doskonałych dziarskich dziewcząt, które działały w organizacjach charytatywnych, miał dwojkę dzieci i pracował w kancelarii swojego ojca. Pewnie wiódł idealnie idealne życie.

Przecisnęła się między białym pick-upem a jeepem wranglerem. Po Frostym umawiała się z całym szeregiem chłopaków na różnych uniwersytetach. Tylko z jednym z nich stworzyła coś, co była skłonna uznać za poważny związek. Tylko jednemu z nich udało się wyrwać jej serce z piersi i zwinąć w zropaczonego precla. Nazywał się Brent. Po prostu Brent, żadnego drugiego imienia, żadnego przydomka. Poznała go na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley. Nie przypominał facetów, wśród których do tej pory się obracała. Teraz widziała, że był buntownikiem bez powodu, radykałem bez pojęcia o świecie, ale wtedy, mając dwadzieścia kilka lat, nie zdawała sobie z tego sprawy. Nie dostrzegała, że te jego mroczne nastroje nie kryją żadnej głębi. Chłopak z dobrego domu, który nie przedstawiał sobą nic poza pretensjonalną wrogością wobec „systemu”. Boże, jak ona za nim szalała. Kiedy ją rzucił dla dziewczyny o czarnych włosach i uduchowionym spojrzeniu, Sadie sądziła, że umrze

z żalu. Oczywiście przeżyła, lecz potrzebowała sporo czasu, by wyrzucić Brenta z serca. Dziś zmądrzała już wystarczająco, by nigdy więcej nie poddać się miłości tak ślepo. Zgromadziła багаż doświadczeń i nie interesowali jej wycofani emocjonalnie mężczyźni. Tacy jak jej tata, którzy zamykali się w sobie, jeśli tylko ktoś próbował się do nich zbliżyć.

Otworzyła drzwi sklepu i gdzieś wewnątrz odezwał się dzwoneczek. Jej nos został zaatakowany przez zmieszane zapachy popcornu, hot dogów i sosnowego płynu do czyszczenia. Ruszyła wzdłuż półek z chipsami w stronę przeszklonych chłodziarek. Jej ostatni związek nie trwał długo. Facet był przystojny i odnosił sukcesy w pracy, ale musiała się go pozbyć, bo po trzech miesiącach jego techniki łóżkowe nie uległy najmniejszej poprawie. Trzy frustrujące miesiące, podczas których zasypiał, nim doprowadził sprawę do końca. Nie potrzebowała mężczyzny, żeby ją utrzymywał. Potrzebowała go w sprawach, których nie mogła załatwić sama, jak przenoszenie ciężkich przedmiotów czy bzykanie się.

Niby prosta rzecz, a jednak raz za razem szokowało ją odkrycie, że wielu facetów wcale nie ma do tego talentu. Co było zdumiewające. Bo czy uprawianie seksu nie stanowiło ich nadrzędnego obowiązku? Ważniejszego niż wszystkie obowiązki życia codziennego?

Wzięła sześciopak coli light i wyminęła kowboja w średnim wieku, który wyjmował z sąsiedniej lodówki skrzynkę lone starów. Sumiaste wąsy wystające spod ronda kapelusza wydały jej się znajome, nie przystanęła jednak, by lepiej mu się przyjrzeć. Czowała się zmęczona, a podczas próbnej kolacji i poprzedzającego ją lunchu z siostrami Parton nagadała się za wszystkie czasy, a do tego wtrząchnęła tyle, że teraz ledwo się ruszała.

Wtrząchnęła? To słowo może i uchodziło za zwyczajne tu, w Teksasie, ale ona nie używała go przez całe szopowe wieki. Albo jeszcze dłużej.

Sapała paczkę cheetosów i położyła ją wraz z colą na ladzie przed Luraleen Jinks. Jeśli to w ogóle możliwe, pani Jinks od ich ostatniego spotkania pomarszczyła się jeszcze bardziej. Miała na sobie jaskraworóżową bluzkę i różowe kolczyki w kształcie czaszek z oczodołami wysadzonymi diamentami.

- Och, Sadie Jo - powitała ją głosem szorstkim jak gruboziarnisty papier ścierny.

- Dobry wieczór, pani Jinks.

- Wyglądasz pięknie, zupełnie jak twoja mama.

Sadie wiedziała, że powinna odwdziżyć się podobnym komplementem, to jednak wymagałoby zastosowania sztuki kłamania na poziomie, który przekraczał jej umiejętności. Nawet wrodzone teksańskie zdolności na nic by się tu nie przydały.

- Dziękuję, pani Jinks. Bardzo ładne kolczyki. - To też było kłamstwo, ale nie tak rażące, jak gdyby stwierdziła, że sama Luraleen dobrze się prezentuje.

- Dzięki. Dostałam je od jednego z moich panów. Więc ona miała jakichś panów? W liczbie mnogiej?

- Jak tam twój tata? - Podsunęła opakowanie coli pod skaner, a potem umieściła je w foliowej torbie. - Dawno go nie widziałam.

- Wszystko u niego w porządku. - Sadie położyła torebkę od Gucciego na ladzie i wyciągnęła ze środka portfel.

- Słyszałam, że przyjechałaś na wesele Tally Lynn.

- Tak. Właśnie wracam z próby. Tally wydaje się bardzo szczęśliwa. - To prawda. Szczęśliwa i promieniejąca młodzieńczą miłością.

Luraleen skasowała paczkę chipsów.

- Vince mówił, że podwiozłaś go wczoraj do miasta, to miło.

Sadie uniosła na nią wzrok.

- Vince? Ten, któremu się zepsuł samochód? - Ten, który odrzucił ofertę towarzyszenia jej podczas wesela ku-

zynki? Ostatni facet na ziemi, którego miała ochotę ponownie spotkać?

- No tak. To mój siostrzeniec.

Siostrzeniec?! Gdy opuszczała wcześniej ranczo, zauważyła, że czarna półciężarówka zdążyła zniknąć. Luraleen podsumowała wartość zakupów.

- Jest na zapleczu, przestawia pudła. Zawołam go.

- Nie, nie trzeba, napraw...

- Vince! - wrzasnęła Luraleen, a następnie zaniósła się kaszlem.

Sadie rozważała, czy powinna uciec, czy też przeskoczyć ladę i walnąć charczącą kobietę w plecy. Ucieczka nie wchodziła jednak w grę, a co do drugiej opcji, Sadie zastanawiała się, czy gdyby rzeczywiście zaserwowała Luraleen klepięcie w grzbiet, to z jej uszu wydobyłyby się sygnały dymne? Po jednym za każdym uderzeniem.

Z głębi sklepu dobiegło ją najpierw ciche skrzypnięcie drzwi, potem odgłos ciężkich kroków, a wreszcie niskie dudnienie męskiego głosu:

- Co tam, ciociu Luraleen?

Sadie zerknęła w lewo, na zbliżającą się w jej stronę wysoką ciemnowłosą postać. Dolną połowę jego twarzy pokrywał dwudniowy zarost, który sprawiał, że zieleń jego oczu zdawała się żywsza. Jeśli to w ogóle możliwe, wyglądał na jeszcze większego niż poprzedniego wieczoru i jeszcze bardziej pasował do wizerunku niegrzecznego chłopca, z którym go utożsamiała. Pozbył się bejsbolówki, co uczyniło go nawet seksowniejszym. Włosy nosił krótko przystrzyżone, może o dwa, trzy centymetry dłużej niż zawodowy żołnierz.

Zatrzymał się na jej widok.

- Cześć, Sadie. Pamiętał jej imię.

- Cześć, Vincent. - I chociaż dał już jasno do zrozumienia, że bez problemu potrafi się jej oprzeć, znów musia-

ła walczyć z idiotyczną ochotą, by podkreślić włosy na palcu i poprawić makijaż. Co uznała za dowód, że czas zacząć myśleć o jakimś nowym związku. Tym razem z mężczyzną, który sprawdzi się w łóżku. - Nie zauważyłam dziś twojego auta na poboczu. Więc chyba udało ci się załatwić lawetę?

- Wszyscy mówią mi Vince - odparł, wsuwając się za ladę i stając obok ciotki. -1 tak, dziś rano ściągnąłem samochód do miasta. Okazuje się, że padł alternator, ale mają go naprawić do poniedziałku.

Facet, na którego właśnie patrzyła, bez wątpienia wiedziałby, jak się zabrać do rzeczy i co zrobić, żeby było dobrze. Tacy jak on znali wszystkie sekretne łóżkowe sztuczki. Nie tylko łóżkowe zresztą, z powodzeniem dało się je zastosować również na stojąco, pod ścianą, albo na plaży na O'ahu, albo w wozie, na parkingu górującym nad Los Angeles. Nie żeby znała to z własnego doświadczenia. Oczywiście, że nie.

- Więc zostajesz do poniedziałku? - I dlaczego właściwie myśli o Vinsie i o seksie w ogóle przychodziły jej do głowy? Może dlatego, że te dwa koncepty świetnie się łączyły, gdy tak przyglądała się brązowej koszulce opinającej jego umięśnioną pierś.

Zerknął na ciotkę.

- Nie zdecydowałem jeszcze, kiedy wyjeżdżam. Sadie przesunęła po ladzie banknot dwudziestodolarowy. Spojrzała w górę, w jasnozielone oczy Vince'a, osadzone w śniadej twarzy. Nie wyglądał na kogoś, kto lubi spędzać czas w małych miasteczkach. Szczególnie w małych miasteczkach w Teksasie.

- Lovett to nie to samo co Seattle. - Oceniała, że jest jakoś po trzydziestce. Kobiety z Lovett dostałyby z zachwyty spazmów, gdyby go poznały. Nie wiedziała tylko, ile z tych kobiet wciąż pozostaje niezamężnych. - Nie ma tu za bardzo co robić.

- Och, pozwolę sobie się z tobą nie zgodzić - prychnęła Luraleen, wydając resztę. - Nie mamy może wielkich muze-

ów i modnych galerii sztuki, i takich tam, ale zawsze wiele się u nas dzieje.

Sadie wyraźnie uderzyła w czułą strunę, nie spierała się więc dłużej, że jej zdaniem w Lovett nie dzieje się praktycznie nic. Wzięła swoją resztę i schowała do portfela.

- Chciałam tylko powiedzieć, że miasto stawia na wartości i atrakcje rodzinne.

Luraleen zatrzasnęła szufladę kasy.

-I nie ma w tym nic złego. Dla większości ludzi rodzina jest bardzo ważna. - Popchnęła siatkę z colą i cheetosami w stronę Sadie. - Mówię o tych, którzy odwiedzają swoich biednych starych ojców częściej niż raz na pięć lat czy jakoś tak.

Przypuszczalnie chodziło o ojców, którzy zostają w domu, kiedy już ich córki objawią się po pięciu latach.

- Tata wie, gdzie mieszkam. Zawsze wiedział.

Jej policzki pokryły się gorącym rumieńcem. Czuła złość i wstyd i nie wiedziała, co gorsze. Luraleen, jak większość mieszkańców Lovett, nie miała pojęcia, o czym mówi, a jednak nie powstrzymało jej to od wypowiedziania się tak, jakby pozjadała wszystkie rozumy. Sadie nie zdziwiło, że kobieta wiedziała dokładnie, ile czasu minęło od jej ostatniej wizyty. Małomiasteczkowe plotki zajmowały wysokie miejsce na liście powodów, dla których opuściła Lovett, i nigdy nie oglądała się wstecz. Wrzuciła portfel do torebki i znów uniosła wzrok na Vince'a.

- Cieszę się, że załatwiłeś kwestię samochodu.

Vince patrzył, jak Sadie chwyta siatkę z colą light i chipsami. Patrzył, jak jej policzki stają się coraz czerwieńsze. Po jej niebieskich oczach widział, że targają nią emocje. Inne niż wyłącznie gniew. Gdyby był miłym facetem, pewnie udałoby mu się rzucić coś, co złagodziłoby zjadliwy komentarz Luraleen. W końcu Sadie wyświadczyła mu przysługę. Ale nie

wiedział, co powiedzieć, a poza tym nikt nigdy nie posądzał go o bycie miłym facetem. Może z wyjątkiem jego siostry, Autumn. Ta z zasady miała o nim lepsze mniemanie, niż na to zasługiwał. Vince wyznawał pogląd, że jeśli jedyna kobieta na świecie uważająca cię za porządnego gościa to twoja rodzona siostra, czyni cię to w gruncie rzeczy dupkiem. O dziwo zupełnie mu to nie przeszkadzało.

- Jeszcze raz dzięki za podwózkę - odezwał się wreszcie. Coś na to odrzekła, ale nie dosłyszał co, ponieważ odwróciła od niego twarz. Jej kucyk śmignął mu przed oczami, gdy okręciła się na obcasach i ruszyła do wyjścia. Przemknął wzrokiem po jej płaszczu, po odkrytych łydkach i kostkach, aż do przyciągających uwagę czerwonych szpilek na perwersyjnie wysokim obcasie.

- Zawsze zdawało jej się, że w Lovett nie ma grędy wystarczająco wysokiej, by mogła się na niej usadowić.

Vince zerknął na ciotkę, a potem jego wzrok powrócił do Sadie i śledził jej wędrówkę przez parking. Nie wiedział, co grędy mają z tym wszystkim wspólnego, był za to wielkim fanem perwersyjnych butów.

- Zachowałeś się wobec niej niegrzecznie.

- Ja? - Luraleen przyłożyła dłoń do chudej piersi w niewinnym geście.

- Twierdziła, że u nas nie ma co robić!

-No i?

- A jest mnóstwo atrakcji! - Gwałtownie potrząsnęła głową, lecz żaden z jej siwych włosów nawet nie drgnął. -Po pierwsze, piknik na Dzień Założyciela, po drugie, wielka feta na Święto Niepodległości... Nie wspominając już o tym, że za miesiąc Wielkanoc. - Gestem ręki przywołała Alvina, który stał w głębi sklepu ze skrzynką lone starów. - Mamy też kilka naprawdę przyjemnych restauracji i dobre jadłodajnie. - Zbliżyła piwo do czytnika. - Prawda, Alvin?

- U Ruby podają pyszne steki - zgodził się kowboj, wręczając Luraleen dwa zwinięte banknoty. Wydawało się,

że jego kapelusz trzyma się tylko na dużych odstających uszach. - Choć owoce morza nie są zbyt smaczne. Luraleen zbyła jego krytykę machnięciem ręki.

- To stan hodowców bydła. Kogo obchodzą owoce morza?

- Co robisz dziś po zamknięciu sklepu, Luraleen? Kobieta rzuciła Vince'owi ukradkowe spojrzenie, a on udał, że tego nie zauważył.

- Siostrzeniec wpadł w odwiedziny...

- Jeśli masz ochotę gdzieś wyjść z przyjaciółmi, to się nie krepuj. - Po wspólnie spędzonym wieczorze i większości dzisiejszego dnia z przyjemnością by odpoczął od ciotki. Wciąż nie zdążył przemyśleć jej propozycji. W pierwszym odruchu chciał ją odrzucić, ale im dłużej się zastanawiał, tym bardziej wydawało mu się, że powinien jednak się zgodzić. Nie planował zostać w Lovett, w stanie Teksas, do końca życia, ale może udałoby się przekształcić Gas and Go w kolejną prężną inwestycję. Kilka niewielkich ulepszeń tu i tam, a potem mógłby sprzedać stację za kupę forsy.

- Jesteś pewny?

- Tak. - Był pewny. Definicja udanego wieczoru według jego ciotki uwzględniała przeboje bogini country Tammy Wynette odtwarzane z magnetofonu oraz trzy ćwiartki whisky. On raczej nie przepadał za burbonem, zwłaszcza za tanim, i nie wiedział, ile jeszcze zniesie jego wątroba.

Luraleen położyła resztę na wyciągniętej dłoni Alvina.

- W porządku, ale postaraj się, żeby tym razem wszystko funkcjonowało jak należy albo w ogóle się nie fatyguj.

Funkcjonowało?

Alvin poczerwieniał, zdobył się jednak na puszczenie oka.

- Masz to jak w banku, kotku.

Co, do...? Vince otarł się w życiu o całą masę niepokojących, wstrząsających zjawisk, o których wspomnienia prze-

chowował głęboko w mrocznych otchłaniach swej duszy, lecz myśl o pomarszczonej ciotce ciupciającej się z Alvinem właśnie zajęła bardzo wysokie miejsce na jego liście zatytułowanej: „niepokojące i wstrząsające”.

Luraleen zamknęła szufladę kasy i ogłosiła:

- Zamykamy dziś wcześniej. Wyłącz podgrzewacz do hot dogów, Vince!

Po niespełna godzinie Vince znalazł się w domu ciotki. Luraleen nałożyła na pomarszczone końskie wargi szminkę w kolorze sztucznego barwnika truskawkowego, a potem wskoczyła do wozu Alvina i wspólnie odjechali, by robić rzeczy, o których Vince z całą pewnością nie chciał myśleć.

Vince został sam na osłoniętym siatką ganku, usadowiony na metalowym krześle. Uniósł do ust butelkę z wodą, a potem odstawił ją na wypaczone deski przy swojej lewej stopie. Odpoczywanie nigdy nie szło mu dobrze. Lubił mieć coś do zrobienia. Jakiś jasny cel.

Zawiązał sznurowadła w swym lewym bucie do biegania, potem w prawym. W oddziałach SEAL zawsze znalazło się coś do roboty. W strefie walk czy w obozie, gdzie trenował i przygotowywał się do następnej misji - zawsze. Gdy wrócił do domu, starał się zająć sobie czas pracą i opieką nad rodziną. Jego siostrzeniec miał zaledwie kilka miesięcy, a siostra stale potrzebowała pomocy. Cel był zrozumiały. Nie zostawiało mu to zbyt wielu okazji na zagłębienie w siebie czy rozmyślanie o czymkolwiek.

I to mu odpowiadało.

Siatkowe drzwi zatrzasnęły się za nim, gdy wyszedł na chłodne marcowe powietrze. Srebrna tarcza księżyca wisiała wśród czarnego rozgwieżdżonego nieba. W wielkich miastach, takich jak Seattle, Nowy Jork czy Tokio, nocna panorama na rozświetlone wieżowce zapierała dech w piersiach, lecz nic nie mogło równać się z naturalnym pięknem milionów gwiazd.

Podeszwy jego butów wybijały cichy miarowy rytm na asfalcie. Czy to w Afganistanie, czy w Iraku, czy na platformie wiertniczej na łagodnych wodach Zatoki Perskiej, Vince zawsze odnajdywał swego rodzaju spokój, gdy świat okrywała zasłona nocy. Co zakrawało na ironię, biorąc pod uwagę fakt, że jak większość żołnierzy Sił Specjalnych często prowadził działania o najczarniejszej godzinie doby, słysząc w oddali znajome terkotanie kałasznikowów i pokrzepiającą odpowiedź amerykańskich M4A1. Dychotomia uczuć, które wyzwalała w nim ta pora, wzbudzająca w sercu w równej mierze strach i spokój, wynikała ze świadomości, którą dzielił z innymi żołnierzami: lepiej ruszyć na teren wroga, niż czekać, aż on uderzy pierwszy.

W ciszy teksańskiego zmierzchu do jego uszu docierał jedynie odgłos własnych kroków i odległe szczekanie psa. Chyba rottweilera.

Podczas nocy takich jak ta jego głowę zaprzętały myśli dotyczące albo przeszłości, albo przyszłości. Przed oczami stawały mu twarze kumpli. Tych, którzy przetrwali, i tych, którzy polegli. Pamiętał wszystkich chłopaków z Drużyny Pierwszej, Pluton Alfa. Ich niewinne oblicza zmieniły się z czasem, w miarę tego, co widzieli i robili. Vince dorósł, służąc w marynarce. Stał się mężczyzną, a rzeczy, które widział i robił, jego także odmieniły.

Lecz dziś jego rozważania płynęły w inną stronę. Nie miały nic wspólnego z minionymi chwilami. Musiał przyznać, że im więcej rozmyślał o odkupieniu Gas and Go od cioci Luraleen, tym bardziej ten pomysł do niego przemawiał. Wystarczyłby rok, żeby nabyć prawa własności, odnowić stację i sprzedać ją z zyskiem. Albo, cholera wie, może mógłby zostać drugim Johnem Jacksonem, właścicielem i założycielem sieci blisko stu pięćdziesięciu sklepów spożywczych rozsianych po całej północno-zachodniej części kraju.

Co prawda nie miał pojęcia o prowadzeniu sklepu, ale John wcale nie wiedział więcej, gdy zaczynał. Pochodził z małej miejscowości w Idaho i pracował jako sprzedawca w wielkim koncernie paliwowym, a obecnie jego majątek wyceniano na grube miliony. Nie żeby Vince zamierzał zostać potentatem handlowym. Nie uśmiechało mu się codzienne chodzenie w garniturze i pod krawatem. I ze względu na swój temperament nie nadawał się do zasiadania w zarządzie. Zdawał sobie sprawę ze swych mizernych zdolności dyplomatycznych, jeśli w ogóle można było o takich w jego przypadku mówić. Nie znosił pieprzenia głodnych kawałków, preferował niezwłoczne przejście do rozwiązywania problemu. Wolał wyważyć drzwi kopniakiem niż pertraktować z pilnującym ich strażnikiem - skończył jednak trzydzieści sześć lat, a jego ciało zaczynało odczuwać skutki zbyt wielu lat wyważania drzwi, wyskakiwania z samolotów, pokonywania kłębiących się fal, na których rzucało nim niczym kowbojem na rodeo, i ciągnięcia ciężkiego pontonu po plaży.

Przebiegł pod rzędem rzucających słabe światło latarni ulicznych i skręcił na północ. Przetrwał koszmarne tygodnie szkolenia PKNP/S, a potem przez dziesięć lat służył w Drużynie Pierwszej, której baza znajdowała się w Coronado. Rzucano go po całym świecie, nim w końcu osiedlił się w Seattle, gdzie mógł zająć się swoim siostrzeńcem. Opieka nad tym maluchem sprawiała czasami, że tęsknił do bezlitosnych burz piaskowych, cuchnących bagien i przejmującego zimna, na którym szcekał zębami. Prowadzenie jednego małego sklepu było pestką w porównaniu z tym wszystkim, a poza tym, szczerze stawiając sprawę, i tak nie miał teraz nic innego do roboty.

Z naprzeciwka nadjeżdżał samochód, więc zbliżył się do krawężnika. Od dawna nie doznawał takiego poczucia bezcelowości. Odkąd jego ojciec odszedł, zostawiając jego,

matkę i siostrę, by już nigdy nie dać znaku życia. Vince miał wówczas dziesięć lat. Wtedy po raz pierwszy poczuł się zagubiony i niepewny swego miejsca w świecie. Był za mały, żeby pomóc matce, i za duży, żeby płakać jak jego siostra. Ogarnęła go bezradność. Coś, czego nienawidził do dnia dzisiejszego.

W tamtym czasie mieszkali w niewielkim domku nad brzegiem jeziora Coeur d'Alene w północnym Idaho. Porzucony przez ojca, żyjący pod jednym dachem z matką, która zupełnie nie radziła sobie z nową sytuacją, uciekał przed bólem w głąbiny jeziora; całe lato spędził, odkrywając sekrety lodowatych wód. Każdego ranka przygotowywał dla siostry śniadanie i pilnował jej, póki matka nie zwlokła się z łóżka. Następnie wkładał kąpielówki, chwycił płetwy oraz okulary do pływania i zmuszał się do wysiłku. Każdego kolejnego dnia docierał dalej w kierunku środka zbiornika, nurkował głębiej i na dłużej wstrzymywał oddech. To był jego jedyny cel. Jedyny sposób na walkę z bezsilnością. Jedyna rzecz, nad którą sprawował kontrolę.

W ciągu następnych ośmiu lat przeprowadzili się cztery razy. Zdarzało się, że nowe mieszkanie znajdowało się w tym samym stanie, nigdy jednak w granicach tego samego hrabstwa czy okręgu szkolnego. W każdym z tych miejsc Vince dorabiał sobie, rozwożąc przed szkołą gazety. Ze względu na budowę ciała i wrodzone zdolności sportowe grał trochę w futbol, choć zawsze wolał lacrosse. W czasie wakacji pracował, a wolny czas spędzał nad najbliższym akwenem. Pływał, nurkował albo zmuszał Autumn, by udawała, że tonie, a następnie odholowywał ją do brzegu. Kiedy siostra mu nie towarzyszyła, rozglądał się za dziewczynami.

Gdy miał szesnaście lat, mieszkali z rodziną w Forest Grove w stanie Oregon. W letnie dni wyprawiał się nad jezioro Hagg. Tam, na plaży, pod gwiazdami i księżycem w pełni, stracił dziewictwo z dziewczyną o imieniu Heather.

Miała osiemnaście lat. Niektórzy ludzie uznaliby różnicę wieku za problem, Vince jednak do nich nie należał. Nie widział żadnych przeciwwskazań dla całonocnego maratonu seksu z Heather.

Od zawsze wiedział, że chce wstąpić do wojska, ale obiecał mamie, że spróbuje najpierw swoich sił na uniwerku. Otrzymał stypendium sportowe na Uniwersytecie w Denver, gdzie przez dwa lata grał w lacrosse, nie znajdując jednak w murach uczelni miejsca dla siebie. Za to w dniu, w którym przestąpił próg centrum poborowego marynarki wojennej, poczuł się, jakby powrócił do domu. Wystarczyło jedno spojrzenie na ścienne malowidło przedstawiające oddział SEAL opuszczający się na linach ze śmigłowca na pokład statku, z nieskończonym granatowym oceanem w tle, by upewnił się, że właśnie tego pragnął przez całe swoje życie.

W chwili obecnej nic nie wydawało się tak oczywiste. Nie dostrzegał przed sobą celu. Był niespokojny, co zawsze źle się kończyło. Taki niepokój prowadził do barowych bójek albo jeszcze gorzej. Bo istniały rzeczy gorsze niż pobicie przez gang motocyklowy. Gorsze niż eksplozja, która zmiatała z powierzchni ziemi wszystko, na co tak ciężko się pracowało. Gorsze niż utrata słuchu w lewym uchu.

Należał do SEAL, nieuchwytnych wojowników, i uleganie koszmarnym snom, budzenie się z przerażeniem w kałuży zimnego potu było niewątpliwie najgorszym, co go do tej pory spotkało.

Ale czy sklepik przy stacji benzynowej na teksańskim zadupiu mógł mu pomóc w odzyskaniu jasności postrzegania? Czy naprawdę chciał wieść małomiasteczkowy żywot? Przez co najmniej rok? Sprzedając piwo, benzynę i Wściekle Psy? Remontując?

Spytał Autumn o zdanie w tej kwestii. Siostra prowadziła w Seattle dobrze prosperującą firmę zajmującą się organizacją imprez, interesowała go więc jej opinia. Podczas

tej ostatniej rozmowy dało się wyczuć, że jest przeszczęśliwa, planując wreszcie swoje własne wesele. Swoje i tego sukinsyna, swojego eks.

Tego samego sukinsyna, który wpłacił za niego kaucję po rozwałce z bikerami i polecił mu genialnego adwokata. Co znaczyło, że Vince był mu coś winien, a nie znosił niespłaconych długów.

Kierował się w życiu kilkoma niewzruszonymi zasadami. Zawsze zachowuj jasny umysł, a ekwipunek utrzymuj w czystości i porządku. Nigdy nie zostawiaj kumpla na pastwę losu i nie pozwól, byś miał z kimś niewyrównane rachunki.

Rozdział piąty

Sadie stała pod zbudowaną z drewna i drutu pergolą w kształcie serca, przystrojoną różami i tiulem, jako druga w rzędzie drухen odzianych w różową taftę. Walczyła z chęcią ciągłego podciągania swojej sukienki bez ramiączek. Przy okazji przymiarki włożyła kreację tylko na kilka minut i nie zdawała sobie do tej pory sprawy, jak nisko na biuście kończy się materiał. Wyglądało na to, że pozostałym dziewczynom wcale to nie przeszkadza, lecz Sadie nigdy nie przepadała za przykrótkimi i obcisłymi strojami. Ani nie zapewniały wygody, ani nie nadawały się do pracy -przynajmniej w jej branży. Dlatego nie była przyzwyczajona do ubrań, które ścisnęły i uwydatniały poszczególne części jej ciała. Przypuszczała jednak, że gdyby nadal miała dwadzieścia lat, uznałaby różową taftową sukienkę za uroczą. Inne drухny wyglądały w nich uroczo, ale ona, trzydziesto-trzyletnia kobieta, czuła się idiotycznie.

- Jeśli ktoś zna powód, dla którego tych dwoje nie może związać się świętym węzłem małżeńskim, niech wystąpi teraz lub zamilknie na wieki - wygłosił formułę pastor, zbliżając się do środka ceremonii.

Druhna numer trzy, stojąca tuż za Sadie Becca Ramsey, szepnęła coś i pociągnęła nosem. Poprzedniego wieczoru jej chłopaka, Slade'a, przyłapano na zdradzie z „tą zdzirą, Lexą Jane Johnson”. Becca źle to znosiła. Do Kaplicy Ślubów w Pałacu Zakochanych dotarła pochlipująca, z napuch-

niętymi, czerwonymi oczami. Nie przestawała płakać, gdy wszystkie siedziały w obrotowych fotelach, a wynajęte specjalistki zajmowały się ich makijażem i fryzurami, aż Tally Lynn uznała, że ma dość. Podniosła się z miejsca, z włosami zakręconymi na gorących wałkach i świeżo przyklejonymi sztucznymi rzęsami, w białym płaszczu kąpielowym okrywającym jej chude ramiona i oznajmiającym wszem wobec: „Jestem panną młodą”.

- Posłuchaj, Becco Ramsey, nie uda ci się zrujnować mojego wielkiego dnia! - krzyknęła głosem tak strasznym, że nawet Sadie odruchowo wyprostowała się w fotelu. Oczy Tally Lynn zwięziły się, a na jej gładkim czole wystąpiła żyłka. Wyciągnęła palec z idealnie wypielegnowanym paznokciem w kierunku niepokornej druhny. - To moje święto, nie twoje! Wszyscy wiemy, że Slade przeleciałby wszystko, co się rusza! Od dwóch lat oglądał się za spódniczkami pod twoim nosem. A ty znosiłaś wybryki tego dupka, więc teraz się zamknij, ani słowa więcej o Siadzie! Jeśli ktoś jeszcze ma zamiar zepsuć mi wesele, to niech się stąd zabiera w cholerę razem z Beccą! - A potem usiadła z powrotem i skinęła dłonią na kosmetyczkę, dając znak, że może kontynuować, jakby nie przerodziła się przed chwilą w żeńskie wcielenie szatana. - Proszę mocniej podkreślić oczy.

Sadie uśmiechnęła się, dumna z dzielnej małej kuzynki, której prawie nie znała. I dumy tej nie nadwreżył fakt, że przez Tally Lynn musiała włożyć kusą różową studniówkową kieckę i dać sobie natapirować włosy w iście teksańską fryzurę. Z tych, których nigdy w życiu nie nosiła, nawet wówczas, gdy uważała się jeszcze za Teksankę.

- Możesz pocałować pannę młodą - obwieścił pastor, na migi pokazując panu młodemu, by mocno chwycił świeżo poślubioną żonę, przechylił ją przez ramię i złożył na jej ustach pocałunek. Sadie poczuła w sercu delikatne ukłucie. Nie była to zazdrość. Raczej przypomnienie, że sama pewne-

go dnia chciałyby znaleźć mężczyznę gotowego stanąć z nią przed kapłanem, przyrzec jej wieczną miłość i przechylić ją przez swoje ramię.

- Panie i panowie, oto państwo Steagall.

Sadie odwróciła się na pięcie, by wraz z młodą parą przejść wzdłuż ławek aż do holu. Może w tym ukłuciu kryła się też odrobinka melancholii.

Wysunęła się spod zadaszenia pergoli i ujęła Rusty'ego pod ramię. Nie wiedziała, dlaczego w ogóle odezwało się w niej to uczucie, nawet w tak niewielkiej dawce. Nie wywołała jej przecież myśl o własnym życiu. Sadie swoje życie lubiła.

- Gotowa na zabawę? - spytał Rusty kącikiem ust, kiedy kroczyli wśród zebranych gości.

- Jasne.

Nie pogardziłaby lampką wina. Może to widok Tally Lynn, ciotki Bess i wujka Jima promieniejących szczęściem sprawił, że tak się poczuła. Może winna była suknia w kolorze gumy do żucia i biało-różowy bukiet, który wciśnięto jej do ręki. A może chodziło o to, że znów znalazła się w Lovett, gdzie każdy pragnął jedynie wziąć ślub i sprowadzić na świat dzieci. Sadie nie miała pewności, co wywołało te emocje, ale faktem pozostawało, że czuła się samotna i opuszczona. Nawet Rusty został jej tylko wypożyczony: jego dziewczyna czekała gdzieś w tłumie. Z tego co wiedziała, ona i świeżo porzucona Becca były jedynymi wolnymi osobami w całym Pałacu Zakochanych. Nawet niemłoda już ciotka Charlotte, ta drapieżna kocica, zdołała sobie przygruchać partnera.

Sadie ustawiła się w kolejce do zdjęć. Uśmiechnęła się do aparatu, udając, że jej nastrój wcale gwałtownie się nie pogorszył. Cieszyła się szczęściem kuzynki. Szczerze. Ale mimo to nie mogła się doczekać, aż wróci do swojego zwykłego życia i pozbędzie się wrażenia, że jest frajerką, która nawet nie potrafi utrzymać przy sobie faceta.

Po sesji fotograficznej udali się do sali jadalnej, spowitej w złoto, róż i biel. Tally Lynn przytuliła Sadie, przyciskając ją mocno do swej sukni w kształcie wielkiej bezy.

- Tak się cieszę, że mogłaś przyjechać! - zawołała, a miłość i wizja szczęśliwej przyszłości rozświetliły jej twarz wewnętrznym blaskiem. - Och, Sadie, czuję, że ty będziesz następna! - dodała.

Sadie wiedziała, że kuzynka mówi to w dobrej wierze, że chce ją tylko pocieszyć i rozweselić, zdobyła się więc na wymuszony uśmiech i radosne:

- Kto wie.

- Posadziłam cię z kilkoma ciotkami. - Tally Lynn wskazała jeden z okrągłych stolików udekorowanych różami i małymi świeczkami w kolorze komponującym się z kwiatami. - Są bardzo szczęśliwe, że mogłaś przyjechać, więc chciałam dać wam szansę na nadrobienie zaległości.

- Fantastycznie. - Ciotki. Sadie zaczęła lawirować między stolikami przykrytymi lnianymi obrusami i zastawionymi kryształowymi naczyniami. Na porcelanowych talerzykach czekała sałatka Cezara. Sadie powoli, ostrożnie, zbliżała się do grupy inkwizytorów z włosami przywodzącymi na myśl watę cukrową i plamami różu na ponadosiem-dziesięcioletnich policzkach. - Witaj, ciociu Nelmo, witaj, ciociu Ivello. - Pochyliła się, by musnąć wargami cienką skórę opinającą ich twarze, jednocześnie przytrzymując delikatnie sukienkę na piersiach. - Tak się cieszę, że was widzę.

- Mój Boże, wyglądasz zupełnie jak twoja mama! Powiedz, Nelmo, czy Sadie nie wygląda całkiem jak Johanna Mae w dniu, w którym została Miss Teksasu?

-Co?

- Pytałam, czy Sadie nie wygląda całkiem jak Johanna Mae! - wrzasnęła Ivella.

- Dokładnie jak ona - przytaknęła Nelma.

- To przez fryzurę. - Sadie zajęła miejsce naprzeciwko ciotek, obok potężnie zbudowanej dziewczyny, która też wydawała się znajoma.

- To takie smutne - westchnęła Ivella, potrząsając głową.

Co było smutne? Jej fryzura?

- Biedna Johanna Mae.

Ach, to. Sadie rozłożyła lnianą serwetkę na kolanach.

- Jej serce mieściło po prostu zbyt wiele! I w końcu pękło! - wykrzyknęła Nelma. Może i miała problemy ze słuchem, jej głosowi za to niczego nie brakowało.

Im więcej lat upływało, tym bardziej wspomnienia Sadie o matce bladły. I to dopiero było smutne.

- Wielkie dobre serce - zgodziła się Ivella.

Sadie przeniosła uwagę na kobietę siedzącą po prawej. Wyciągnęła do niej lewą rękę.

- Cześć. Jestem Sadie Hollowell.

- Sarah Louise Baynard-Conseco.

- Och, ty jesteś córką Dużego Buddy'ego? -To ja.

- Chodziłam do szkoły z Małym Buddym. Co on teraz porabia? - Ujęła w dłoń widelec i wsunęła do ust listek sałaty.

- Pracuje w San Antonio dla Mercury Oil. - Jak wszyscy wokół, Sarah Louise mówiła głębokim głosem z silnym południowym akcentem, który sprawiał, że niektóre słowa wydobywały się z jej ust nieco zniekształcone. Swego czasu Sadie również tak mówiła, lecz teraz już ledwie dało się usłyszeć ślad dawnych przyzwyczajień. - Ożenił się i ma trójkę dzieci.

Trójkę? A Sadie była od niego o rok starsza. Gestem przywołała kelnera, który podał jej kieliszek merlota. Pociągnęła długi łyk, nim odstawiła wino na stół.

- Co u twojego taty? - spytała Nelma głośno.

- Wszystko dobrze! - odparła Sadie. Zjadła kilka kęsów sałatki. - Dziś rano pojechał do Laredo na krycie klaczy.

Ivella odłożyła widelec i zmarszczyła cienkie białe brwi.

- Dlaczego, na Boga, zostawił cię tu samą?

Sadie wzruszyła ramionami, uprzytomniła sobie, że to nie najlepszy pomysł, biorąc pod uwagę głęboko wykrojona kreację, i podciągnęła ją nieco. Wyruszył przed wschodem słońca, nie zdążyła więc nawet życzyć mu dobrej drogi. Znała go dobrze i mogła mieć pewność, że zamierzał się z nią pożegnać przed jej wyjazdem z Teksasu, chwilowo jednak inne sprawy zyskały przed nią pierwszeństwo.

W czasie posiłku wszyscy rozprawiali o ceremonii. Komentowali suknię panny młodej i przysięgi napisane przez oboje małżonków, i ten pocałunek na końcu.

- To było bardzo romantyczne - stwierdziła Sarah Louise, podczas gdy kelnerzy zabrali puste talerze po sałatce i postawili przed nimi przystawki.

- Kiedy ja wychodziłam za Charlesa Raya, ten pocałunek na oczach księdza był naszym pierwszym - wyznała Nelma na tyle głośno, że pewnie mogli ją usłyszeć w oddalonym o dwieście kilometrów Dalhart. - Tato nie pozwalał nam, swoim córkom, włączyć się z chłopcami.

- Prawda - przyznała Ivella.

Sadie zbadała uważniej zawartość talerza. Stek, gniecione ziemniaki i szparagi.

- Wtedy nikt nawet nie pomyślał o tym całym spaniu ze sobą przed ślubem!

Gdyby nie to całe spanie ze sobą przed ślubem, Sadie wciąż byłaby dziewicą. Ukroiła kawałek mięsa. Choć ostatnio tak niewiele się działo w tej sferze jej życia, że równie dobrze mogłaby nią być. Osiągnęła wiek, w którym przede wszystkim liczyła się jakość. Nie żeby wcześniej jej na tym nie zależało, teraz stała się po prostu mniej tolerancyjna w kwestii kiepskiego seksu.

- A ty wyszłaś za mąż? - zapytała sąsiadka po prawej. Sadie zaprzeczyła ruchem głowy i przełknęła. -Aty?

- Tak, ale mój mąż mieszka poza miastem. Kiedy go zwolnią, założymy rodzinę.

Zwolnią?

- Służy w wojsku?

- Przebywa w San Quentin.

Zamiast zadać nasuwające się pytanie, Sadie wzięła kolejny kęs. Sarah Louise mimo to pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Siedzi za morderstwo. - Szok musiał odmalować się na twarzy Sadie, bo zaraz dodała: - Ale oczywiście tego nie zrobił.

Oczywiście.

- Znałaś go zanim... hm, zanim... wyjechał?

- Nie. Poznaliśmy się przez serwis dla więźniów poszukujących korespondencyjnych znajomych. Odsiedział już dziesięć lat i zostało mu drugie dziesięć, nim będzie mógł ubiegać się o zwolnienie warunkowe.

Dobry Boże. Zawsze zaskakiwało ją, kiedy kobieta, po pierwsze: decydowała się poślubić mężczyznę osadzonego w więzieniu, a po drugie: informowała o tym bez żadnego skrępowania.

- To bardzo dużo czekania.

- Będę mieć dopiero trzydzieści pięć lat, zresztą jeśli zaszłaby potrzeba, czekałabym na Ramona całą wieczność.

- Co ona mówi?! - chciała wiedzieć Nelma, celując w Sarah Louise widelcem.

- Opowiada Sadie o tym mordercy, z którym się spiknęła!

- Ach tak. Poczciwa dziewczyna.

Sadie trochę współczuła Sarah Louise. Życie w małej miejscowości, gdzie wszyscy znają cię jako osobę, która związała się z „tym mordercą”, musiało być trudne.

Ciocia Nelma pochyliła się nad stołem i wrzasnęła:

- Masz chłopaka, Sadie Jo?

- Nie. - Sadie uniosła do ust kieliszek czerwonego wina i upiła łyczek. Minęła już siódma i aż do teraz udało jej się uniknąć pytań na ten temat. - Nie bardzo mam teraz czas na mężczyzn.

- Czy to znowu te twoje dziwaczne pomysły? Należysz do tych kobiet, co to uważają, że nie potrzebują chłopca do szczęścia?

Kiedy dorastała, nieustannie spotykała się z oskarżeniem o szerzenie dziwacznych pomysłów. Za każdym razem, gdy tylko jej zdanie odbiegało od poglądów reszty stada.

- Cóż, rzeczywiście nie mogę powiedzieć, że potrzebuję. - Istniała różnica między potrzebą a pragnieniem.

- Co ona powiedziała?! - dociekała Nelma.

- Sadie mówi, że nie potrzebuje mężczyzny! Cudownie. Teraz wiedziała o tym cała sala. Ale ciotki

jeszcze z nią nie skończyły. Jako doświadczone swatki wymieniły tylko jedno spojrzenie i skinęły głowami.

- Gene Tanner jest wolna - oznajmiła Ivella. - Pocziwa z niej dziewczyna.

Gene Tanner? Ta ostrzyżona na jeża, która przez całe liceum nosiła wyłącznie flanelowe koszule?

- Ona wciąż tutaj mieszka? - Sadie założyła się

o grube pieniądze, że Gene wyjechała z Lovett dawno temu

i nigdy nie wróciła. Pasowała tu jeszcze mniej niż Sadie.

- Przeniosła się do Amarillo, ale co weekend odwiedza swoją mamę.

Sadie zamarła, spodziewając się kąśliwej uwagi na temat własnych zaniedbań względem ojca.

- Pracuje jako strażniczka w parku narodowym i pewnie ma niezłe ubezpieczenie zdrowotne.

Sadie odetchnęła. Rozmawiała z krewnymi matki, którzy nigdy nie dbali specjalnie o Clive'a Hollowella i jego sa-

mopoczucie. Nie ukrywali, że ich zdaniem był zbyt zimny i nieczuły jak na partnera ich słodkiej Johanny Mae.

- Razem z opieką dentystyczną? - spytała Sadie, jak przystało na prawdziwą spryciarę.

- Tak sędzę. - Nim Nelma zdążyła się odezwać, Ivella przyłożyła zwinie ręce do ust i ryknęła:

- Sadie Jo pyta, czy Gene Tanner ma opiekę dentystyczną!

- Lesbijka z opieką dentystyczną, mogłam trafić dużo gorzej - wymamrotała Sadie, wsuwając do ust porcję ziemniaków. - Aż szkoda, że muszę jutro rano wyjechać.

Sarah Louise wyglądała na trochę przestraszona, że siedzi obok potencjalnej homoseksualistki, ale kim była, by osądzać innych? Sama poślubiła „tego mordercę”, który dopiero za dziesięć lat mógł wyjść warunkowo.

Po kolacji wszyscy udali się za młodą parą do sali balowej i Sadie uciekła ciotkom. Nowożeńcy, skąpani w blasku kolorowych żyrandoli, odtańczyli swój pierwszy kawałek przy dźwiękach *I Won't Let Go* grupy Rascal Flatts. W tej chwili znowu tak wyraźnie dostrzegało się ich świeżą, nieskażoną miłość i otwierającą się przed nimi przyszłość, że Sadie po raz kolejny poczuła się staro.

A miała tylko trzydzieści trzy lata. Porwała kieliszek wina z tacy przechodzącego obok kelnera i ukryła się za sporym fikusem przybranym białymi i różowymi wstążkami. I w wieku trzydziestu trzech lat była stara i samotna.

Potem Tally Lynn zatańczyła z wujkiem Jimem do piosenki *All-American Girl*. Rozpromienieni śmiali się wspólnie, a wujek spoglądał na córkę z wyrazem niezaprzeczalnej miłości i dumy w oczach. Sadie nie pamiętała, by jej własny tata kiedykolwiek patrzył na nią w ten sposób. Przekonywała się, że zdarzało się to przy pewnych okazjach, których teraz po prostu sobie nie przypomiwała.

Odmówiła, gdy Rusty poprosił ją do tańca, po części dlatego, że bała się nieprzewidzianych zajść z sukienką, a po drugie, Rusty wyglądał na naprawdę zakochanego w swojej dziewczynie.

- Cześć, Sadie Jo.

Odwróciła się i spojrzała wprost w głębokie brązowe oczy. Przekrzykując orkiestrę, upewniła się:

- Flick?

Mężczyzna, z którym chodziła w dziesiątej klasie, rozpostarł szeroko ramiona, a pod koszulą ze wzorem w amerykańską flagę uwydatnił się wystający brzusek.

- Co słyszeć, dziewczyno?

- Wszystko dobrze. - Wyciągnęła do niego rękę, lecz on oczywiście zamknął ją w uścisku, aż jej wino zachlupotało w kieliszku. Poczula jego dłoń na pośladku i przypomniała sobie, dlaczego umawiała się z Flickiem Stewartem tylko przez krótki czas. Lubił obmacywać. Dzięki Bogu, że nigdy się z nim nie przespała. - A u ciebie?

- Ożeniłem się, urodziła nam się dwójka dzieci - odparł wprost do jej ucha. - Rozwiodłem się w zeszłym roku.

Zdażył się nie tylko ożenić, lecz także rozwieść? Wyszwoodziła się z jego ramion.

- Zatańczymy? - zaproponował, przebijając się przez muzykę.

Z Obmacującym Flickiem? Nagle towarzystwo ciotek wydało jej się bardzo zachęcającą opcją.

- Może później. Świetnie, że się spotkaliśmy. - Wycofała się do holu, gdzie natknęła się na Nelme i Ivellę gawędzące z ciotką Bess. Bess była najmłodszą siostrą Johnny Mae, urodzoną dziesięć lat po niej, co znaczyło, że musiała przekroczyć już sześćdziesiątkę.

Sadie przysiadła przy ich stoliku, by dać odpocząć stopom w dziesięciocentymetrowych szpilkach, i już po chwili wszystkie trzy ciotki wypytywały ją ponownie o jej życie,

w którym brakowało więzi uczuciowych. Sadie sączyła wino i zastanawiała się, jak długo jeszcze musi wytrzymać i kiedy będzie mogła wrócić do domu, zrzucić tę ciasną kieckę i niewygodne buty. Spakować się, poczekać na ojca, a potem położyć się spać. Zamierzała wyruszyć o świcie.

- Tak dobrze mieć cię tu znowu, Sadie Jo - westchnęła ciocia Bess, a na jej ustach pojawił się smutny uśmiech. - To tak, jakbyś przywróciła nam na chwilę Johannę Mae.

Sadie ucieszyła się na zmianę tematu, lecz nigdy nie wiedziała, co mówić w takiej sytuacji. Zawsze zdawało jej się, że powinna instynktownie reagować w odpowiedni sposób, jednak instynkty ją zawodziły. Nie miała pojęcia, jak pocieszyć rodzinę matki, wciąż ubolewającą nad stratą.

- Pamiętam ten wieczór, kiedy zdobyła tytuł Miss Teksasu. Konkurs odbywał się w Dallas, a podczas pokazu talentów Johanna Mae śpiewała *Tennessee Waltz*.

Ivella pokiwała głową.

- Miała anielski głos. Sama Patti Page nie zaśpiewałaby lepiej.

- Cóż, w takim razie tu właśnie kończą się podobieństwa między moją matką a mną. Ja nie potrafię śpiewać.

- Co? Co ona mówi?

- Mówi, że słoń jej na ucho nadepnął! Poczciwina. Ciocia Bess przewróciła oczami i przytknęła zwinięte w trąbkę dłonie do ust.

- Gdzie twój aparat, Nelmo?!

- Na szafce nocnej! Wyjęłam uszy, żeby nie musieć przez cały dzień słuchać jazgotu przekłętego pupilka Velmy Patterson, Hektora, a potem zapomniałam włożyć je z powrotem! Nie cierpię tego psa! Velma nauczyła go szczekać bez żadnego powodu, bo jest złośliwa jak banda małych pokąsanych przez pchły!

Tępy ból przeszywał skronie Sadie, podczas gdy ciotki w najlepsze sprzeczały się o aparaty słuchowe i nikczemne

psy, ale przynajmniej znalazły sobie inny temat niż braki w jej życiu uczuciowym. Chwilowo.

Jeszcze pięć minut, postanowiła, osuszając kieliszek. Na odsłoniętym ramieniu poczuła dotyk ciepłej dłoni i uniosła wzrok. Jej spojrzenie prześliznęło się po zaprasowanych w kant spodniach w kolorze khaki i niebieskiej koszuli okrywającej szerokie ramiona. Kołnierzyk wokół potężnej szyi był rozpięty i Sadie z trudem zmusiła się, by przełknąć wino, które wciąż miała w ustach. Jej wzrok powędrował dalej, do kwadratowej szczęki mężczyzny, do jego warg, nosa i do jasnozielonych oczu.

- Przepraszam za spóźnienie. - Na dźwięk jego głębokiego, łagodnego głosu umilkły wszystkie rozgadane ciotki.

Sadie odstawiła kieliszek na blat i wstała. Sama nie wiedziała, co przede wszystkim czuje. Szok czy ulgę. Szok, że naprawdę zjawił się na weselu, czy ulgę, że tym samym niespodziewanie położył kres męczarniom zgotowanym jej przez rodzinę. Trzy starsze panie wpatrywały się szeroko otwartymi oczyma w ten atrakcyjny kawał chłopca, który przed nimi wyrósł.

- Sądziłam, że nie przyjdiesz.

- Ja też, ale chyba nie mógłbym pozwolić ci wyjechać, zanim uregulowałbym dług. Nie bylibyśmy kwita. - Teraz on przyjrzał jej się od stóp do głów. Rzucił okiem na jej dekolt oraz piersi, ściśnięte i opakowane w różową taftę. Na biodra i nogi, aż po czubki butów. - A poza tym musiałem zobaczyć tę sukienkę. Guma do żucia, hm?

- No i co?

- Z czym? - Jego spojrzenie pokonało drogę powrotną, aż ich oczy znów się spotkały.

- Z sukienką. Co o niej myślisz?

Roześmiał się dźwięcznym, głębokim śmiechem, który wzbudził delikatne łaskotanie w okolicach jej kręgosłupa. Podobało jej się jego brzmienie, to wszystko.

- Wyglądasz, jakbyś wybierała się na studniówkę i rozpaczliwie potrzebowała partnera.

- Zabawne, dokładnie tak się czuję.

- Kim jest twój towarzysz, Sadie Jo?

Zerknęła przez ramię na trzy ciotki, w oczach których płonęła ciekawość.

- To Vincent Haven. Odwiedza swoją ciotkę, Luraleen Jinks. - Wskazała trzy siedzące kobiety. - Vince, to moje ciotki, Ivella, Nelma i Bess.

- Więc to ty jesteś siostrzeńcem Luraleen. - Ivella poczęła powoli się dźwigać. - Wspominała, że przyjeżdżasz. Miło mi cię poznać, Vince.

Obszedł stół.

- Niech pani nie wstaje. - Pochylił się, by uścisnąć dłoń każdej z kobiet, jak przystało na dobrze wychowanego młodego mężczyznę. Po jego zaroście nie został ślad, policzki miał gładkie i śniade.

- Kim jest chłopak Sadie?! - wydarła się Nelma.

- To nie jest mój...

- To siostrzeniec Luraleen, Vince! - wyjaśniła Bess prosto w niesprawne ucho Nelmy.

- A czy Sadie nie mówiła, że woli kobiety?! Pocziwe dziecko!

Sadie zamknęła oczy. Niech ktoś mnie dobije i skróci te męki, pomyślała. Nie miała nic przeciwko lesbijkom, ale tak się akurat składało, że do nich nie należała. Poza tym wrzaski Nelmy wprawiłyby ją w takie samo zażenowanie, gdyby ciotka oznajmiła całemu zgromadzeniu rzecz odwrotną, a mianowicie, że Sadie woli mężczyzn. W świetle tych uwag wyglądała na zdesperowaną. Uniosła powieki i popatrzyła w przystojną opaloną twarz stojącego przed nią nieznajomego; jego wargi wygięły się leciutko w rozbawieniu, a w kącikach oczu pojawiły się przy tym małe zmarszczki.

- Uratuj mnie - poprosiła niemal szeptem.

Rozdział szósty

Podał jej zgięte ramię, jak gdyby ratowanie dziewcząt z opresji było dla niego chlebem powszednim, a ona wsunęła dłoń między jego łokieć a żebra. Poczowała bijące od niego ciepło, przez które jej puls przyspieszył. ~ Miło było panie poznać.

- Nawzajem, Vince!
- Dziękuję, że przyszedłeś.
- On jest wielki jak nasz Teksas.

We dwoje ruszyli przez hol do sali balowej, a Sadie pospieszyła z wyjaśnieniem:

- Moje ciotki są trochę szalone.
- Sam wiem co nieco o stukniętych ciotkach. To prawda, wiedział.
- W każdym razie dziękuję, że jednak się zjawiliś. Naprawdę jestem wdzięczna.

- Wstrzymaj się na razie z podziękowaniami. Nie tańczyłem od tak dawna, że nie jestem pewien, czy jeszcze pamiętam, jak się to robi.

- Wcale nie musimy tańczyć. - Spojrzała w dół, na swój głęboki dekolt, a potem znów na jego profil, na linię szczęki jakby wyciosaną w marmurze, ogorzałą twarz i ciemne włosy. Ale to, co uderzało ją najbardziej, gdy tak na niego patrzyła, to fakt, że był do cna męski. Nedorzecznie męski i przystojny. - Szczerze mówiąc, i tak boję się podnieść ręce.

- Dlaczego?

- Nie chciałam, żeby coś mi wyskoczyło z sukienki. Uśmiechnął się i kątem oka zerknął na górę jej kreacji.

- Obiecuję, że złapię wszystko, co wyskoczy.

Zaśmiała się, czując, jak jego ramię ociera się o jej. Muśnięcie bawełny i wyczuwalne przez materiał ciepło jego ciała na jej nagiej skórze.

- I uratowałeś mnie dwukrotnie w ciągu jednej nocy?

- Nie byłoby to łatwe, ale jakoś dałbym radę.

Weszli do wielkiej sali i precyzyjnie się na sam środek zatłoczonego parkietu. W migocącym świetle kryształowych żyrandoli Vince ujął dłoń Sadie, a drugą rękę ułożył w jej tali. Orkiestra grała powolną piosenkę Brada Paisleya o ulotnych wspomnieniach, a Sadie równie niespiesznie przesunęła wolną dłoń po solidnych wzniesieniach i równinach jego piersi, aż dosięgła ramienia. Nic nie wyskoczyło z jej sukienki, więc przyciągnął ją blisko, na tyle, że mogła wyczuć bijące od niego gorąco, lecz nie tak, by ich ciała się zetknęły.

- Ale gdybyś uratował mnie dwa razy tej samej nocy, to znów nie bylibyśmy kwita - odezwała się, jej głos ledwie przebijał się przez muzykę. Vince opuścił głowę i śledził wzrokiem wypowiedziane przez nią słowa. -1 wtedy to ja musiałabym ci się odwdziżyć przed wyjazdem.

- Jestem pewien, że znalazłabyś sposób.

Niby jaki? Przecież prawie nic o nim nie wiedziała. Poza tym że jego ciotką była stuknięta Luraleen Jinks, że mieszkał w stanie Waszyngton i jeździł dużym fordem.

- Umyję ci auto. Zachichotał.

- A może znalazłabyś coś innego, czego umycie przysporzyłoby ci więcej frajdy.

Sama się prosiła o komentarz tego typu, ale czyjej myśli nie biegły w tym samym kierunku od pierwszego albo drugiego spojrzenia, jakie na niego rzuciła? Wtedy, na poboczu

drogi? Jego sprzęt ujęty w ramę samochodowego okna? Celowo zmieniła temat.

- Jak ci się podoba w Lovett?

- Nie widziałem jeszcze zbyt wiele w świetle dnia. - Pachniał chłodnym nocnym powietrzem oraz świeżo wypraną i wyprasowaną bawełną, a kiedy mówił, jego oddech łaskotał jej lewą skroń. - Więc trudno powiedzieć. Nocą wydaje się tu całkiem przyjemnie.

- Wychodziłeś się zabawić? - O tak późnej porze jedyną atrakcję Lovett stanowiło kilka barów w centrum miasta.

- Biegam nocami.

- Z własnej woli? - Odchyliła się w tył, by spojrzeć mu w twarz. - Nikt cię nie goni?

- Teraz już mi się to nie zdarza - odparł, śmiejąc się, a jego oddech połaskotał ją w czoło. Plamki światła w jaskrawych kolorach przesuwały się po jego policzkach i wnikały do ust, gdy się odzywał. - Nocny jogging mnie odpręża.

Sadie wołała się odprężać przy lampce wina i wszystkich odcinkach *Gotowych na wszystko*, czy miała więc prawo go osądzać?

- Co robiłeś, zanim w piątek wieczorem utknąłeś na poboczu?

- Podróżowałem. - Popatrzył przed siebie, ponad jej głową. - Odwiedziłem kilku kumpli.

Niektórzy w mieście podejrzewali, że Sadie korzysta z funduszu powierniczego. Nie korzystała. To jej tata posiadał duży majątek, nie ona. Jak duży - tego nie wiedziała, miała jednak pewne wyobrażenie.

- Żyjesz z funduszu powierniczego? - Nie wyglądał na takiego, ale jeżdżenie z miejsca na miejsce wielkim samochodem zużywającym całe litry benzyny kosztuje, a nie wszystko dało się załatwić na ładne oczy. Nawet w połączeniu z całą resztą atrybutów, którymi dysponował.

- Słucham? - Jego wzrok powędrował z powrotem ku jej twarzy. Kiedy mówiła, znów śledził uważnie ruchy jej warg, co, musiała przyznać, uznała za całkiem seksowne. Powtórzyła swoje pytanie, a on się roześmiał.

- Nie. Zanim przed kilkoma miesiącami wyjechałem z Seattle, pracowałem w tamtejszym porcie jako konsultant do spraw ochrony. Do moich zadań należało między innymi wyszukiwanie luk i błędów w funkcjonującym systemie i zgłaszanie ich organom Ministerstwa Bezpieczeństwa Narodowego. - Jego kciuk pogładził delikatnie talie Sadie przez gładki jedwab sukienki. - Znaczyło to, że ubierałem się jak zwyczajny pracownik ochrony albo konserwator, albo kierowca tira i wypatrywałem niedociągnięć w strefie wyładunku kontenerów.

Świadomość, że ktoś w amerykańskich portach czuwa nad bezpieczeństwem kraju, sprawiła, że Sadie poczuła się lepiej. Poinformowała go o tym.

Kącik jego ust wygiął się w górę.

- To, że odwalilem trochę papierkowej roboty, nie gwarantuje jeszcze, że ktokolwiek zainteresował się zgłoszonymi przeze mnie problemami lub spróbował je rozwiązać.

Pięknie.

- Pracując dla rządu, dowiadujesz się, czym jest prawdziwa frustracja. - Znów musnął jej talie, przesuwał palcem tam i z powrotem, jakby badał strukturę materiału pod opuszką. - Nieważne, czym dokładnie się zajmujesz. To wciąż to samo gówno. Tylko inaczej opakowane. - Ułożył jej rękę na swojej piersi, a własną oswobodzoną dłoń zsunął aż na sam dół jej pleców. Podczas gdy zespół zaczynał kolejny wolny kawałek, balladę Trace'a Adkinsa o zapalaniu wszystkich świateł w domu, ciepłe, przyjemne mrowienie wywołane niespodziewanym dotykiem Vince'a rozeszło się w górę i w dół kręgosłupa Sadie. Przyciągnął ją nieco bliżej i zapytał: - A czym ty się zajmujesz, jeśli nie udajesz aku-

rat królowej balu maturalnego w ekstremalnie różowej sukience?

Gorący oddech owiał jej prawe ucho, a kant spodni otarł się o jej odsłonięte udo.

Może to przez wino, a może w wyniku zmęczenia całym dniem, oparła się wygodnie o jego pierś.

- Pracuję w nieruchomościach. - Wypiła tylko kilka kieliszków merlota, więc chyba jednak nie to było przyczyną. - Jako agentka. - Ani wcale tak bardzo się nie zmęczyła. Nie w takim stopniu, by musieć się wesprzeć na czyjejs twardej, muskularnej klatce piersiowej. Powinna pewnie zrobić krok w tył. Powinna, ale czuła się tak dobrze w uścisku jego potężnych ramion, przytulona do szerokiej piersi. Dłoń Vince'a prześliznęła się wzdłuż zamka sukienki, w górę, a potem w dół, rozsiewając wokół to łaskoczące ciepło.

Przekręcił głowę, chowając twarz w jej włosach.

- Ładnie pachniesz, Sadie Jo.

On także ładnie pachniał i Sadie głęboko wciągnęła powietrze niczym przygotowujący o dreszcze narkotyk.

- Ludzie, którzy nazywają mnie Sadie Jo, zawsze mają teksański akcent. - Podobał jej się jego zapach i dotyk jego ciała, i to, że jej serce bilo dużo szybciej, przez co czuła się młoda i pełna życia. Prostym ruchem ręki ułożonej na jej plecach Vince dostarczał jej przeżyć, jakich od dawna nie doświadczała. Przeżyć, których nie powinna dzielić z kimś prawie nieznanym. - Wszyscy inni mówią mi po prostu Sadie.

Przesunęła dłoń na jego kark, jej palce delikatnie musnęły kołnierzyk koszuli.

- Sadie Jo to jakieś zdrobnienie?

- Tak, od Mercedes Johanna. - Sięgnęła ponad kołnierzykiem i samymi opuszkami dotknęła jego skóry, tak ciepłej, że momentalnie rozgrzały się i jej palce. - Ale od śmierci mamy nikt się tak do mnie nie zwraca.

- Kiedy zmarła?

- Dwadzieścia osiem lat temu. Milczał przez chwilę.

- Bardzo dawno. Jak to się stało?

Tak dawno, że ledwie mogła sobie to przypomnieć.

- Miała zawał. Nie pamiętam zbyt wielu szczegółów. Tylko tatę, jak wołał jej imię, sygnał karetki i białe prześcieradło.

- Moja matka odeszła prawie siedem lat temu.

- Przykro mi. - Ich kolana zderzyły się lekko. - Twoje wspomnienia są świeższe niż moje.

Nic nie mówił przez kilka uderzeń serca, a potem wyznał:

- Byłem wtedy w Faludży. Kiedy umierała, zajmowała się nią moja siostra.

Palce Sadie znieruchomiały na jego kołnierzyku. Minęło już trochę czasu, wciąż jednak pamiętała opatrzone zdjęciami doniesienia o walkach w Faludży z wieczornych wiadomości.

- Byłeś żołnierzem?

- Marynarzem - uściślił. - Komandosem z SEAL. Przyjęła pouczenie.

- Ile służyłeś?

- Dziesięć lat.

- Kiedyś umawiałam się z gościem z formacji Rangersów. - Przez jakieś trzy tygodnie. - Był trochę zwariowany. Myślę, że cierpiał na zespół stresu pourazowego.

- To się przytrafia wielu porządnym chłopakom. Sadie była na tyle ciekawska, że chciała zapytać, czy przytrafiło się i jemu, ale i na tyle taktowna, by tego nie zrobić.

Wsunęła palce w krótkie ciemne włosy u podstawy jego czaszki. Taki silny, zaradny mężczyzna miał w sobie coś pociągającego. Składała się na to choćby wizja, że jeśli dziewczyna złamie nogę, to on przerzuci ją sobie przez ra-

mię i przebiegnie trzydzieści kilometrów do najbliższego szpitala. Albo nawet zmontuje łubki z odrobiny biota i kilku patyków.

- Ten ranger mówił, że faceci z SEAL są jeszcze bardziej arogancy niż ci z piechoty morskiej.

- Mówisz tak, jakby to było coś złego - zauważył tuż obok jej ucha, znów wzbudzając to łaskoczące doznanie na skórze jej szyi i w piersi. - Ludzie myślą arogancję z prostym stwierdzeniem faktu. Kiedy prezydent Obama wydał antyterrorystom rozkaz zdjęcia bin Ladena, zlecił to trzem oddziałom SEAL, ponieważ jesteśmy najlepsi. - Wzruszył szerokimi ramionami. - To nie arogancja. To fakt. - Muzyka umilkła, a on odchylił się na tyle, by spojrzeć jej w twarz. - Może się czegoś napijemy?

Ale wspólny drink prowadziły do innych rzeczy i oboje mieli tego świadomość. Przeczuwali to w sposobie, w jaki spoglądał na nią swymi zielonymi oczami i w reakcjach jej ciała. Praktycznie go nie znała. Ale chciała go poznać. Odkryć wszystkie niegrzeczne tajemnice, które dostarczyłyby jej tyle radości. Choćby na chwilę... Ale rozsądek podpowiadał jej, że to zły pomysł, a rano miała mnóstwo spraw do załatwienia.

- Muszę już iść.

Fioletowe i niebieskie smugi światła przepołowiły jego nos i policzki.

- Dokąd?

- Do domu. - Tam, gdzie nie groziło jej natknięcie się na przystojnych nieznajomych, czarujących i kipiących testosteronem. - Wyjeżdżam wcześniej rano, a muszę przedtem spędzić choć kilka godzin z tatą.

Po części spodziewała się, że Vince wytknie jej gniewnym tonem, że dopiero tu dotarł w ramach przysługi dla niej, a tymczasem ona szykuje się do wyjścia.

- Odprowadzę cię do drzwi.

- Jeszcze raz dziękuję, że się zjawiałeś - odezwała się Sadie, gdy szli korytarzem w stronę garderoby panny młodej wewnątrz Pałacu Zakochanych. - Głupio mi, że się wystroiłem, a ja tak szybko się zbieram.

- Wcale aż tak się nie wystroiłem, a poza tym byłem ci coś winny - odparł, a jego mocny głos wypełnił wąskie przejście prowadzące na tyły budynku.

Razem wsunęli się do garderoby, światło z korytarza rozlało się po pomieszczeniu, wydobywając z mroku fotele fryzjerskie i puste pokrowce na ubrania. W prostokącie jasności Sadie dostrzegła też swój płaszcz i niewielką torbę podróżną, ruszyła więc w ich stronę.

- Nic mi nie byłeś winny, Vince. - Sięgnęła po płaszcz i popatrzyła na mężczyznę w wiszącym na ścianie lustrze. Krawędzie oświetlonej przestrzeni przecinały na skos jej szyję i jego pierś, podczas gdy resztę pokoju zalegały cienie.

Odebrał płaszcz z jej rąk i zapytał:

- Ale teraz jesteśmy kwita?

To wydawało się dla niego tak istotne, że skinęła głową, następnie zdała sobie sprawę, że pewnie nie dostrzegł tego gestu w ciemności i odparła:

- Tak. Jesteśmy kwita.

Przytrzymał dla niej okrycie, a Sadie po kolei wsunęła ręce w rękawy. Kiedy pomagał jej się ubrać, wierzchem palców musnął jej nagie ramiona.

Poprawiła włosy, wyciągając je spod kołnierza płaszcza, i spojrzała na niego przez ramię. Jej usta znajdowały się tylko odrobinę niżej niż jego, gdy szeptała:

- Dziękuję.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Na wargach poczuła powiew jego oddechu. - Na pewno chcesz już wracać do domu?

Nie. Wcale nie była tego pewna. Zrozumiała, że Vince się pochyła, na sekundę przed tym, nim jego wargi sięgnęły jej ust. Ciepłe wargi prawdziwego mężczyzny - ich dotyk podziałał na nią jak palący gardło łyk tequila, którego gorąco opada do żołądka. Delikatne łaskotanie zapoczątkowane na parkiecie teraz zapłonęło ogniem i Sadie rozchyliła usta. Wsunął w nie język, gorący, wilgotny, dający przyjemność. Mimowolnie podkurczyła palce w butach i znów, jakby pozbawiona sił, zdała się na niezachwianą kolumnę jego ciała. Objął ją w talii i przyciągnął blisko do siebie. Trzymał ją mocno, wprowadzając w miękką otchłań przyjemności. Nie wiedziała, czyby się opierała, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanowić, nim Vince podkreślił temperaturę namiętymi pocałunkami. Próbowwała pokierować jego językiem, tak by wsunął go głębiej, jak chciało tego jej ciało, które zdawało się płonąć i omdlewać w oczekiwaniu na więcej.

Pożądanie otoczyło ją ciasnym pierścieniem i ogarnęło ją takie zadowolenie, że nie zaprotestowała, kiedy jego dłonie prześliznęły się w górę i okryły jej piersi. Pod ich ciepłym dotykiem, doskonale wyczuwalnym przez cienką taftę, jej sutki stwardniały, a z gardła wydobył się jęk. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł dreszcz i wreszcie odwróciła się w jego stronę.

To wszystko działo się tak szybko. Zbyt szybko. Cały jej świat ograniczył się teraz do jego wilgotnych pocałunków i rozgrzanych dłoni na jej piersiach, pieszczących delikatnie czubki sterczących sutków. Nadal łąpczywie i z wielką pasją wpijał się ustami w jej usta, a ona przesuwiała rękami po całym jego ciele. Po ramionach i piersi. Po bokach szyi, aż pod palcami poczuła jego krótkie włosy.

Wpakowała się w kłopoty, i to spore, ale w tej chwili nic jej to nie obchodziło. Cieszyła się dotykiem jego dłoni na swej tak wrażliwej teraz skórze, jego soczystymi pocałunkami-

mi. Na wysokości miednicy wyczuwała jego erekcję, twardą i potężną.

Przeniósł rękę na jej chłodne udo i wsunął pod krótką sukienkę. Ustami musnął jej szyję.

- Jesteś piękna, Sadie.

Jego wargi rozchyliły się, a palce powędrowały wyżej, między jej uda.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, gdy sięgnął jej majtek z jedwabiu i koronki. To się nie działo naprawdę. Nie mogło się dziać. Nie powinna była na to pozwolić. Nie tutaj. Nie teraz.

- Jesteś wilgotna - wymruczał, z ustami wciąż przyciśniętymi do jej szyi.

Zdawało się, że w jej żyłach krąży płynne gorąco, intensywne i ogniste, i jedyne, o czym mogła w tym momencie myśleć, to wargi Vince'a na jej skórze i jego palce, odciągające na bok skrawek jedwabiu z koronką.

Jęknęła i odchyliła głowę w tył.

- Podoba ci się?

- Tak. - Musiała go powstrzymać. Teraz, nim będzie za późno. Rozchylił fałdy skóry i dotknął jej tam, gdzie była śliska i mokra, i... - O Boże.

- Chcesz więcej? - Tak.

- Obejmij mnie nogami w pasie.

- Co? - spytała, otepiała i obojętna na wszystko poza dłonią, która dawała jej rozkosz.

- Obejmij mnie nogami, a zerżnę cię na tych drzwiach.

- Co? - Otworzyła usta, aby mu powiedzieć, że nie mogą absolutnie nic zrobić na drzwiach. Że musi przestać. Już, zanim... - O Boże - jęknęła znowu, gdy nagle uderzenie płynnego ognia ogarnęło jej ciało, spalając ją od środka. - Nie przestawaj, Vince. - Zaczęło się między nogami, a stamtąd rozeszło we wszystkich kierunkach. Jej głowa

opadła, a w uszach dzwoniło, kiedy raz po raz wstrząsały nią coraz gorętsze fale potężnego orgazmu. - Nie przestawaj, proszę.

Ścisnęła nogi wokół jego zręcznej dłoni. Całe jej ciało pulsowało od czystej żądzy, wciąż od nowa, rozpalając powierzchnię skóry, aż do momentu, w którym ostatnie iskierki przyjemności uciekły przez palce u rąk i nóg. Dopiero wtedy powoli zaczęło docierać do niej, gdzie jest i do czego właśnie dopuściła.

- Przestań! - Cofnęła się o krok. - Przestań! - Odepchnęła jego ręce i jego samego, uderzając w pierś. Co ona wyprawiała? Co zrobiła? - Co ty wyprawiasz?

- Tylko to, czego ode mnie chciałaś.

Podciągnęła górę sukienki i obciągnęła dół. Byli na weselu jej kuzynki. Ktoś mógł ich tu nakryć.

- Nie. Wcale tego nie chciałam. - Całe szczęście, że w mroku nie dostrzegą jego twarzy, a on nie widział jej.

- Przed chwilą błagałaś mnie, żebym nie przestawał. Naprawdę?

- O Boże.

- To też wymknęło ci się ze dwa razy.

Palący rumieniec sięgnął jej uszu, w których wciąż jej dzwoniło. Owinęła się ciasno płaszczem i złapała torbę.

- Ktoś nas widział?

- Nie wiem. Jeszcze minutę temu zupełnie się tym nie przejmowałam.

- O Boże - powtórzyła i wypadła z pokoju.

Frustracja seksualna przyprowadziła Vince'a o głucho łomotanie w skroniach i ból w lędźwiach. Naprawdę sobie poszła? Nim on skończył?

- Zaraz, chwila! - zawołał za nią, kiedy poły jej płaszcza znikły z pola widzenia. Stał w garderobie panny młodej w jakiejś teksańskiej weselnej dziupli z olbrzymim wzwozem.

Co się, do cholery, stało? Ledwo ją tknął, dopiero się zabierał do prawdziwego dotykania, a ona zwała.

- Szlag. - Zerknął w dół, na namiot z przodu swoich spodni. Wiedział, że będą z nią kłopoty. Ale nie przypuszczał, że taka z niej podpuszczalska. Nie po tym, jak przyłgnęła do niego na parkiecie. Nie po spojrzeniach, jakie mu posyłała; mógłby przysiąc, że fantazjowała wtedy o seksie. Obracał się wśród wystarczającej liczby kobiet, by wiedzieć, która z nich marzy właśnie o zrzuceniu ciuchów, i miał pewność, że w głowie Sadie nieraz tego wieczoru pojawiła się taka myśl.

Usiadł w jednym z foteli fryzjerskich, sięgnął do spodni i poprawił się nieco na prawo, a potem opuścił głowę ponad oparciem, w tył, w ciemność. Nie mógł wyjść. Jeszcze nie, póki nie uda mu się objąć prowadzenia w starciu z erekcją. Nie pamiętał, kiedy ostatnim razem włożył dziewczynie rękę pod sukienkę, a ona zostawiła go, nabuzowanego, własnemu losowi. Może w liceum.

Wcześniej, gdy w tańcu przyciągnął ją blisko, by słyszeć jej słowa przez dźwięki orkiestry, ona przywarła do niego, przypominając mu, że nie spał z nikim, odkąd opuścił Seattle. Kiedy dotarli do garderoby, był już porządnie podniecony i poddał się instynktom. Ale nie pocałowałby Sadie, gdyby nie dostrzegł w lustrze odbicia jej pięknych, oświetlonych tylko w połowie ust i niesamowitego biustu, przyciśniętego jeszcze chwilę temu do jego klatki piersiowej. A więc tak, ten krok nie zaliczał się może do najlepszych jego życiowych decyzji, ale Sadie bynajmniej się nie buntowała i wystarczyła niecała sekunda, by z częściowo pobudzonego stał się całkiem sztywny.

Zgiął się wpół i oparł przedramiona na kolanach. W mroku dojrzał czubki swoich mokasynów. Nie musiała uprawiać z nim seksu, ale jeśli nie miała na to ochoty, powinna go była powstrzymać, nim położył ręce na jej pełnych piersiach. Była wystarczająco dorosła, by wiedzieć, dokąd prowadzą poca-

łunki i zgoda na to, by facet wsunął ci rękę w majtki. Wystarczająco dorosła, by wiedzieć, że oboje partnerzy powinni wyciągnąć z tej sytuacji jakieś korzyści. I faktycznie, to miejsce nie zapewniało należytej intymności, ale przecież w miasteczku mieli hotele. Widział je na własne oczy. Pozwoliłby jej wybrać, do którego chce pojechać, lecz nim zdążył to zaproponować, Sadie uciekła, jakby się paliło. Został sam, podniecony, nie doczekawszy się od niej niczego w zamian. Niczego poza frustracją. Niczego. Nawet głupiego „dziękuję”.

Ktoś zapalił światło i Vince uniósł głowę, by ujrzeć dziewczynę ubraną w sukienkę w kolorze gumy balonowej. Długie blond włosy, zakręcone w loki, upięła wokół głowy. Zatrzymała się nagle w pół kroku, a jej oczy się rozszerzyły. Uniosła dłoń do piersi okrytej różową taftą i wydusiła zdumiona:

- Co ty tu robisz? Dobre pytanie.

- Czekam na kogoś. - Vince potrafił szybko myśleć i miał doświadczenie w podawaniu wiarygodnych kłamstw. Szkolono go w zakresie zdradzania akurat takiej ilości informacji, która uspokoi, a nie rozłości przesłuchujących. - Ale chyba wróciła już do domu. - Wiedział też, jak zmienić temat, wskazał więc jej strój. - Widzę, że jesteś jedną z drухen.

- Tak. Na imię mam Becca, a ty?

- Vince. - Nie odważył się wstać, bo wciąż jeszcze mógłby przestraszyć młodziutką Becce.

- Z kim miałeś się spotkać?

- Z Sadie. - Podpuszczalską.

- Przed chwilą widziałam, jak wychodziła. - Usiadła w fotelu obok niego. - Cóż, dziewczyna przynajmniej postawiła sprawę jasno.

Postawiła nie tylko sprawę, dlatego właśnie Vince nie mógł chwilowo ruszyć się z miejsca.

- Miłość jest do dupy - oświadczyła Becca, a potem, ku zgrozie Vince'a, wybuchła płaczem. Potrząsając głową, tak

że jej loki podskakiwały, opowiedziała mu wszystko o swoim okropnym, niewiernym chłopaku Siadzie. Paplała o tym, jak długo trwał ich związek i jakie plany układała na ich wspólną przyszłość. - A on wszystko zepsuł. Zdradził mnie z tą zdzirą, Lexą Jane Johnson! - Sięgnęła do tyłu po chusteczkę leżącą na blacie. - Lexa Jane - zaszlochała. - Głupia jak but i dosiadało jej więcej facetów niż jakiegokolwiek konia na rodeo! Czemu mężczyźni lecą na takie kobiety?

Problem z erekcją zniknął jak ręką odjął i Vince niemalże poczuł wdzięczność za Beccę i jej histerię. Niemalże, bo nie należał do tych, którzy radzili sobie z obecnością roztrzęsionych kobiet w najbliższym otoczeniu.

- No czemu?

A sądził, że to było pytanie retoryczne. Albo w ostateczności takie, na które odpowiedź znali wszyscy. Ale Becca wpatrywała się w niego załzawionymi oczyma, najwyraźniej oczekując wyjaśnień.

- Czemu mężczyźni lecą na łatwe kobiety? - powtórzył, chcąc upewnić się, że oboje mówią o tym samym.

- Tak. Czemu prowadzą się ze zdzirami?

Nigdy nie lubił słowa „zdzira”. Uważał, że ludzie go nadużywają, sugerując przy tym, że kobieta lubiąca seks musi być splamiona. Co nie zawsze było zgodne z prawdą.

- Czemu to im się podoba?

Może i umiał nieźle kłamać, ale nie znaczyło to, że ktokolwiek nazwałby go taktownym.

- Ponieważ z niektórymi kobietami z góry wiadomo, o co chodzi. Nie bawią się w żadne gierki. Dają do zrozumienia, czego chcą, i nie mówię o kolacji i wyjściu do kina.

Becca ściągnęła brwi.

- Ale czy to nie jest emocjonalnie płytkie dla obu stron?

- Tak, zgadza się. - Położył dłonie na oparciach fotela, gotowy, by wstać. - O to właśnie chodzi. Emocjonalnie płytki seks. Wchodzisz, wychodzisz, nikomu nie dzieje się krzywda.

- Zdażył tylko na wpół się wyprostować, gdy Becca znów się rozszlochała. Cholera. - Cóż, to... Miło było cię poznać, Becca. - Za to wszystko należało winić Sadie i Vince cieszył się, że nazajutrz rano miała wyjechać z miasta i że już nigdy więcej jej nie zobaczy. Bo gorąco pragnął skrócić jej kark.

- To takie niedojrzałe i o-obrzydliwe, Vince... „Raczej wygodne i obustronnie korzystne” - mógłby

sprostować, ale nie miał ochoty dyskutować z Beccą o seksie i moralności. Zastanawiał się, ile jeszcze musi tu siedzieć. Pół minuty? Minutę?

- Mogę coś dla ciebie zrobić, zanim pójde?

- Nie idź. - Przełknęła ślinę i potrząsnęła głową. - Muszę mieć z kim rozmawiać.

Co? Czy on jej wyglądał na dziewczynę? Albo chociaż jednego z tych gości, którzy lubią dyskutować o pierdołach?

- To może znajdziemy którąś z twoich przyjaciółek, co? Pójde i poszukam jakiejś, jeśli chcesz. - Nie żeby naprawdę zamierzał włożyć w to wysiłek, skoro już uda mu się stąd wydostać.

- Każą mi zwyczajnie o nim zapomnieć, bo i tak wszyscy wiedzą, że Slade to dupek. - Znów potrząsnęła głową i wytarła nos. Jej zaczerwienione, wilgotne oczy zwęziły się nagle. - Mam nadzieję, że oboje złapią wszy łonowe, a potem zginą w straszliwym wypadku.

O. No proszę. Co za okrutne życzenie. I właśnie dlatego Vince trzymał się jak najdalej od kobiet, którym zależało na stałych związkach.

- Takim, żeby ich pokiereszowało i okaleczyło! Najlepiej będzie, jeśli sama rozjadę ich ciężarówką wujka Hen-ry'ego Joe, mam na to wielką ochotę!

Z tyłu głowy Vince'a odezwał się ból i nagle jego też nasza wielka ochota. Ochota, żeby włożyć sobie w usta lufę.

Rozdział siódmy

Stukot obcasów Sadie odbijał się echem od ścian starego rancza, kiedy kierowała się ku zapalonemu w kuchni światłu. Nie chciała nawet myśleć o tym, co wydarzyło się w garderobie na weselu Tally Lynn. Nie miała zamiaru dopuścić do czegokolwiek podobnego. Tak jak i nie miała zamiaru upokorzyć się bardziej niż kiedykolwiek w całym swoim życiu, ale wszystko działo się tak szybko... Całował ją i dotykał, a potem nagle... bam, koniec! Jeszcze zanim w ogóle się zaczęło.

Jedyny pozytywny w całej tej sytuacji, jedyne drobne pocieszenie płynęło ze świadomości, że nikt poza nią i Vin-ce'em nie wie, co zaszło. Kiedy wybiegła z tamtego pokoju, pożegnała się jeszcze pośpiesznie z wujkiem Jimem i ciotką Bess, którzy o niczym nie wspomnieli, a Sadie była pewna, że gdyby ktokolwiek ich nakrył, wieść o tym rozprzestrzeniłaby się prędzej niż pożar lasu w tekszańskim słońcu. Prędzej, niż ona potrafiła uciekać.

Nie została, by pożegnać się z resztą krewnych. Bała się, że może wpaść na Vince'a. Kiedy już wróci do domu, wyśle Tally Lynn i pozostałym członkom rodziny miłą wiadomość, w której usprawiedliwi swoje niegrzeczne wybycie bólem głowy, złamaną kostką albo atakiem serca. To ostatnie nie było zresztą dalekie od prawdy. Na samą myśl o dużych ciepłych dłoniach Vince'a błędzących po jej ciele krew odpływała jej z głowy i groziło jej omdlenie z powodu przemożne-

go zawstydzienia. Chociaż gdyby była mężczyzną, pewnie nie zadreślałaby się w związku z tą sytuacją. Pewnie uznałaby, że jej się poszczęściło i zapomniała o wszystkim.

Im szybciej opuści Teksas, tym lepiej. Pobyt w rodzinnym stanie najwyraźniej odbierał jej rozum, nie wspominając już o niezrównanej dodatkowej korzyści, jaką będzie oddalenie się raz na zawsze od Vincenta Havena.

Minęła reprezentacyjną jadalnię i wkroczyła do jasno oświetlonej kuchni z kamienną podłogą i żółtą tapetą w stokrotki, wybraną przez jej matkę w latach sześćdziesiątych. Spodziewała się ujrzeć ojca siedzącego w kąciku, gdzie zawsze jadał śniadania, ze szklanką mrożonej herbaty w dłoni. Nie było jeszcze zbyt późno, więc pewnie dopiero co wrócił z Laredo - jednak zamiast taty przy stole zastała siostry Partom Przed każdą z nich stał obłupany kubek.

- Długo dziś siedzicie - zauważyła Sadie, zsuwając buty. Skraje jej płaszcza zamiotły po podłodze, gdy schyliła się po szpilki. Podniosła je i zahaczywszy ich paski o palce, podeszła do lodówki. Pożegnała się z bliźniaczkami przed wyjściem na wesele, nie musiały więc na nią czekać. Miły gest, lecz zupełnie niepotrzebny.

- Och, Sadie, wreszcie wróciłaś!

Zamarła z ręką na uchwycie przy drzwiach lodówki i obejrzała się przez ramię na obie kobiety.

- Dlaczego? - Jej spojrzenie powędrowało od jednej zaniepokojonej twarzy do drugiej i nagle wydarzenia ostatniej godziny straciły na znaczeniu.

Clara Anne, która zawsze reagowała żywiej, wybuchnęła płaczem.

- Co? Co się stało? - Sadie odwróciła się w ich stronę. - Tata już wrócił?

Carolynn potrząsnęła głową.

- Nie, kochanie. Jest w szpitalu w Laredo.

- Wszystko z nim w porządku?

Znów zaprzeczyła ruchem głowy.

- Ten koń go kopnął, złamał mu kilka żeber i przebił lewe płuco. - Ściągnęła wargi. - Jest już za stary, żeby się kręcić przy ogierach!

Rozległy się dwa głuchoe stuknięcia, gdy buty wypadły Sadie z dłoni i uderzyły o podłogę. To musiała być jakaś pomyłka. Tata zawsze zachowywał ostrożność w pobliżu takich temperamentnych ogierów, bo doskonale znał ich nieprzewidywalność. Był twardy jak stare siodło, ale dobiegał już osiemdziesiątki. Zrzuciła z ramion płaszcz i podeszła do sióstr.

- Całe życie robi przy tych koniach. - Hodowla rasy American Paint Horse zawsze była dla Clive'a czymś więcej niż hobby. Uwielbiał się zajmować tymi zwierzakami - o wiele bardziej wolał to niż pracę przy krowach, ale na bydle więcej dało się zarobić. Sadie powiesiła płaszcz na oparciu krzesła i usiadła obok Carolynn. - I zawsze był taki ostrożny! - Przy wielu okazjach zdarzyło się, że koń go kopnął, przydepnął czy zrzucił, ale ojciec nigdy przy tym nie odniósł poważnych obrażeń. Co najwyżej spędzał kilka godzin w szpitalu na zakładaniu szwów. - Jak to się mogło stać?

- Nie mam pojęcia. Tyrus dzwonił parę godzin temu, ale nie znał zbyt wielu szczegółów. Powiedział tylko, że twój tata próbował coś poprawić z uwiązem. I wtedy jakimś cudem dostał się między Maribell a Diamond Dana.

Tyrus Pratt pełnił funkcję nadzorca nad stadem utrzymywanym na ranczu. W jego skład wchodziły nie tylko ulubione wierzchowce Clive'a, ale i spora liczba koni używanych przy zaganianiu bydła.

- Dlaczego nikt mnie nie powiadomił?

- Nie mamy twojego numeru. - Clara Anne wydmuchała nos i dodała:
- Dlatego siedziałyśmy tu i po prostu czekałyśmy, aż wrócisz.

A w tym czasie ona pozwoliła się obmacywać facetowi, którego ledwie знаła.

- Jak mogę się skontaktować z Tyrusem?

Clara Anne przesunęła w jej stronę leżącą na blacie karteczkę i wskazała palcem zapisany u góry ciąg cyfr.

- Ten jest do szpitala w Laredo. Telefon do Tyrusa masz poniżej. Zostaje dziś na noc w hotelu.

Sadie wstała i sięgnęła po słuchawkę przytwierdzonego do ściany aparatu. Wybrała numer szpitala, przedstawiła się i została połączona z lekarzem dyżurnym, który jako pierwszy zajmował się jej ojcem. Doktor użył wielu groźnie brzmiących terminów, takich jak „pourazowa odma opłucnowa”, z czego Sadie zrozumiała ostatecznie, że płuco taty uległo zapadnięciu, więc założono drenaż klatki piersiowej. Najbardziej niepokoił lekarzy wiek pacjenta i ryzyko zapalenia płuc.

Rozmówca podał Sadie kontakt do pulmonologa, który opiekował się jej ojcem, oraz do nadzorującego leczenie geriatry.

Geriatra. Sadie czekała, aż przełączą ją do dyżurki pielęgniarek z oddziału intensywnej terapii. Lekarz specjalizujący się w opiece nad ludźmi w podeszłym wieku. Nigdy nie myślała o ojcu jako o osobie młodej. Niezmiennie okazywało się, że jest starszy niż ojcowie innych dziewczynek w jej wieku. Od zawsze był staroświecki. Kierował się przyzwyczajeniami powstałymi w zamierzchłych czasach. Stary i marudny, tak, ale nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, by określić go mianem człowieka w podeszłym wieku. Z jakiegoś powodu to wyrażenie po prostu nie pasowało do Clive'a Hollowella. Nie podobała jej się myśl, że tata rzeczywiście aż tak się zestarzał.

Pielęgniarka udzieliła jej odpowiedzi na wszystkie pytania, a potem chciała się dowiedzieć, czy ojciec przyjmował jakieś leki poza tabletkami na nadciśnienie, które znaleziono w jego torbie podróżnej.

Sadie nie miała nawet pojęcia o tym, że cierpiał na nadciśnienie.

- Czy tata bierze coś poza lekarstwem na nadciśnienie? - spytała bliźniaczek.

Obie wzruszyły ramionami i potrząsnęły bezradnie głowami. Sadie wcale się nie zdziwiła, że kobiety, które znają Clive'a Hollowella przeszło trzydzieści lat, nie mają żadnych informacji na temat stanu jego zdrowia. Ojciec nie rozmawiał o takich rzeczach.

Pielęgniarka zapewniła Sadie, że pacjent jest w stanie stabilnym, a teraz odpoczywa i nabiera sił. Obiecała zadzwonić, gdy tylko coś się zmieni. Następnie Sadie zostawiła wiadomość w skrzynce głosowej lekarza prowadzącego oraz zarezerwowała bilet lotniczy na pierwszy poranny samolot do Laredo, z międzylądowaniem w Houston. Potem wysłała siostry Parton do domu, przyrzekając, że nazajutrz skontaktuje się z nimi jeszcze przed dziewiątą, zanim wejdzie na pokład.

Wspięła się tylnymi schodami na piętro i ruszyła ku swojej sypialni ulokowanej na końcu korytarza. W jej żyłach wciąż krążyła adrenalina, lecz zmęczenie wręcz przygniatało ją do ziemi. Minęła galerię portretów przedstawiających srogie oblicza kolejnych Hollowellów. W dzieciństwie wydawało jej się, że posępne miny przodków wyrażają gniewną dezaprobatę. Miała wrażenie, że oni zawsze wiedzieli, kiedy biegała po domu, nie zjadła kolacji albo wepchnęła ubrania pod łóżko, zamiast schować je porządnie do szafy. Jako nastolatka czuła na sobie to karcące spojrzenie za każdym razem, gdy z przyjaciółką zbyt głośno puszczały muzykę, gdy chwiejnym krokiem wracała do domu z imprezy albo gdy obściskiwiała się z jakimś chłopakiem.

Teraz, jako osoba dorosła, wiedziała, że ponure miny ludzi na obrazach odzwierciedlały po prostu ducha epoki, miały też na pewno związek z brakami w uzębieniu i złą higieną jamy ustnej. Mimo to nadal wydawało jej się, że patrzą na nią z naganą, kiedy tak wlokła się korytarzem po powrocie z zabawy weselnej. Mieli jej za złe, że porzuciła Teksas

i trzymała się od niego z daleka. Że nie wiedziała o nadciśnieniu swojego ojca, który był już przecież w podeszłym wieku, ani czy może cierpiał też na jakieś inne choroby. Dręczyły ją niemałe wyrzuty sumienia z powodu ciągłej nieobecności u boku ojca, lecz przede wszystkim winiła się za to, że nie potrafiła pokochać ogromnego kawałka ziemi, który kiedyś przypadnie jej w udziale. Nie tak płomienną miłością, jaką powinna czuć. Jaką żywili swego czasu wszyscy Hollowellowie gapiący się na nią teraz ze ściany.

Wsunęła się do sypialni i włączyła światło. Pokój wyglądał dokładnie tak, jak w chwili jej wyjazdu przed piętnastu laty. Stało w nim to samo starodawne łóżko z żelazną ramą, należące jeszcze do jej babki. Przykrywała je znana jej doskonale biało-żółta pościel, a reszta umeblowania składała się z prawdziwych antyków z dębowego drewna.

Rozpięła sukienkę i rzuciła ją na rozłożysty fotel. W samej bieliźnie przeszła przez korytarz do łazienki. Pstryknęła włącznik światła i odkręciła kurek u wanny na lwich łapach.

Kiedy otwierała szafkę na lekarstwa, mignęło jej odbicie własnej twarzy. Zajrzała do środka, lecz nie znalazła tam nic poza starym opakowaniem aspiryny i paczką plastrów. Nic na receptę.

Cisnęła majtki oraz stanik na podłogę z białych kafelków i weszła do wanny. Zaciągnęła zasłonkę i puściła wodę z prysznicą.

Ciepły strumień padł na jej twarz i Sadie zamknęła oczy. Wieczór zaczął się źle, potem było coraz gorzej, a skończyło się katastrofalnie. Jej tata leżał w szpitalu w Laredo, jej usztywnione lakierem włosy przypominały hełm, a do tego pozwoliła facetowi włożyć sobie dłoń pod sukienkę i w majtki. Z tych trzech problemów jedynie kwestię fryzury mogła rozwiązać niezwłocznie. Nie chciała myśleć o Vinsie, co nie stanowiło wielkiego kłopotu, bo zaprzętał ją głównie niepokój o ojca.

Wszystko będzie dobrze, musi być, powtarzała sobie, myjąc włosy. Tata wyzdrowieje, uspokajała się, kiedy owinięta ręcznikiem przeszukiwała apteczkę w jego łazience. Znalazła tylko pół tubki pasty do zębów i paczkę tabletek na zgagę. Wyjdzie z tego, wmawiała sobie, kładąc się spać. Obudziła się kilka godzin później i złapała niedużą torbę, którą spakowała jeszcze przed wyjazdem z Arizony. Jest silny jak na swój wiek, zapewniała samą siebie. W drodze na lotnisko zatelefonowała do Renee i przedstawiła jej sytuację. Oceniała, że zostanie w Teksasie jeszcze przez tydzień, i przekazała asystentce wskazówki na czas swej nieobecności.

Wsiadając do samolotu lecącego z Amarillo do Houston, Sadie rozmyślała o wszystkich okazjach, przy których jej ojciec spadł z konia czy został kopnięty przez ponadpółtonowego wołu. Przez pewien czas po takim wypadku poruszał się nieco sztywno, ale zawsze ostatecznie wychodził cało.

Podczas trzygodzinnego oczekiwania na lotnisku w Houston na kolejny trwający godzinę lot do Laredo doszła do wniosku, że tata jest wojownikiem i nie podda się łatwo. Powtarzała to sobie, wynajmując samochód, wprowadzając adres do nawigacji i kierując się w stronę Szpitala Medyków. Do momentu kiedy winda wiozła ją na oddział intensywnej terapii, zdążyła już na wpół przekonać samą siebie, że lekarze przeceniali niebezpieczeństwo rzeczywiście grożące jej tacie. Na wpół uwierzyła, że jeszcze tego dnia zabierze ojca do domu, lecz gdy dotarła do sali szpitalnej i ujrzała jego poszarzałą i wynędzniałą twarz oraz rurki wystające mu z ust, musiała przestać się oszukiwać.

- Tato? - Przysunęła się do niego, stając w pewnej odległości od łóżka. Na jego policzku widniał siniak, a w kącie ust - zaschnięta krew. Otaczające go maszyny pikały, z kroplówki kapało, a respirator wydawał nienaturalne zasysające dźwięki. Serce jej się ścisnęło i gwałtownie wciągnę-

nęła powietrze. Oczy zapiekły ją, jakby miała się rozplakać, a jednak pozostały suche. Jeśli ojciec zdołał nauczyć ją czegokolwiek, to właśnie tego, że duże dziewczynki nie płaczą.

- Musisz to jakoś przełknąć - mawiał, gdy leżała na ziemi z tyłkiem obolałym po upadku z jednego z jego cennych koni. I tak robiła. Nie pamiętała, kiedy ostatnio zdarzyło jej się wylewać łzy.

Stłumiła w sobie emocje i podeszła do jego łóżka. Oburącz ujęła chłodną, suchą dłoń ojca. Do jego palca wskazującego przypięto pulsoksymetr, a ściśnięty koniuszek przybrał intensywnie czerwony kolor. Czy wczoraj jego ręka też wyglądała tak staro? Z tymi wystającymi kośćmi i wielkimi knykciami? Jego oczy i policzki wydawały się jeszcze bardziej zapadnięte, a nozdrza zwężone. Pochyliła się nad nim.

- Tato?

Maszyny pikały, dzięki respiratorowi jego pierś unosiła się i opadała, lecz nie otworzył oczu.

- Witam - odezwała się pielęgniarka, która niepostrzeżenie pojawiła się w sali. - Mam na imię Yolanda. - Jej fartuch zdobiły wesołe tęcze i uśmiechnięte słoneczka. Ten radosny wzorek silnie kontrastował ze złowieszczym wyposażeniem pokoju. - A pani musi być córką. Siostra, z którą rozmawiała pani wczoraj, przekazała nam, że zjawi się pani dziś po południu. - Zerknęła na odczyty wszystkich urządzeń, a potem sprawdziła przewód kroplówki.

Sadie ułożyła dłoń ojca na kołdrze i usunęła się z drogi.

- Jak z nim?

Yolanda przestudiowała informację na torebce z płynem do kroplówki.

- Rozmawiała pani z lekarzem?

Sadie potrząsnęła głową i stanęła w nogach łóżka.

- Oddzwonili do mnie, ale byłam akurat w samolocie.

- Jest w niezłym stanie, na ile to możliwe w tym wieku. - Pielęgniarka obeszła łóżko i sprawdziła z kolei worek cewnika. - Dziś rano przerwaliśmy na trochę podawanie środków sedacyjnych. Okazał się dość wojowniczy.

A jakżeby inaczej.

- Ale to całkiem normalne.

- Jeśli to normalne, to po co przerywać sedację? - spytała Sadie. Wydawało jej się to niepotrzebne.

- Chwilowe odstawienie leków pomaga pacjentowi zorientować się w nowym otoczeniu i zrozumieć sytuację. To także część procesu prowadzącego do odłączenia respiratora.

- A kiedy to nastąpi?

- Trudno powiedzieć. To zależy głównie od tego, kiedy pani ojciec będzie w stanie samodzielnie oddychać i poprawi się saturacja. - Yolanda podniosła wezglowie łóżka chorego i przyjrzała się jeszcze kilku innym wykresom i wskaźnikom. - Przekażę lekarzowi, że pani tu jest. A gdyby pani czegokolwiek potrzebowała, proszę mnie znaleźć.

Sadie przysiadła na krześle przy łóżku i czekała. Dopiero o piątej zjawił się pulmonolog, który nie przyniósł zbyt wielu nowych informacji. Ponownie usłyszała, że Clive ma złamane żebra, przebite płuco i uszkodzoną śledzionę i że jedyne, co mogli teraz zrobić, to pilnie śledzić, jak zareaguje na leczenie. Od geriatry dowiedziała się więcej, choć jego słowa okazały się trudne do przyjęcia. Wyjaśnił jej, że u pacjentów w podeszłym wieku należy wziąć pod uwagę dodatkowy szereg zagrożeń, takich jak ostra niedodma, zapalenie płuc czy zakrzepica. Ludzie po sześćdziesiątym roku życia umierali w wyniku obrażeń dwa razy częściej niż młodsi poszkodowani.

Sadie potarła twarz dłońmi. Nie miała zamiaru rozmyślać nad ostrą niedodmą, zapaleniem płuc i zakrzepicą.

- A jeśli tata okaże się odporny na te ryzyka, jak długo będzie musiał zostać w szpitalu?

Lekarz spojrział na nią i już wiedziała, że jego odpowiedź jej się nie spodoba.

- O ile nie zdarzy się cud, pani ojciec ma przed sobą długi powrót do zdrowia.

Jej ojciec był stary, ale był także silny, i jeśli ktokolwiek miał szansę na cudowne ozdrowienie, to właśnie on.

Po wyjściu ze szpitala znalazła centrum handlowe. Kupiła bieliznę w Victoria's Secret, a w Macy's i w Gapie kilka wygodnych letnich sukienek oraz strój do jogi. Wynajęła pokój w Residence Inn i odesłała nowe ubrania do hotelowej pralni. Sprawdziła pocztę i przeczytała uważnie wielomilionową ofertę kupna posiadłości w Fountain Hill. Zadzwoiła do swojego klienta, przedstawiła mu propozycję, zasugerowała kilka poprawek i doprecyzowała pewne fragmenty umowy. Potem przefaksowała agentowi kupującego wprowadzone zmiany. Może i utknęła w Laredo, ale w sprawach służbowych pozostawała na bieżąco. Poczekala, aż drugi agent oddzwoni, potem sama znów skontaktowała się z klientem, który zaakceptował umowę. Z resztą formalności poradzi już sobie Renee. Sadie położyła się do łóżka i spała twardo aż do ósmej następnego ranka.

Wyprane nowe ciuchy czekały na nią przed drzwiami pokoju. Sadie wzięła prysznic, popracowała chwilę na komputerze i dotarła do szpitala akurat na czas pierwszego obchodu. Widziała, jak lekarze wyjęli tacie rurę z ust i jak przypięli mu ręce i nogi do łóżka, kiedy na krótką chwilę wyprowadzili go znów z sedacji. Wy tłumaczyli mu, gdzie jest i co się stało. Dodali, że Sadie jest przy nim.

- Jestem tu, tato - odezwała się, kiedy ojciec szarpał paski przytrzymujące jego nadgarstki. Jego niebieskie oczy o dzikim, zdezorientowanym wyrazie podążyły w stronę jej głosu. Wydał z siebie zboląły jęk, podczas gdy respirator wtłoczył porcję powietrza do jego płuc. „Musisz to jakoś przełknąć, Sadie”. - Wszystko w porządku. Wszystko będzie

dobrze - skłamała. Kiedy środki uspokajające ponownie zaczynały działać, nachyliła się do jego ucha i szepnęła: - Jutro też tutaj będę.

Potem objęła się ramionami i opuściła pokój. Ścisnęła się mocno, jak wówczas gdy była dzieckiem i nie miała do kogo się przytulić. Nie miała nikogo, kto ukołysałby ją w tych strasznych chwilach, gdy czuła, że cały jej świat się sypie. Ruszyła w stronę rzędu okien u końca korytarza i wyjrzała na parking obsadzony palmami, lecz nie widziała nic. Zatrzęsała się i spróbowała objąć się ciaśniej. „Przełknij to, Sadie”. Duże dziewczynki nie płakały, nawet jeśli przyniosłoby im to taką ulgę. Tak łatwo byłoby pozwolić ujść tym emocjom, zamiast tłamsić je wszystkie w sobie.

Wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powoli powietrze i wróciła do sali. Tata leżał już całkiem spokojnie.

Następny dzień wyglądał bardzo podobnie do poprzedniego. Wysłuchiwała uważnie lekarzy, którzy relacjonowali postępy w leczeniu, a następnie ponownie zmusiła się, by stać przy łóżku taty, podczas gdy go wybudzali. Była nieodrodną córką swojego ojca. Nawet jeśli wszystko w niej rozpadało się na kawałki, na zewnątrz pozostawała niewzruszona.

W tydzień po wypadku Sadie musiała przeorganizować swój rozkład pracy. Po rozmowie z brokerem przeniosła wszystkich swoich klientów do innych agentów. Musiała pogodzić się z faktem, że jej ojca nie czeka żadne cudowne ozdrowienie. Czekala go długa rehabilitacja, a ją długie rozstanie z codziennym życiem.

Każdego kolejnego dnia przerywano sedację na nieco dłużej, przygotowywano też tatę do odłączenia respiratora. Kiedy po półtora tygodnia Sadie przyszła go odwiedzić, maszyna zniknęła, zastąpiona przez wąsy tlenowe. Ojciec spał. Poczula nieznaczną ulgę.

- Tato? - szepnęła, pochylając się nad nim. Nadal był podłączony do różnych monitorów oraz torebek z solą fizjologiczną i lekiem. Jego twarz wciąż wyglądała blado i mizernie. - Tato, jestem.

Clive uniósł powieki.

- Sadie? - wychrypiął boleśnie. Uśmiechnęła się do niego. - Tak, to ja.

- Dlaczego... - Zakaszła i przyłożył trzęsącą się dłoń do boku. - Szlag by to trafił! - zaklął skrzekliwym głosem. - Jezusie, Maryjo i święty Józefie! Jakbym cały bok miał w ogniu.

Dyżur znowu miała Yolanda, ta od radosnego fartucha.

- Panie Hollowell, chce pan trochę wody?

- Nie chcę żadnej... - znów przerwał mu atak kaszlu, aż Sadie cała się skuliła - żadnej choleralnej wody! Cholera jasna!

Yolanda i tak napełniła plastikowy kubeczek, odwracając się przy okazji do Sadie.

- Niektórzy pacjenci budzą się marudni - ostrzegła. - To przez stres i dezorientację.

Nie. W przypadku Clive'a Hollowella ten stan był wrodzony.

W następny poniedziałek po tym idiotycznym pieprzeniu w piekielnym Pałacu Ślubów Vince zadzwonił do oddziału banku w Amarillo, gdzie wyznaczono mu spotkanie w sprawie pożyczki biznesowej na za dwa tygodnie. Kiedyś brał już od banku pieniądze na zakup pralni, wiedział więc, jak to działa. Tym razem jednak nie zamierzał korzystać ze specjalnych kredytów dla weteranów. Tym razem potrzebował więcej niż pół miliona dolarów.

Tymczasem skontaktował się z miejscowym przedstawicielem inspektoratu handlowego oraz z rzeczoznawcą

i z nimi także się umówił. Przygotował biznesplan i uporządkował dokumenty związane ze swoimi finansami. Wszystko, od wyciągów bankowych, poprzez plan emerytalny, a skończywszy na wykazie posiadanych akcji. Zdobył księgi rachunkowe Gas and Go i poprosił siostrę, by poszperała w wynajmowanym przez niego magazynie w Seattle, w którym składował swoje rzeczy, i przesłała mu jego rozliczenia podatkowe z ostatnich dwóch lat. Nie wiadomo dlaczego Autumn dołączyła do tego także kilka pudeł zawierających rzeczy osobiste. Jakieś fotografie, medale, odznaki, odznaczenia. „Trójzab” należący do Wilsona - emblemat marynarzy SEAL - który matka przyjaciela przekazała mu po jego pogrzebie.

Nim wkroczył do banku z oceną rzeczoznawcy i zaświadczeniem od inspektora handlowego w ręku, zdążył się już na wszystko przygotować. Właśnie tak lubił iść przez życie. Przygotowany. Nie jak harcerz. Jak SEAL. Jeśli cokolwiek mogło stanąć na przeszkodzie zawarciu umowy, to tylko niechlujność ciotki Luraleen w kwestii prowadzenia rachunków. Jej bilansom daleko było do przejrzystości, lecz mimo to stacja przeszła inspekcję śpiewająco. Luraleen wykazywała się może niedbałością, jeśli chodziło o finanse, ale za to co do joty przestrzegała przepisów związanych z ochroną środowiska. Sam budynek stacji wymagał paru przeróbek, jednak zbiorniki na paliwo okazały się bardzo solidne. A wobec faktu, że ciotka oferowała mu kupno przedsiębiorstwa po cenie o kilkaset tysięcy niższej niż ta podana przez rzeczoznawcę, Vince był niemal pewien, że otrzyma kredyt. Oczywiście zawsze mogło stać się coś, co opóźni cały proces.

Vince nie znosił nieprzewidywalnych zdarzeń jeszcze bardziej niż bycia czyimś dłużnikiem.

Czekając na odpowiedź z banku, przyswoił tyle informacji na temat prowadzenia sklepu, ile tylko się dało. Luraleen zapoznała go ze swoimi dostawcami, a także z dwójką

pracowników, Party Schultz i George'em „Robalem” Larsonem. Oboje wydawali się dość kompetentni, choć żadne nie sprawiało wrażenia szczególnie zainteresowanego pracą. Ich zaangażowanie pewnie rosło jednak podczas przerwy na pikantne hot dogi. Kiedy - jeśli w ogóle - Vince przejmie stery, Party i Robal będą musieli wykazać się czymś więcej niż siedzenie na tyłkach i kasowanie piwa oraz papierosów, żeby zasłużyć na te dziesięć dolców za godzinę, które dostawali. Na tym nie koniec zmian, które planował wprowadzić. Po pierwsze, miał zamiar potraktować niektóre sprzęty młotem. Jako członek SEAL specjalizował się przede wszystkim w desancie, ale uwielbiał też porządną demolkę. Po drugie, po remoncie sklep będzie zamykany o dwudziestej czwartej, a nie, jak do tej pory, o dwudziestej drugiej albo kiedy Luraleen się zachce.

W drugim tygodniu pobytu przejął od ciotki wieczorne zmiany i wziął na siebie obowiązek zamknięcia stacji na noc. I podczas tych kilku godzin dziennie, stojąc za ladą, odkrywał, że dla miejscowych plotkowanie stanowi niemal odruch bezwarunkowy. Jak oddychanie lub okazjonalne wtrącanie słowa „ludziska”.

Pewnego wieczoru Deeann Gunderson zdradziła mu przy snickersie i kubku kawy bezkofeinowej, że Jerome Leon za plecami żony „zadaje się” z Tamarą Perdue. Deeann była właścicielką „Ciucha od Deeann”, a przy tym ładną trzydziestoparoletnią rozwódką z dwójką dzieci. Dała Vince'owi do zrozumienia, że ma ochotę na coś więcej niż tylko batonik i plotki i że mogłaby znaleźć dla niego czas w co drugi weekend. Jeśli nie okaże się, że w rzeczywistości poszukiwała tatusia dla swoich dzieci, Vince chętnie rozważyłby jej propozycję. Nie miał nic przeciwko dzieciakom. Nie przepadał jedynie za mamusiami polującymi na nowych mężów.

Dowiedział się też, że ktoś rozjechał pieska Velmy Patterson oraz że Daisy i Jack Parrish spodziewają się dziecka,

dziewczynki. Doniesiono mu również, że Sadie Hollowell przebywa w Laredo, gdzie w szpitalu leży jej ojciec. Wyglądało na to, że każdy w mieście ma własne zdanie na temat Hollowellów w ogóle, a Sadie w szczególności. Jedni, jak ciotka Luraleen, uważali Sadie za niewdzięczną córkę. Inni twierdzili, że to Clive ją zaniedbywał, poświęcając więcej uwagi bydłu i koniom niż własnemu dziecku. Ale niezależnie od poglądów wszyscy uwielbiali gadać.

Jakby Vince'a cokolwiek to obchodziło.

Poza zwykłymi transakcjami, czyli sprzedawaniem benzyny temu, kto akurat jej potrzebował, Gas and Go obsługiwało paru stałych klientów. Takich, którzy wpadali każdego dnia o tej samej porze, by kupić colę z dystrybutora, piwo albo paliwo.

Jedną z tych regularnie zagląających osób okazała się Becca Ramsay, która codziennie przyjeżdżała po wieczorny kubek coli. Co akurat dość mocno Vince'owi przeszkadzało.

- Vince! - pisnęła, kiedy po raz pierwszy zobaczyła go za ladą, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. - Zostajesz w Lovert?

Zastanowił się, jaki jest sens kłamać.

- Przynajmniej na jakiś czas.

Od tej pory zawsze zatrzymywała się na stacji w drodze powrotnej z Milan Institute w Amarillo, żeby kupić paczkę gumy do żucia, batonik albo red bulla. Okazało się, że młodzieńca Becca uczyła się w szkole kosmetycznej i z jakiegoś pieprzonego powodu uważała, że Vince'a to cokolwiek obchodzi.

- Jeśli jeszcze jedna starsza pani poprosi mnie o trwałą - mówiła, przeciągając słowa - to przysięgam, że normalnie zwariuję!

- Mhm. - Napił na kasę jej napój energetyzujący.

- Widziałam Slade'a w samochodzie tej zdziry, Lexy Jane. Jest tak spłukany, że nie stać go nawet na własny wóz.

Vince poczuł ostre ukłucie bólu w lewym oku. Jakby ktoś wbił mu gwóźdź w sam środek tęczówki. Następnego dnia wstąpiła specjalnie, by go poinformować, że wykonała dziś swojego pierwszego boba. Najwyraźniej był to rodzaj damskiej fryzury; Vince po raz pierwszy w ciągu sześciu lat uświadomił sobie, że uszkodzenie narządu słuchu ma też swoje zalety. Może jeśli zwróci się do niej chorym uchem, choć trochę wytłumi jej głos. A może zabraknie jej słów i wreszcie się zamknie?

-1 wcale nie wyglądała po wszystkim jak jamnik! - Zaśmiała się. - Nie masz nawet pojęcia, ile dziewczyn nie potrafi porządnie zrobić boba!

Nic z tego. Vince został przeszkolony przez najlepszych wojskowych specjalistów na świecie w zakresie Uciezek i Uników. Potrafił wydostać się z naprawdę nieciekawych miejsc, ale UiU nie miało zastosowania w przypadku Bekki Ramsay, chyba że zastosowałby na niej duszenie.

- W przyszłym tygodniu organizuję imprezę urodzinową.

- Ile kończysz? - zapytał, przesuwając nad skanerem jej nugatowy batonik. Jeśli miałyby zgadywać, strzelałyby, że ledwie osiągnęła pełnoletniość. Dla niektórych facetów taka młoda atrakcyjna dziewczyna stanowiłaby łakomy kąsek. Ale Vince się do nich nie zaliczał. Wolał dojrzałe kobiety, które nie łkały w jego towarzystwie.

- Dwadzieścia jeden.

Będąc w jej wieku, Vince właśnie przebrnął przez Szkolenie Kwalifikacyjne SEAL i został skierowany do oddziału. Był wtedy zarozumiałym, nabuzowanym testosteronem młodzieńcem, czuł się niezwyciężony. Cechowały go arogancja i nieustępliwość, które miały swe źródło w licznych posiadanych umiejętnościach.

- Przyjdź, napijemy się razem.

Pogrzebała w portfelu i wręczyła mu banknot pięciodolarowy.

- Raczej nie, dzięki.

- Dlaczego nie? Przecież jesteśmy przyjaciółmi. Wybrał z kasy resztę i spojrzał na to głupiutkie dziew-

czątko. Ona naprawdę wierzyła, że są przyjaciółmi.

- Od kiedy?

- Odkąd rozmawialiśmy na weselu Tally Lynn. Bardzo mi wtedy pomogłeś, Vince.

Jeżu, dziewczynie zdawało się, że siedział w tej garderobie z jej powodu. A przecież został z nią tylko dlatego, że Sadie Hollowell sprawiła, że mu stanął, i musiał to przeczekać.

- Dzięki tobie zrozumiałam, że Slade to płytki dureń i że lepiej mi będzie bez niego.

- Serio? - Nie przypominał sobie, by mówił coś podobnego.

Uśmiechnęła się.

- Chcę czegoś więcej. Zasluguję na więcej, więc przestałam się już przejmować tamtym.

Nagle doznał bardzo nieprzyjemnego odczucia. Jakby ktoś celował mu prosto między oczy, a on nie miał bronii, by odeprzeć atak.

Odezwał się dzwonek nad drzwiami i Vince odwrócił wzrok od dużych brązowych oczu Bekki, by zerknąć na nowo przybyłą klientkę. A okazała się nią kobieta, która więcej niż raz wprowadziła go w zażenowanie. Jasne włosy związała w luźny, nieporządny kucyk. Na sobie miała wymiętą sukienkę i zapinaną na zamek bluzę z kapturem. Wyglądała okropnie, ale z niewiadomych przyczyn jego ciało zareagowało, jak gdyby był nastolatkiem, który właśnie dostrzegł najładniejszą dziewczynę w klasie wchodzącą na zajęcia z wychowania seksualnego.

Rozdział ósmy

Sadie pchnęła drzwi stacji i poprawiła torebkę na ramieniu. Była bardziej niż wyczerpana. Minione dwa tygodnie spędziła w szpitalu w Laredo i dopiero jakąś godzinę temu jej samolot wylądował w Amarillo. Musiała przeczekać cztery godziny w terminalu w Dallas, co nie tylko spotęgowało jej zmęczenie, ale i znacząco wpłynęło na jej humor. Koński ogon związała nierówno, oczy ją szczypały. Wyglądała beznadziejnie, ale zwyczajnie miała to gdzieś.

Popatrzyła na Beccę oraz na mężczyznę, którego twarz zdobił nieprzyjazny grymas, jakby wielka burzowa chmura zawisała nad jego głową i szerokimi ramionami. Cudownie, Vince wciąż jeszcze nie wyjechał. Ale wyczerpana Sadie nawet nie odczuła zmieszania z powodu tego, co zaszło na weselu Tally Lynn, ani nie przejęła się tym, jaki widok sobą przedstawia. Zażenowanie dopadnie ją jutro, kiedy jej mózg odpocznie i zarzuci ją wspomnieniami dotyku jego gorących warg i ciepłych dłoni.

- Cześć, Sadie. - Becca przysunęła się i uściskała ją, jakby były dobrymi przyjaciółkami. - Słyszałam, co się stało. Jak twój tata?

Sadie z zaskoczeniem stwierdziła, że gest Bekki poprawił jej samopoczucie.

- Zrzedliwy. - Odchyliła głowę, by spojrzeć w brązowe oczy młodszej kobiety. - Dzięki, że pytasz. - Lekarze szacowali, że minie jeszcze kilka tygodni, nim Clive'a będzie

można przetransportować do domu opieki w Amarillo, gdzie z kolei czekały go długie miesiące rekonwalescencji. - Niedługo przenoszą go do ośrodka rehabilitacyjnego w Amarillo.

Właśnie dlatego przyjechała. Musiała porozmawiać z administratorem placówki i uzgodnić, jak najlepiej zająć się ojcem. Należało opracować jakiś plan radzenia sobie z marudnym starym ranczerem, któremu ataki złości nie były obce.

- Pamiętam, że miałaś zamiar wracać do domu. Ale czy w tej sytuacji nie zostaniesz tu na trochę? - chciała wiedzieć Becca.

- Pewnie na kilka miesięcy. - Utknęła w Lovett na całe miesiące! Poświęci się opiece nad ojcem, który najwyraźniej nie chciał, by ktokolwiek się nim opiekował, a już najmniej ze wszystkich - ona. Sadie ruszyła w stronę lodówek. Jej zmęczony umysł rzeczywiście nie przetwarzał informacji, lecz nie musiała mieć przed oczami wszystkich wydarzeń tamtego wieczoru w garderobie panny młodej, by jej ciało zareagowało na bijącą od Vince'a falę testosteronu, która uderzyła w nią niczym tsunami. Coś wzburzyło się w jej piersi.

- Wtedy, na weselu, wszyscy zastanawialiśmy się, czemu uciekłaś tak nagle, jeszcze zanim Tally Lynn rzuciła bukiet. Teraz już wiadomo.

Jej obolała stopa zastygła w pół kroku, Sadie odwróciła się, by spojrzeć na Vince'a.

- Wiadomo?

Czyżby Vince wyjawiał Becce, co zaszło? A może ktoś jednak ich widział?

Vince milczał. Uniósł tylko wysoko jedną brew.

- No tak. Gdyby coś się stało mojemu tacie, też bym wybiegła bez pożegnania.

Sadie ogarnęła ulga, zaś Vince zareagował głębokim, dudniącym śmiechem, ona jednak była zbyt zmęczona, by się tym przejąć.

- A teraz muszę lecieć - oznajmiła Becca. - Do zobaczenia, Sadie.

- Pa, Becca. - Sadie zgarnęła wielką paczkę cheetosów i skierowała się ku lodówkom. Kiedy wróciła do kasy, ona i Vince zostali już sami. Miał na sobie beżowe bojówki, w które wetknął biały T-shirt, opinający ciasno jego pierś i ramiona. Za jego plecami znajdował się stojak pełen papierosów najróżniejszych marek. Czy w noc wesela też wyglądał tak seksownie? Nic dziwnego, że pozwoliła mu, by wsadził jej rękę pod spódnicę.

Położyła swoje zakupy na ladzie, obok kartonu pełnego paczuszek suszonej wołowiny. Może jej się poszczęści i Vince nie wspomni nic na temat tamtego wieczoru.

- Pracujesz tutaj?

- Owszem. - Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, na króciutką chwilę zatrzymując spojrzenie na przedzie jej sukienki. - Wyglądasz koszmarnie.

- Och - rzuciła zszokowana. I to właśnie w chwili, gdy ona komplementowała go w myślach. - Dzięki.

Jego długie palce zastukały w klawisze kasy fiskalnej.

- Mówię tylko, że mogłabyś się trochę uczesać, nim wyjdiesz do ludzi.

Wyjęła portfel z torebki.

- Nie uczą was dobrych manier w tej szkole dla komandosów?

- Tak, na obozie szkoleniowym. Kurs dobrych manier wypada gdzieś między treningiem zwiadowczym a technikami niszczenia.

- Cóż, widać ty oblałeś. - Jak na razie wszystko szło gładko. Nie odezwał się ani słowem o wiadomych wydarzeniach. Zdecydowanie wolała, żeby krytykował jej wygląd.

- Nie można oblać żadnej części SKS, bo się wylatuje. -Podsumował należność do zapłaty.

- Co to jest SKS? - Patrzyła, jak wrzuca jej chipsy do siatki.

- Szkolenie Kwalifikacyjne SEAL.

- A do czego właściwie was szkolą? - Nie żeby aż tak ją to interesowało, ale zdawało się to dość bezpiecznym tematem.

- Do ścigania złych ludzi. Naprawiania świata.

- Nie nauczyli was za to naprawiać auta, które padło w drodze. A zawsze sądziłam, że ci z SEAL potrafią wyjść z każdej sytuacji w stylu MacGyvera.

- Tak, tyle że akurat tego dnia zabrakło mi spinaczy i gumy do żucia. Niemal się uśmiechnęła.

- Ile jestem winna?

Spojrzał na nią i także się uśmiechnął, nie był to jednak ten przyjazny, ciepły uśmiech, który oglądała w noc wesela Tally Lynn. Tamten uprzejmy facet gdzieś zniknął.

- Przynajmniej zwykle „dziękuję”. Wskazała na swoje zapasy.

- Mam ci podziękować za możliwość zakupu cheetosów i coli?

- Ach, za cheetosy i colę należy się pięć sześćdziesiąt. Wręczyła mu sześć dolarów.

- Ale ciągle jesteś mi coś winna za tamten wieczór. Chyba liczyła na zbyt wiele. Musiał w końcu przywołać ten temat. W porządku.

- Dziękuję.

- Za późno. I to niezbyt hojna rekompensata.

Znów przypatrywał się jej ustom. Przypominała sobie, że wtedy wydało jej się to bardzo seksowne. Teraz robiło na niej zupełnie inne wrażenie.

- Ile w dzisiejszych czasach wart jest orgazm?

- Taki jak tamten? - Wychowano ją na grzeczną osobę, która zachowywała się jak na damę przystało, bez względu

na to, jak niemile ją traktowano. Powinna teraz obdarować go uśmiechem, rzucić: „Pocziwy z ciebie człowiek” i odejść, lecz wyczerpała już swoje pokłady uprzejmości. Miała serdecznie dosyć uśmiechania się do nieznośnych facetów. - Zatrzymaj sobie resztę i uznamy, że wyrównaliśmy rachunki. Jeden z kącików jego ust uniósł się odrobinę.

- Kotku, uważasz, że tamten orgazm wart był czterdzieści centów?

- Miewalam lepsze. - Może, ale na pewno nie szybsze.

- Mimo wszystko na pewno należy mi się więcej niż czterdzieści centów. Wyjęczałaś „O Boże” przynajmniej dwa razy.

- Przy naprawdę porządnym orgazmie wyjęczałabym to przynajmniej trzy razy.

- Ledwie cię dotknąłem, a już odpłynęłaś. - Wyciągnął do niej zwiniętą w pięść dłoń i upuścił monety na jej rękę. - Czyli wisisz mi więcej niż czterdzieści centów.

Zacisnęła palce na pieniądzach, a potem wrzuciła je do kieszeni kurtki.

- Rozumiem, że znów nie jesteśmy kwita.

Jego jasnozielone oczy się zwięziły, wargi wygięły w uśmiechu. Potrząsnął głową.

- A długi to piekielna sprawa.

Rozległ się sygnał oznajmiający wejście następnego klienta, a Sadie czym prędzej chwyciła swoją siatkę.

- Uratowana przez dzwonek - skomentowała, wskazując palcem sufit.

- Chwilowo.

- Sadie Jo?

Sadie odwróciła się i zmierzyła wzrokiem kobietę z niemowlęciem wspartym o biodro oraz dwójką nieco starszych dzieciaków drepczących tuż za nią. Jasne włosy ściągnęła na czubku głowy, a przy skórze widać było co najmniej dwucentymetrowe brązowe odrosty.

- RayNetta Glenn?

- Właściwie to RayNetta Colbert. Wyszłam za Jimmy'ego Colberta. Pamiętasz go?

Jak mogłaby zapomnieć? Jimmy Colbert lubił wachać klej do drewna i palił skręty z kartek w linie wypełnionych ostrużynami z ołówków.

- Macie trójkę dzieci?

- I dwa kolejne w drodze. - Przesunęła najmłodszą dziewczynkę na drugie biodro. - We wrześnie urodzą nam się bliźnięta.

- O Boże! - Sadie otworzyła szeroko usta. - O mój Boże!

- To dwa „O Boże” - odezwał się Vince zza lady. - Wisisz tej kobiecie czterdzieści centów.

Sadie go zignorowała.

- Słyszałam o twoim tacie. - RayNetta poprawiła uchwyt dziecka. - Jak on się ma?

- Lepiej. - To fakt, wciąż jednak daleko mu było do „dobrze”. - Przenoszę go do ośrodka rehabilitacyjnego w Amarillo.

- Biedny, poczciwy człowiek... - Chłopcy wyminęli matkę i pobiegli w stronę półki ze słodyczami. - Tylko po jednym! - zawołała za nimi RayNetta. - Dzieciaki. - Potrząsnęła głową. - Ty wyszłaś za męża?

No i proszę, nieuniknione pytanie.

- Nie. - I zanim RayNetta zdążyła coś wtrącić, dodała: - Nigdy nie wzięłam ślubu, dzieci też nie mam. - Chwyciła pewniej plastikową siatkę. - Dobrze cię widzieć.

- Nawzajem. Musimy się kiedyś spotkać i pogadać.

- Jeszcze przez jakiś czas będę na miejscu. - Obejrzała się na Vince'a, który stał z rękami na biodrach. Jej wzrok wspiął się po drabinie jego mięśni, przesunął po kwadratowej szczęce i wreszcie sięgnął zielonych oczu. - Do widzenia, Vince.

- Do następnego spotkania, Sadie. - Odniosła wrażenie, że to bardziej ostrzeżenie niż pożegnanie.

Zagryzła wargi, by się nie uśmiechnąć. Pomyślała, że pewnie powinna się przestraszyć albo chociaż zaniepokoić. Vince był potężnym, onieśmielającym mężczyzną, jednak nie czuła się przez niego ani odrobinę zagrożona. Jeśliby chciał odzyskiwać „długi” siłą, zrobiłby to na weselu Tally Lynn.

Wyszła w mrok nocy, kierując się ku swojemu saabowi. Zostanie w mieście tylko kilka dni, zanim wróci do Laredo, wątpiła więc, czy zdąży w tym czasie ponownie wpaść na Vince'a. Zwłaszcza jeśli będzie się trzymać z daleka od Gas and Go.

Inne kobiety mogły mieć słabość do czekolady, lecz obsesję Sadie stanowiły cheetosy. W drodze na rancho rozdarła paczkę i pochłonęła wszystkie, uważając, by nie zostawić na kierownicy tłustych śladów. Włączyła iPoda i wnętrze auta wypełniło się muzyką zespołu My Chemical Romance. Sadie była ich fanką, odkąd grupa wydała swój pierwszy album, i teraz wtórowała im na całe gardło do utworu *Bulletproof Heart*. Śpiewała, jakby jej życie wcale nie wywróciło się do góry nogami. Jakby niczym się nie martwiła.

Kamienie zachręściły pod kołami samochodu, kiedy podjeżdżała pod ciemny dom. Nie poinformowała nikogo, że dziś wraca. Nie chciała, by ktokolwiek na nią czekał. Miała jedynie ochotę położyć się spać.

W budynku nie paliło się ani jedno światło. Sadie przeszła ostrożnie do salonu i pstryknęła przełącznik. Ogromny żyrandol wykonany z jelenich poroży wydobył z mroku obciążone skórą meble oraz wielki kamienny kominek. Na szafkach i stolikach stały oprawione zdjęcia całej rodziny. Nikt tych fotografii nie ruszał od dnia śmierci jej matki, dwadzieścia osiem lat temu. Nad paleniskiem wisiał obraz przedstawiający największe osiągnięcie i największą miłość ojca: Admirala, konia rasy Blue Roan Tovero. Ogier

był dumą i radością Clive'a, ale umarł z powodu kolki po zaledwie pięciu latach. Wtedy po raz pierwszy i ostatni Sadie widziała swojego ojca zasmuconego. W jej obecności nie uрониł ani jednej łzy, ale podejrzewała, że w samotności płakał jak dziecko.

Z kuchni zabrała szklanę pełną lodu, a potem wspięła się po schodach. Przedfilowała przed galerią przodków i zniknęła w swojej sypialni. Włączyła lampkę umieszczoną na szafce nocnej; światło rozlało się po łóżku, a Sadie rzuciła siatkę z zakupami na biało-żółtą pościel.

Pokój sprawiał wrażenie bardzo przytulnego, głównie przez to, że wszystko tu było tak doskonale znajome. Obok lampy z abażurem w kwiatowy wzorek stał ten sam zegar co dawniej. Nikt nie przestawił też jej wspólnego portretu z matką, wykonanego wkrótce po przyjsciu Sadie na świat. Stał na toaletce, tuż obok puszek zawierających rozmaite próbki perfum, które zgromadziła przez lata. Przypięte do korkowej tablicy rozetki upamiętniały jej udział w rozgrywkach siatkarskich i zaangażowanie w działalność Stowarzyszenia 4-H. Obok przymocowano półkę, na której pyszniły się wszystkie jej szarfy i korony wicemiss.

Czuła się tu swojsko, ale nie jak w domu. Bo jej dom, inspirowany hiszpańskim stylem budynek, który kupiła w czasie kryzysu na rynku po szalenie korzystnej cenie, stał w Phoenix. Raty kredytu hipotecznego nie wynosiły aż tak wiele, a ona zaoszczędziła wystarczająco dużo pieniędzy, by nie mieć problemów ze spłatą.

Zarabiała najlepiej ze wszystkich współpracowników firmy brokerskiej. Od każdej transakcji dostawała sześćdziesiąt pięć procent prowizji. Firma zapewniła ją, że nie musi się martwić utratą zatrudnienia, nie chciała jednak porzucać pracy na tak długo, by znów podlegać standardowemu modelowi podziału zysków, to znaczy pół na pół. Bardzo się namęczyła, żeby uzyskać te dodatkowe piętnaście procent.

Problem polegał na tym, że nie miała pojęcia, kiedy uda jej się wrócić do Arizony. Za cztery tygodnie? Sześć? Być może dopiero za dwa miesiące będzie mogła zacząć zbierać rozsypane kawałki swojego życia w jedną całość. Jedyne zadanie na teraz stanowiło upewnienie się, że po wszystkim będzie miała do czego wracać.

Musiała sprawić, by jej świat czekał na nią nietknięty. Na ile to możliwe.

Następnego dnia spotkała się z kierownikiem Ewangelickiego Centrum Rehabilitacyjnego „Samarytanin” w Amarillo, który zapewnił ją, że jej ojciec znajdzie tu wszelką opiekę i pomoc, jakiej będzie potrzebował. Przekonywał także, że pracownicy placówki są przyzwyczajeni do trudnych pacjentów. Nawet tak trudnych jak Clive Hollowell.

Tydzień po tej rozmowie Clive został przetransportowany do Amarillo, leżącego osiemdziesiąt kilometrów na południowy wschód od Lovert, co znaczyło, że znalazł się o sto kilometrów bliżej domu. Sadie sądziła, że ta świadomość go ucieszy.

- Co ty tu robisz?

Oderwała wzrok od kolorowego magazynu, który przeglądała. Pielęgniarz wepchnął właśnie do pokoju wózek, na którym siedział jej ojciec. Z tyłu zaczepiono zbiornik z tlenem. Tata spędził w Samarytaninie dwadzieścia cztery godziny i wyglądał na dużo bardziej wyczerpanego niż wcześniej. Sądząc po wyrazie twarzy, nie czuł się też szczęśliwszy, ale za to starannie go ogolono, a włosy miał jeszcze wilgotne po prysznicu.

- A co innego miałabym robić, tato? - Boże, dlaczego on musiał tak ją zamięczać każdego dnia? Czy choć raz nie mógłby po prostu ucieszyć się faktem, że zjawiała się tu dla niego? Nie mógł zwyczajnie spojrzeć na nią i rzec: „Jak

dobrze, że jesteś, mała"? Czemu zawsze sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać jej odejścia?

- Wrócić do domu, gdziekolwiek to teraz jest. Doskonale wiedział, gdzie mieszkała.

- W Phoenix - przypomniała mu mimo to. - Kupiłam ci nowe skarpetki. - Zaprezentowała siatkę z domu towarowego oddalonego o paręnaście minut jazdy. - Takie jak lubisz. Grube i mięciutkie, antypoślizgowe.

- Pieniądze wyrzucone w błoto. Nie znoszę grubych skarpet.

Pielegniarz opuścił podpórkę na nogi, a Clive postawił na podłodze swe długie kościste stopy odziane w antypoślizgowe skarpety w czerwoną kratę, które córka kupiła mu jeszcze w Laredo. Pracownik ośrodka pomógł mu się podnieść.

- Cholera by to wzięła! - Ojciec wciągnął łapczywie powietrze, przysiadając na brzegu łóżka. - Psiakrew!

Jeszcze parę lat temu taki ton głosu sprawiłby, że Sadie uciekłaby z pokoju. Teraz wręcz przeciwnie - przysunęła się bliżej.

- Jak mogę ci pomóc, tato? Potrzebujesz czegoś z domu? Może przywieźć ci pocztę? Faktury, raporty?

- Dickie Briscoe właśnie tu jedzie - odparł ojciec, mając na myśli kierownika rancza. - A Snooks razem z nim.

Odprawiał ją.

- A ja? Nie ma nic, co ja mogłabym zrobić?

Jego niebieskie tęczyówki spojrzały wprost w jej oczy.

- Wyciągnij mnie stąd. Chcę wrócić do domu.

Na razie za bardzo potrzebował profesjonalnej opieki, by dało się spełnić jego życzenie. Jego stan trzymał też Sadie tutaj, nie pozwalając jej wrócić do Arizony.

- Tego nie mogę zrobić, tato.

- W takim razie nic nie możesz dla mnie zrobić. - Popatrzył na kogoś ponad jej ramieniem i uśmiechnął się. - Snooks, nareszcie, do cholery, jesteś.

Sadie odwróciła się do nadzorcy, którego znała od urodzenia. Był, tak jak jej ojciec, prawdziwym kowbojem. Nosił koszulę z perłowymi zatrzaskami, wranglery i wysokie buty pokryte pyłem i krowim łajnem. Miał czerstwą skórę i szpakowate włosy - efekt działania teksańskiego wiatru i słońca, a także zwyczaju wypalania paczki papierosów dziennie.

- Cześć, Snooks. - Sadie otworzyła ramiona, ruszając do niego.
- Moja dziewczynka.

Snooks, ojciec sześciu synów, człowiek dobrze po sześćdziesiątce, tak samo jak Clive wyglądał na swój wiek. Ale w przeciwieństwie do pracodawcy posiadał spory brzuszek i poczucie humoru.

- Jak zawsze przystojny - skłamała Sadie. Snooks nigdy nie prezentował się zbyt atrakcyjnie, głównie z powodu uczulenia na trawę i kurz, w wyniku którego jego oczy praktycznie na stałe nabrały odstraszałającej czerwonej barwy. - Co u twoich chłopców?

- W porządku. Mam ośmioro wnucząt.

- Dobry Boże! - Naprawdę była jedyną w okolicy osobą powyżej dwudziestego piątego roku życia, która wciąż nie dorobiła się dzieci. Nie licząc Sarah Baynard-Conseco, choć w jej przypadku decydował wyłącznie fakt, że pan Conseco gościł w San Quentin.

- A ja ani jednego - mruknął cierpko Clive zza pleców Sadie.

Czyżby to właśnie stąd brała się ta jego nieustanna zrzędlivość? Miał jej za złe, że nie wydała na świat sześciu bobasów? Jeśli tak, to na karb czego zrzucić marudność, którą wykazywał już lata temu, gdy miała bodajże dwanaście lat?

- Nigdy wcześniej nie wspominałeś o wnukach.

- Nie sądziłem, że trzeba o tym wspominać.

- Cóż, pewnie macie ze Snooksem mnóstwo spraw do omówienia - ucięła temat i wymknęła się z pokoju.

Popołudnie spędziła na załatwianiu jakże ekscytujących drobiazgów, jak choćby odstawienie samochodu na przegląd. Szczęście jej dopisało, bo wypatrzyła salon fryzjerski sprawiający nie najgorsze wrażenie, umówiła się więc na później, na farbowanie odrostów. Następnie wróciła do szpitala, by upewnić się, że u taty wszystko w porządku, i pojechała do domu. Zjadła kolację z pracownikami rancza, informując ich o postępach w dochodzeniu do zdrowia, jakie poczynił w ostatnim czasie ich chlebowdawca.

Położyła się do łóżka i włączyła telewizor. Oglądała kolejne niewymagające myślenia reality show; życie każdego z uczestników programu było do dupy w dużo większym stopniu niż jej własne, dzięki czemu mogła zapomnieć o składających się na nie problemach.

Obracające się miarowo skrzydła zawieszzonego pod sufitem wentylatora chłodziły nagą pierś Vince'a, która unosiła się i opadała w równych, niespiesznych oddechach. Mężczyzna spał spokojnie w przystrojonym falbankami łóżku w pokoju gościnnym u ciotki Luraleen, która cały dom urządziła w ranczerskim stylu z lat siedemdziesiątych. Ale pod zamkniętymi powiekami Vince'a ponownie rozgrywały się sceny, w których uczestniczył w Iraku. Znajdował się w ogromnym wnętrzu transportowego herculesa przewożącego ostatni ładunek niezbędnego sprzętu oddziału. Znów miał na sobie lekki mundur w pustynnym odcieniu khaki i buty szturmowe. Złożył swoje zmęczone ciało w hamaku z gęstej siatki. Jeszcze na kilka godzin przed otrzymaniem rozkazu dołączenia do Drużyny Piątej w bazie lotniczej USA w Bahrajnie aktywnie działał w Bagdadzie, wyważając drzwi i zgarniając najważniejszych spośród terrorystycznych przywódców. Im więcej takich złapali, tym więcej pojawiało się w ich miejsce. Al-Kaida, talibowie, szyici, sunnici czy członkowie kilku innych grup rebelianckich, przepełnieni niena-

wiścią i fanatyzmem, którzy za cel postawili sobie zabijanie amerykańskich żołnierzy, nie zważając na to, ilu cywilów zginie przy okazji.

- Haven, ty brzydki sukinsynu. Co tam robisz, walisz konia?

Vince rozpoznał ten głos i rozchylił powieki. Odwrócił głowę, by zobaczyć ogolonego na łyso towarzysza broni wciskającego się na hamak naprzeciw.

- Muszę cię rozczarować, ty brudna dziwko, ale zdażyłem już się zająć swoimi sprawami.

Wilson potrząsnął głową.

- Taak, na przykład sprawą składu amunicji dziś rano, słyszałem.

Twarz Vince'a wykrzywiła się w grymasie. On i trzech kumple z SEAL zostali wysłani, by zabezpieczyć rebeliancki skład broni i wysadzić to kurewstwo w cholerę. Nie mieli czasu czekać na saperów, a zapasy terrorystów nie były zbyt wielkie. Albo przynajmniej tak im się zdawało. Podłożyli własne ładunki i rozpoczęli serię wybuchów. Pył, kawały betonu i innego śmiecia sypały się z nieba przez dobrych kilka minut.

- Mogliśmy trochę przesadzić z materiałem wybuchowym...

Tak naprawdę nie wiedzieli po prostu o ukrytym pomieszczeniu pod budynkiem z błota i betonu, wypełnionym granatami i bombami. Odkryli jego istnienie dopiero po uruchomieniu zapalników, kiedy eksplozja rozrastała się i rozrastała, a oni musieli uciekać i szukać jakiejś osłony. Nikt nie miał jednak ochoty dyskutować o tym przeoczeniu. Cieszyli się po prostu, że wszyscy wrócili z tej misji cało.

Wilson się roześmiał.

- „Wystarczy tego gówna, żeby wysłać nas wszystkich do rajów” - skomentował. Służył w stopniu porucznika, był cholernie inteligentny i znał miliony filmowych cytatów.

Vince nie widział kumpla od dość dawna i teraz ogarnęła go radość na myśl, że znów spędzą trochę czasu razem.

- *Hu-jaal* - Vince odpowiedział okrzykiem bojowym drużyny. On i Wilson przeszli razem przez szkolenie PKN-P/S, omal nie utonęli w groźnej kipieli i przetrwali wycisk, jaki im zaserwował trener Dougherty. Pete stał obok niego, kiedy do kłap galowych mundurów przypinano im Trójzęby, a on stał obok Pete'a, gdy ten zenił się ze swoją ukochaną ze szkolnych lat. Małżeństwo nie przetrwało nawet pięciu lat i w trudnych chwilach po rozwodzie Vince także robił co mógł, towarzysząc Wilsonowi przy topieniu smutków. Rozstanie z żoną należało do standardowych doświadczeń zawodowych żołnierzy i komandosi SEAL nie stanowili w tej kwestii wyjątku.

Rampa ładunkowa zaczęła się podnosić, a pilot uruchomił napęd turbośmigłowy, przez co cała kabina wypełniła się zgrzytem stali i hukem silnika, uniemożliwiając dalszą rozmowę.

Vince zapadł w sen gdzieś nad Zatoką Omańską. Miała to być jego ostatnia spokojna drzemka w ciągu nadchodzących lat. Bo kiedy hercules wylądował w Bagramie, życie Vince'a ulegnie wielu nieodwracalnym, nieprzewidzianym zmianom.

Jego codzienność wyglądała teraz zupełnie inaczej, lecz we śnie wszystko pozostawało takie samo. Koszmar zaczynał się w górach Hindukusz, gdzie wybrał się z kolegami na rutynową misję. Potem tę scenerię nagle zastępowała inna: Vince, obładowany taką ilością broni, że mógłby stawić czoło każdej talibskiej napaści, rozpaczliwie szukał kryjówki. Na koniec zawsze widział siebie klęczącego przy ciele Wilsona, czuł tamte zawroty głowy i słyszał dzwonienie w uszach, mdłości skręcały mu żołądek, a czarne plamy ograniczające pole widzenia powiększały się, kiedy uciskał pierś przyjaciela i próbował wtłoczyć powietrze do jego

płuc. Potem - niemożliwy do pomylenia z czymkolwiek innym miarowy odgłos amerykańskich śmigłowców, ogłuszające wycie, ryczące wirniki wzbijające pył, przekształcające go w miniaturowe burze piaskowe. Ziemia zadrżała, gdy wojsko wysadziło zbocza i doliny w powietrze. Krew splamiła dłonie Vince'a, kiedy tak uciskał i wprowadzał kolejne wdechy, i widział, jak oczy Pete'a z wolna przygasają.

Ocknął się, czując przyspieszone pulsowanie krwi w skroniach, zupełnie jak tamtego dnia, w piekle Hindukuszu. Stał w jakimś pomieszczeniu, zdezorientowany, z szeroko otwartymi oczami, a jego płuca pracowały jak kowalskie miechy. Gdzie był?

W pokoju. Przez okno wpadał miękki blask ulicznej latarni, a wokół zaciśniętej pięści owiniętą miał koronkową zasłonkę.

- Wszystko w porządku, Vince? Słyszałam jakieś hałasy.

Otworzył usta, lecz dobyło się z nich tylko suche charczenie. Przełknął ślinę. -Tak.

Świadomie rozluźnił palce i kawałek materiału wypadł mu z trzęsących się dłoni na podłogę, zerwany karnisz brzęknął cicho o posadzkę.

- Co to było?

- Nic takiego. Wszystko w porządku.

- Ktoś się tam do ciebie wdrapuje przez okno? Jeśli tak, możesz ją wprowadzić normalnie, drzwiami.

To by wyjaśniało, dlaczego ciotka jeszcze nie wpadła do pokoju, by sprawdzić, co się dzieje.

- Jestem sam, ciociu. Dobranoc.

- No to dobranoc.

Przysiadł na zbyt wąskim, zbyt falbaniastym łóżku i potarł twarz dłońmi. Ten koszmar nie dręczył go już od dłuższego czasu. Od kilku lat. Wojskowa psychiatra powie-

działa mu kiedyś, że podaje się kilka czynników, które powodują nawrót stresu pourazowego. Duże zmiany i poczucie niepewności zajmowały wśród nich czołowe miejsca.

Vince należał do SEAL. Nie cierpiał na zespół stresu pourazowego. Nie był znerwicowany, niespokojny ani przygnębiony. Nękał go powracający koszmar.

Jeden głupi sen, to wszystko.

Pani psychiatra twierdziła też, że Vince tłumi uczucia. I że jego problemy znikną, jeśli tylko zdecyduje się otworzyć i zmierzyć z własnym wnętrzem. „Ulecz się sam” - to było jedno z jej ulubionych powiedzonek.

Co za pieprzona głupota. Nie potrzebował z niczego się leczyć. Miał się świetnie.

Rozdział dziewiąty

Co roku w drugą sobotę kwietnia obchody Dnia Założyciela Lovett rozpoczynano od parady o dziewiątej rano. Jak zwykle urzędująca Diamentowa Królowa Grzechotników dosiadała ogromnego węża z tkaniny i papieru toaletowego. Wielka głowa, w której oczy błyskały niczym kamienie szlachetne, zwracała się w stronę tłumów, zaś rozwidlony ogon raz po raz przecinał powietrze. Szczęśliwa władczyni zajmowała miejsce na jego poskręcany cielsku, machając do ludzi tak entuzjastycznie, jak tylko mogła, jakby w roli co najmniej Królowej Róż przemierzała Colorado Boulevard w Pasadenie.

Tym razem na czele pochodu, ciągnąc królewską platformę, przesuwał się klasyczny Chevrolet F-10 z 1960 roku, którego wewnątrz odnowili specjaliści z firmy Amerykańskie Perełki Parrisha. Drugi samochód podążał za platformą. Dwudziestotrzyletni Nathan Parrish prowadził całkowicie odrestaurowanego Camaro z 1973 roku; pracujący silnik V8 o mocy trzystu osiemdziesięciu trzech koni mechanicznych wypełniał poranne powietrze wibrującym dźwiękiem, od którego język diamentowego grzechotnika odpadł w pobliżu Dwunastej Ulicy. Tuż za nim kroczyła, wdychając spaliny, szkolna orkiestra z miejskiego liceum, grając *Żółtą Różę Teksasu*, a zespół taneczny chygotał się do taktu w kostiumach ozdobionych frędzlami i cekinami.

Po zakończeniu parady główna ulica została zamknięta dla samochodów. Po obu jej stronach wyrosły stragany oferujące towar wszelkiego rodzaju, od biżuterii i spinek do włosów po tradycyjny dżem z papryki i wełniane pokrowce na czajniki. Budki z piwem i jedzeniem rozstawiono przeczną dalej, na Wilson Street, gdzie tłoczyło się mnóstwo ludzi, z których część przyjechała aż z Odessy.

Członkowie miejscowego Stowarzyszenia Historycznego włożyli kostiumy z epoki. W południe temperatura wzrosła do osiemnastu stopni, o piątej sięgnęła przyjemnych dwudziestu dwóch, a sympatycy zamierzchłych czasów wyglądali na nieco zwilgotniałych. Na parkingu przed delikatesami przez cały dzień odbywały się występy artystów i tancerzy folkowych. Na wieczór zaplanowano koncert lokalnych ulubieńców, grupy Tom i Pancerniki, podczas gdy po drugiej stronie dużego wylanego betonem placu miał się rozgrywać turniej bilardowy.

O dziewiętnastej Sadie zostawiła samochód przed sklepem Deeann i ruszyła na obchód kramów. Bo jaki miała wybór? Wrócić do domu i gapić się w ścianę? Znowu oglądać telewizję? Przeszukiwać YouTube, aż jej oczy zaczną krwawić? Na Boga, ile filmików o gadających kotach i wygłupach nastolatków byłaby jeszcze w stanie zdzierżyć?

Musiała znaleźć sobie coś do roboty poza domem i ośrodkiem rehabilitacyjnym. Ojciec nigdy nie pozwalał jej przejąć żadnych obowiązków na ranczu. Jasne, nie potrafiłaby tak od ręki przeanalizować raportów z wypasu ani zrozumieć danych z urzędzeń śledzących przemieszczanie się zwierząt, ale przecież na uniwersytecie miała różne zajęcia i czytanie wykresów chyba nie sprawiłoby jej kłopotu, gdyby tylko ktoś poświęcił trochę czasu, aby wszystko jej wyjaśnić.

Z pewnością istniało coś, czym mogłaby się zająć, poza ścieleniem własnego łóżka i myciem po sobie naczyń. Coś prostego, co nie niosło ze sobą zbyt wielkiej odpowiedzial-

ności, takiej jak ta za ponad cztery tysiące hektarów ziemi i tyle samo sztuk bydła, a do tego jeszcze stado rodowodowych koni. Nie wspominając o jakichś dwóch tuzinach pracowników. Ponieważ była dziewczyną, ojciec nigdy nie uczył jej prowadzenia interesu. Nie wiedziała więc wiele ponad to, co sama zaobserwowała podczas osiemnastu lat spędzonych na ranczu. Nie miała pojęcia, co zrobi, kiedy jej tata umrze. Ostatnimi czasy często snuła rozważania na ten temat, ale już na samą myśl o obowiązku, który by na niej spoczął, stawała się nerwowa i miała ochotę wsiaść w auto i odjechać jak najdalej stąd.

Po powrocie ze szpitala przebrała się w dżinsy, niebieską koszulkę i zapinaną na zamek bluzę marki Lucky z Buddą na plecach. Odkopła też białe kowbojki i kapelusz, które nosiła w liceum. Buty były nieco przyciasne, jakby jej stopa urosła jeszcze o pół numeru, ale kapelusz pasował jak ulał, jak gdyby nigdy nie przestała go nosić. Znalazła też robiony na zamówienie pasek z wytrawioną nazwą ich posiadłości i napisem „SADIE JO” wyrytym z tyłu. Odrobinę zeszywniał, ale dzięki Bogu wciąż dało się go dopiąć.

Może i mieszkała teraz w Arizonie, ale pochodziła z Teksasu i traktowała Dzień Założyciela bardzo poważnie. Na tę okazję należało się odstawić. I kiedy szła w kierunku straganów z jedzeniem, cieszyła się, że tak się w tej kwestii postarała. Biorąc pod uwagę rozmiary kapeluszy i klamer przy paskach, wszechobecne natapirowane fryzury i obcisłe wranglery, dochodziła do wniosku, że nikt się tu nie wyłamował.

W jednej z budek kupiła hot doga z musztardą i butelkę lone stara.

- Jak się czuje twój tata? - spytał Tony Franko, wręczając jej piwo.

Kojarzyła Tony'ego, choć nie była pewna skąd. Rzecz miała się podobnie z ogromną większością otaczających ją ludzi - dorastała, znając ich, a oni znali ją.

- Lepiej. Dzięki za troskę, Tony. - Minął już tydzień, odkąd zabrała ojca ze szpitala w Laredo.

Przemierzając główną ulicę miasteczka, raz po raz natykała się na pełnych dobrych intencji mieszkańców, którzy wypytywali ją o zdrowie taty. Zatrzymała się przy stoisku z biżuterią z paciorków i nabyła dwie wykonane z koralu bransoletki w prezencie dla sióstr Parton.

- Jak tam twój tata? - dociekała sprzedawczyni, przyjmując pieniądze.

- Już lepiej. Przekażę mu, że o niego pytałaś. - Sadie schowała ozdoby do kieszeni i zaczęła się przechadzać między handlarzami oferującymi wyroby garncarskie oraz świece z wosku pszczelego. Dokończyła hot doga, przyglądając się małym, wyrzeźbionym w kamieniu pancernikom i kolbom kukurydzy, gdy nagle ktoś położył jej dłoń na ramieniu.

- Dooley i ja bardzo się zmartwiliśmy, kiedy doszły nas wieści o twoim tacie, Sadie Jo. Jak on się trzyma?

Sadie odwróciła się i mgliście przypomniała sobie, że widywała stojącą obok kobietę w czasach dzieciństwa. Dooley? Jaki Dooley? A, weterynarz, Dooley Hanes.

- Coraz lepiej, pani Hanes. A co u Dooleya?

- Ach, kochana, Dooley zmarł pięć lat temu. Na raka jąder. Kiedy lekarze go odkryli, było już za późno. - Potrząsnęła głową, przez co zachybotała się wielka szara kopuła jej włosów. - Wiele wycierpiał, ten mój poczciwy mąż.

- Bardzo mi przykro - odrzekła na to Sadie. Wzięła łyk piwa, zmuszona wysłuchać na odmianę całej listy nieszczęść, które spadły na panią Hanes od czasu odejścia biednego Dooleya. I nagle siedzenie w domu przy filmikach z psami wydało jej się miłą perspektywą. Filmiki z psami i potężny cios młotkiem w potylicę - tego raptem zapragnęła.

- Sadie Jo Hollowell? Słyszałam, że przyjechałaś. - Sadie przekręciła głowę i spojrzała prosto w twarz o ciemnobrązowych oczach i szerokim uśmiechu.

- Winnie Bellamy? - W pierwszej klasie siedziała w ławce za Winnie; razem skończyły liceum. Nie przyjaźniły się wprawdzie, ale zwykle spędzały czas w tym samym towarzystwie. Winnie zawsze miała długie ciemne włosy, lecz w pewnym momencie najwyraźniej poddała się wewnętrznemu głosowi, który nawoływał ją, rodowitą Teksankę, do zafarbowania ich na blond i natapirowania.

- Teraz już Winnie Stokes. - Dawna koleżanka przyciągnęła Sadie w uścisku. - Wysłałam za Lloyda Stokesa. Chodził kilka lat wyżej niż my, a jego młodszy brat Cain chodził z nami do klasy. - Puściła Sadie i zapytała: - A ty, jesteś po ślubie?

-Nie.

- Cain jest wolny, a nieźla z niego sztuka.

- Skoro tak, to czemu zdecydowałaś się na jego brata?

- Cóż, może uściśnę, że teraz jest niezły. - Winnie machnęła ręką, pokazując, że nie warto tej kwestii dalej roztrząsać. - Obaj biorą udział w turnieju bilardowym, właśnie się do nich wybierałam. Chodź ze mną, przywitasz się.

Propozycja brzmiała zdecydowanie bardziej kusząco niż znoszenie narzekań pani Hanes, oglądanie psych nagrań czy wizja ogłuszenia młotkiem.

- Przepraszam, pani Hanes - pożegnała się więc i odeszła wraz z Winnie. Zdążając w stronę oddalonego o kilka przecznic sklepowego parkingu, prędko nadrobiły zaległości.

Pomarańczowopurpurowe smugi poprzecinały bezkresne teksańskie niebo, kiedy ogromne słońce zniżało się nad zachodnią częścią miasta. Przy jednym końcu parkingu rozmieszczono w dwóch rzędach dziesięć stołów bilardowych, ponad którymi rozwieszono sznury lampek świątecznych. Z daleka w oczy rzucały się głównie kowbojskie kapelusze stłoczone nad każdym ze stołów, od czasu do czasu trafiała się też czapka z daszkiem. Tylko jeden człowiek odważył się zjawić bez odpowiedniego stroju.

W blasku białych świątecznych światełek Vince Haven oparł się ramieniem o jeden z podtrzymujących je słupów. Przyszedł w znoszonych beżowych bojówkach, zwykłej czarnej koszulce, bez nadrukowanej czy wyszytej flagi, i z gołą głową. Jasne było, że nie zdaje sobie sprawy z wyjątkowości tego dnia, a przez swój ubiór odstawał od reszty jak grzesznik od trzódki nawróconych. W ręce trzymał kij bilardowy i przekrzywił głowę, przysłuchując się uważnie słowom trzech zgromadzonych wokół niego kobiet. Dwie z nich włożyły słomkowe kowbojskie kapelusze, a trzecia tak natapi-rowała długie rude włosy, że przypominała Małą Syrenkę. Także ujęła w dłoń kij, a gdy schyliła się do stołu, włosy opadły falą z jej pleców na tyłek w obcisłych dżinsach.

- Sadie Jo Hollowell! - zawołał ktoś nagle.

Vince stracił na chwilę zainteresowanie towarzyszkami i popatrzył w jej stronę. Ich spojrzenia się spotkały. Przyglądał jej się przez kilka dłużących się sekund, aż wreszcie Sadie odwróciła wzrok, akurat w porę, by trafić w silny uścisk, który dosłownie poderwał ją z ziemi.

- Cord? - Cordell Parton, siostrzeniec bliźniaczek, był trzy lata młodszy od niej i od czasu do czasu podejmował się różnych nietypowych prac na ranchu.

- Dobrze cię widzieć, dziewczyno! - Uniósł ją jeszcze wyżej, aż spadł mu kapelusz.

Zmienił się, odkąd widziała go po raz ostatni, wyrósł na ogromnego mężczyznę. Nie utył, stał się raczej postawny, a teraz ścisnął ją z całych sił.

- Psiakostka, Cord, nie mogę oddychać!

Czy właśnie powiedziała „psiakostka”? Jeśli nie zachowa ostrożności, wkrótce z jej ust zaczną wydobywać się sformułowania jak: „Niech mnie dunder świśnie!”. Może to przez kapelusz. Przywracał jej teksański sposób wysławiania się.

- Wybacz. - Pozwolił jej stanąć na nogi, a potem schylił się po swoje nakrycie głowy. - Jak sobie radzi twój tata?

- Powoli dochodzi do siebie.

- Ciotki mówiły, że spędzasz z nim mnóstwo czasu, tam w Laredo.

- W zeszłym tygodniu został przeniesiony do Amarillo. - Spojrzenie Sadie powędrowało nad ramieniem Corda i spoczęło na zgrabnych pośladkach Vince'a, który pochylił się nad kolejnym stołem i uderzył w bilę. Psiakostka, ależ był seksowny. I nie ona jedna tak uważała, sądząc po spojrzeniach jego towarzyszek. Nawet stare bojówki dobrze na nim wyglądały.

- Znajdźmy Lloyda i Caina - zaproponowała Winnie, chwytając Sadie za łokieć.

- Świetnie było cię spotkać, Cord. Wpadnij w najbliższych dniach na ranczo, napijemy się piwa, pogadamy. Nadrobimy zaległości.

- Brzmi nieźle. - Założył z powrotem kapelusz. A kiedy odchodziła, zawołał za nią: - Wciąż jesteś piękna jak niedzielne nabożeństwo! Zawsze się w tobie podkochiwałem, sama wiesz.

Tak. Wiedziała. Uśmiechnęła się, a kątem oka zerknęła w stronę Vince'a. Ustawił się właśnie do kolejnego strzału, a potem roześmiał z czegoś, co powiedziała jedna z kobiet. Sadie zastanawiała się, która z nich jest jego dziewczyną -w końcu mieszkał tu już ponad miesiąc. W Lovett tyle czasu z powodzeniem wystarczało, by poznać swą drugą połówkę, wziąć ślub i założyć rodzinę.

- No proszę. Przecież to Sadie Jo Hollowell - stwierdził Cain Stokes, gdy zbliżały się z Winnie do stołu. On również się pochylił i przymierzył do białej bili, Sadie dostała więc szansę, by dobrze mu się przypatrzeć. Trudno orzec, czy zasługiwał na określenie „niezła sztuka”, na pewno jednak korzystnie się zmienił od liceum. Urósł. Wyszczupłał. I w jakiś niepojęty sposób wypracował sobie zabójczy uśmiech, który rozpałał jego oczy niesfornymi iskierkami. Wiedział też,

jak należycie się ubrać na Dzień Założyciela, tak by obcisłe wranglery podkreśliły jego męskie atrybuty. Co prawda nie miała zamiaru się przyglądać.

- Cześć, Cain. - Odwróciła się do drugiego z braci. - Jak leci, Lloyd?

- Nie mogę narzekać. - Lloyd nie dorównywał bratu atrakcyjnością, był jednak lepszym materiałem na męża. Dało się to zauważyć w sposobie, w jaki patrzył na żonę. - Doszły mnie słuchy, że jesteś w mieście. - Uściskał ją krótko. - Jak twój tata?

- Dobrze, coraz lepiej. - Wskazała ręką stół. - Kto wygrywa?

- Cain. - Lloyd uniósł butelkę piwa do ust. - To nałogowiec.

Nie tylko jeśli chodziło o bilard. Cain okrążył stół i przytulił ją, trzymając w ramionach nieco dłużej niż jego brat.

- Ładnie wyglądasz, Sadie Jo.

- Dzięki.

Winnie podążyła za mężem, gdy ten zajmował pozycję, śledząc wzrokiem sytuację i analizując możliwe okazje do strzału. Pouczyła go dokładnie, gdzie i jak mocno powinien uderzyć.

- Radziłem sobie świetnie, nim się zjawiłaś - narzekał Lloyd.

- No, Sadie, gdzieś się ostatnio podziewała? - zagadnął Cain.

- W Phoenix. Objął ją ramieniem.

- Chcesz ze mną zagrać, kiedy już skopię zadek Lloydowi?

- A pozwolisz mi wygrać?

- Nie, ale jeśli przypadkiem mnie pokonasz, rozpowiem wszystkim, że właśnie tak zrobiłem.

Zaśmiała się, potrząsając głową. Była w Teksasie. Flirtowanie stanowiło tu po prostu inną formę zwykłej kon-

wersacji. Jej wzrok znów skierował się ku Vince'owi, który podnosił się znad wyłożonego tkaniną blatu. W innej sytuacji może poflirtowałyby trochę z Cainem. Ale dziś jakoś nie miała ochoty. Nie żeby wiązało się to jakkolwiek z pewnym komandosem o jasnozielonych oczach. Po prostu nie czuła się w nastroju, a nie chciała robić Cainowi złudnych nadziei.

- Może następnym razem - odparła, wysuwając się spod jego ramienia. Stojąc w tłumie otaczającym stoły do gry, znajdowała się jakieś trzy metry od Vince'a. Na tyle blisko, by słyszeć znajomy, głęboki tembr jego głosu, a zaraz potem wybuch śmiechu trzech kobiet, które z tej odległości mogła rozpoznać.

Dwie w identycznych słomkowych kapeluszach to siostry Young. Nie były bliźniaczkami, ale podobieństwo łączyło je niemal bliźniacze. Sadie skojarzyła również tę rudą, która uczestniczyła w rozgrywkach: Deeann Gunderson. Wszystkie trzy były mniej więcej w jej wieku, ale wychowały się w Amarillo. Sadie uczęszczała z nimi do szkoły wdzięku. Dziewczęta zdały dzięki nabytym umiejętnościom, a ją przepuszczono ze względu na nazwisko. Siostry Young nie traciły żadnej okazji, by jej to wypomnieć.

- Lecę do łazienki w markecie. Nie znoszę tych toitoiów - oświadczyła Winnie, gestem wskazując rząd niebieskich kabin ciągnących się wzdłuż parkingu. - Będiesz tu jeszcze, jak wrócę?

- Myślę, że tak.

Przez chwilę patrzyła, jak Winnie przeciska się między stolami i z trudem mija chudego nastolatka w starannie skompletowanym stroju. Włożył czarny kapelusz i koszulę z teksańską flagą - na jego plecach widniała olbrzymia gwiazda.

Cofnęła się o krok, by zrobić Lloydowi miejsce, i wpadła na kogoś.

- Och, przepraszam - rzuciła, odwracając głowę, i spojrzała prosto w piwne oczy Jane Young.

- Sadie Jo Hollowell - stwierdziła Jane, przeciągając samogłoski. - Nie widziałam cię od wieków.

Rzeczywiście, minęło sporo czasu, a Sadie nie zwykła chować urazy za złośliwości popełnione w okresie dojrzewania. Bóg świadkiem, że sama nie zawsze była święta.

- Cześć, Jane, cześć, Pammy. - Obdarzyła każdą z sióstr uściskiem, a potem zwróciła się do ich koleżanki: -Co słysząc, Deeann?

- Właściwie nie mam na co narzekać - odparła ta i roześmiała się szczerze. - Ale to mnie nigdy nie powstrzymuje. A co u twojego taty?

- Dobrze, coraz lepiej. Dzięki za troskę. - Przeniosła teraz uwagę na Vince'a, który pocierał koniuszek kija o małą niebieską kostkę kredy. - Widzę, że zdążyłeś nawiązać parę znajomości. - Od ich ostatniego spotkania na Gas and Go minęły prawie dwa tygodnie. Dwa tygodnie, odkąd oznajmił jej, że wygląda koszmarnie i że ma wobec niego dług. Dwa tygodnie, odkąd odparowała, że jej orgazm nie był wart więcej niż czterdzieści centów.

- Sadie.

- To wy się znacie?

Sadie zerknęła na Jane, a potem z powrotem na Vince'a.

- Tak. Vince miał problem z samochodem, więc podrzuciłam go do miasta. - A ponieważ nie chciała rozprawiać o innych aspektach ich znajomości, zmieniła temat: - Jane, Pammy, Deeann i ja chodziłyśmy razem do Szkoły Wdzięku Panny Naomi - wyjaśniła Vince'owi. - Wszystkim im wychodził lepszy teksański dyg niż mnie.

- Mhm. A z czym to się je? Jane i Pammy zachichotały.

- Zabawny jesteś.

- Teksański dyg to specjalny ukłon, który wykonują dziewczęta podczas swego uroczystego debiutu - wytłumaczyła Deeann, przekazując swój kij Pammy. Odeszła kawałek na bok, rozłożyła ręce i skłoniła się powoli, z łabędzią gracją, aż jej czoło niemal dotknęło ziemi.

Spojrzenie Sadie powędrowało od falujących włosów Deeann do Vince'a, który oglądał pokaz, uniósłszy jedną brew. Odłożył kawałeczek kredy na brzeg stołu, a potem obszedł go wokół, aby przymierzyć się do uderzenia. Długi kij prześliznął się gładko między kostkami jego dłoni, świąteczne oświetlenie wzbudzało refleksy w jego ciemnych włosach i opromieniało blaskiem czarną koszulkę. Sadie nie potrafiła stwierdzić, czy występ Deeann zrobił na nim wrażenie czy nie.

Deeann wróciła do nich i odebrała swój kij.

- Wciąż umiem dygać.

- Niesamowite, ja nawet jako siedemnastolatka nie byłam tak giętka. Imponujące.

- A pamiętasz, jak na Bawełnianym Balu potknęłaś się o tren własnej sukni, aż ten różany wianek zleciał ci z głowy? - zapytała Pammy, jakby Sadie kiedykolwiek miała szansę zapomnieć. Właśnie po tamtym wydarzeniu zaprzestała prób spinania, układania i przystrajania włosów w jakikolwiek sposób. Zaczęła nosić je proste i rozpuszczone, co wywołało większy skandal niż katastrofa z kwiatowym przybraniem.

- To była klęska! - Pammy i Jane wybuchły śmiechem, zupełnie jak wtedy, i Sadie doszła do wniosku, że nie zmieniły się zbyt wiele w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nie wiedziały jednak, że dzisiejsza Sadie nie przejmuje się ich zachowaniem. Nie mogły już sprawić, że poczuje się gorsza.

- Ale zawsze byłaś tak śliczna, że nic innego nie miało znaczenia - dodała Deeann, wyraźnie starając się ją pocieszyć.

- Dzięki, Deeann - odparła Sadie i postanowiła od razu się odwdziżyć. - Zostawiłam auto przed twoim sklepem. Widziałam, że masz tam naprawdę ładne rzeczy, muszę koniecznie do ciebie zajrzeć, zanim wyjadę.

- Będę czekać. Sama wyrabiam biżuterię, którą sprzedaję. A gdybyś zdecydowała się zostać w Lovett na dłużej i nie chciała mieszkać na waszym ranczu, daj mi znać, bo zajmuję się też sprzedażą nieruchomości.

To wzbudziło zainteresowanie Sadie.

- Ja też siedzę w branży. Jaki tu macie teraz rynek?

- Nie zbijam kokosów, ale sytuacja powoli się poprawia. Przez ten kryzys spora część dłużników musi odsprzedać domy praktycznie za bezcen. Mam mnóstwo takich przypadków.

Agenci zwykle nie lubili się chwalić transakcjami tego typu.

- Ja też - przyznała. Podobała jej się otwartość Deeann.

- Rany, zamierzacie zanudzić nas na śmierć tą handlową gadką? - spytała Pammy.

Sadie zerknęła na zegarek i udała, że ma z kimś umówione spotkanie. To, że nie dbała o opinię sióstr Young, nie znaczyło jeszcze, że paliła się, by spędzać z nimi czas.

- No, fajno było was wszystkich spotkać. - Boże, czy naprawdę powiedziała „fajno”? Po wyjeździe z Teksasu całymi latami oduczała się używania tej formy. Popatrzyła w stronę Vince'a, który ustawiał się do kolejnego uderzenia. - Dobranoc, Vince.

Wbił szóstkę do luzu i się wyprostował.

- Do zobaczenia, Sadie - rzucił, bardziej zainteresowany rozgrywką niż nią.

Pożegnała się z Lloydem i Cainem, a potem skierowała ku namiotowi, gdzie sprzedawano piwo. Ponad jej głową nocne niebo znaczyły niebiesko-pomarańczowe smugi. Wpadła na kilku obecnych i dawnych pracowników rancza

i nim ostatecznie dotarła do upatrzonego straganu, ostatnie ślady dnia zniknęły, a scenę na końcu parkingu objął w posiadanie Tom i Pancerniki. Sadie czuła zmęczenie, jednak nie chciała jeszcze wracać do domu. Zwykle nie przeszkadzała jej samotność: wychowała się na ranczu pełnym ludzi, lecz tak naprawdę zawsze była sama. Ale ostatnio większość czasu spędzała w sali szpitalnej, całkiem pozbawiona towarzystwa albo zmuszona do wysłuchiwania narzekań ojca.

Sadie Jo Hollowell. Większość mieszkańców miasteczka znała ją z imienia i nazwiska. Wiedzieli, że jest córką Clive'a, lecz tak naprawdę nie mieli o niej pojęcia. Od urodzenia stykała się z ludźmi, którzy ją uwielbiali lub nienawidzili, zależnie od tego, jakie uczucia żywili w stosunku do jej taty.

Pociągnęła łyk lone stara i odwróciła się, niemal zderzając się głową z potężną męską piersią. Błyskawicznie odgadła, do kogo należą te wyraźnie zarysowane mięśnie i duże bicepsy. Przytrzymał ją za ramię, żeby nie upadła.

- Ile już wypić? - zapytał.

- Za mało. - Jej wzrok przemknął po jego kwadratowej szczęce i wargach, by zagłębić się w skierowanych wprost na nią oczach. - To moje drugie. - Rozejrzała się wokoło. -Gdzie twoje przyjaciółki?

- Jakie przyjaciółki?

- Deeann i siostry Young.

- Nie mam pojęcia. - Zsunął dłoń po jej ramieniu i odebrał jej butelkę. Wziął długi łyk piwa i wręczył ją jej z powrotem. - A twoi?

- Przyjaciele? - Napić się ze znacznie większym umiarem i podała mu butelkę. - Nie widziałam Winnie, odkąd wybrała się do łazienki, już jakiś czas temu.

- Nie o nią mi chodzi. Mówię o tym kowboju, któremu przyciasne dzinsy ściskają klejnoty.

Co?

- Och, o Cainie. Nie wiem, gdzie się podziewa. Jego klejnoty budzą twój niepokój?

- Raczej zakłopotanie. Wyszczrzyła zęby.

- Nie grasz już w bilard? - zagadnęła.

Pokonali kilka metrów, wynurzając się spod płachty namiotu.

- Odpadłem z turnieju. Pokonał mnie jakiś chudy piętnastolatek ubrany w teksańską flagę.

Zadarła głowę, by mu się przyjrzeć. Skąpe oświetlenie wylaniało z mroku połowę jego twarzy, na drugą rzucając cień.

- Jesteś diabłem wcielonym. Nie powinienesz przypadkiem skopać tyłka każdemu przeciwnikowi?

Zaśmiał się cicho, niskim, męskim śmiechem; jej uwaga ani odrobinę nie naruszyła jego pewności siebie.

- Widocznie to nie mój dzień, skoro pobił mnie pryszczaty dzieciak.

- Masz na myśli tego kujonka w wielkim kapeluszu?

- Opis brzmi znajomo.

- To z nim przegrałeś? Serio?

- Niech cię nie zwiedzie trądzik młodzieńczy. Walczył jak mężczyzna.

- To po prostu żenujące. - Upiła piwa i poczęstowała znów Vince'a. - Chłopak był tylko trochę wyższy od swojego kija.

- Zwykle jestem dużo zręczniejszy. - Popatrzył jej w oczy i przytknął butelkę do ust. - Jak wiesz.

Owszem, wiedziała.

- Hej, Sadie Jo, jak się ma twój tata? - zawołał ktoś.

- Dobrze! Dzięki! - odkrzyknęła. Wsunęła dłonie w kieszenie kurtki i zrobiła jeszcze parę kroków, oddalając się od stoiska z piwem i dźwięków piosenki *Free Bird* w wykona-

niu Toma i Pancerników. Kiedy po raz pierwszy zetknęła się z Vince'em, odniosła wrażenie, że nie planuje zostać w mieście na długo. - Nadal pracujesz u swojej ciotki?

- Nie. Pracuję u siebie. - Przekazał jej napój, a ona wzięła łyk. - Kupiłem od Luraleen Gas and Go.

Zakrztusiła się piwem, a Vince poklepał ją kilkakrotnie po plecach, podczas gdy ona kaszłała, parskała i usiłowała złapać oddech.

- Naprawdę?

- Naprawdę. Właśnie wczoraj podpisałem wszystkie papiery. - Chwytał niemal pustą butelkę, opróżnił i wrzucił do kosza za plecami Sadie.

Otarła przedramieniem nos i usta.

- W takim razie gratuluję. - O ile to była odpowiednia reakcja.

- A jak ty się czujesz? Zamrugła.

- Już w porządku. To tylko odrobina piwa wpadła nie do tej dziurki, nic wielkiego.

Ujął ją za podbródek i uniósł jej twarz do światła.

- Słyszałem o twoim tacie. Trzymasz się jakoś? Spojrzała prosto w oczy mężczyźnie, którego wciąż

ledwo знаła, i nagle dotarło do niej, że okazał się pierwszą osobą, która pytała o jej samopoczucie. O to, jak ona sobie radzi.

- U mnie wszystko dobrze.

Spuściła wzrok na jego podbródek i coś jakby ścisnęło ją w żołądku. Może to przez tę przygodę z piwem. Vince zadarł jej głowę nieco wyżej.

- Wyglądasz na zmęczoną.

- Ostatnio stwierdziłeś, że wyglądam koszmarnie. Jeden kącik jego ust wygiął się w uśmiechu.

- Mogłem być trochę na ciebie wkurzony. Znów popatrzyła mu w oczy.

- Już nie jesteś?

- Nie za bardzo. - Pogładził kciukiem jej policzek. -Zdejmij kapelusz, Sadie.

Wizytę u fryzjera miała umówioną dopiero za kilka dni, a nakrycie głowy dobrze maskowało ciemniejsze odrosty.

- Nie mogę, moja głowa nie jest w najlepszym stanie...

- Spotykałem już gorsze przypadki. Ciotkę Luraleen na przykład.

Sadie się zaśmiała.

- Mówię o moich włosach.

- Wiem. Ściągaj go.

- Po co?

- Chcę zobaczyć twoje oczy. - Chwycił kapelusz i wsadził jej go w dłoń. - Cały wieczór mnie to drażniło. Nie lubię gadać do twojego podbródka.

Przez większość czasu wydawało się, że Vince nawet jej nie lubi, Sadie nie była więc pewna, dlaczego w ogóle z nią rozmawia.

- Założę się, że Deeann i siostry Young nie irytują cię tak jak ja.

- One szukają chłopaka.

- Nie jesteś zainteresowany?

Zerknął w stronę sceny, na zgromadzony wokół tłum.

- Nie jestem typem faceta, który bawi się w związki. Zdumiewające.

Większość mężczyzn zdobywała się na

to wyznanie dopiero po tym, jak udało im się parę razy zaciągnąć dziewczynę do łóżka.

- To jakim typem jesteś?

A jeśli nawet wspominali o tym od razu, dodawali jakiś nic niewarty wykręt, tłumacząc, że ostatnio w ich życiu wszystko się skomplikowało albo że jakaś okropna suka zraniła ich tak potwornie, że nie potrafią już więcej się zaangażować.

Vince wzruszył ramionami.

- Takim, który szybko się nudzi. Któremu nie chce się udawać, że interesuje go cokolwiek poza seksem.

- Przynajmniej uczciwie stawiasz sprawę. - Wydała z siebie krótki śmiech. - Masz problemy z zaangażowaniem?

-Nie.

- Ile razy w życiu z kimś się związałeś?

- Wystarczająco wiele, żeby wiedzieć, że się do tego nie nadaję.

Sadie przemknęło przez myśl, że powinna dopytać dlaczego, ale nie chciała się wtrącać. Tak jak i on nie powinien dociekać niczego na temat jej relacji z mężczyznami.

- Więc zależy ci wyłącznie na seksie. Żadnego kina? Kolacji? Rozmów?

- Lubię rozmawiać... podczas seksu.

Objęła spojrzeniem jego twarz, mocno zarysowane kontury szczęki i kości policzkowe. Ciemną skórę i jeszcze ciemniejsze włosy, i te jasnozielone oczy. Gdyby nie był tak niesamowicie męski, można by go było nazwać pięknym. Wydawał się doskonałym lekarstwem na nadmiar czasu, którym dysponowała. Dużo lepszym niż żaloszne programy telewizyjne czy filmiki w Internecie. Szacowała, że minie jeszcze miesiąc lub dwa, nim tata wydobrzeje na tyle, by mogła wyjechać z miasta. W tym czasie nie zdąży przecież przywiązać się do Vince'a. Sprawdziła godzinę. Kilka minut po dziesiątej. Perspektywa samotnego powrotu do domu wywołała w niej takie same odczucia, jak ołowiana kula zatapiająca się w piersi.

- Masz jakieś plany na najbliższych parę godzin? Popatrzył na nią.

- Dlaczego pytasz? To jakaś propozycja?

Była dorosła. Od bardzo dawna nie trafił jej się utalentowany kochanek. A z własnego doświadczenia wiedziała, że Vince zna się na rzeczy. Co do tego nie miała wątpliwości.

- Taka, której prawdopodobnie szczerze pożałujemy.
Zainteresowany?

- To zależy.

Ołowiana kula opadła do żołądka.

- Od czego? - Czyżby miał zamiar ją spławić?

- Od dwóch rzeczy. - Wyprostował jeden palec. - Czy potrafisz wytrwać w układzie bez zobowiązań. - Drugi palec dołączył do pierwszego. - I czy nie zostawisz mnie samego i napalonego, jak na weselu twojej kuzynki.

Ulga sprawiła, że Sadie się uśmiechnęła. Skoro już ustalali zasady, dodała kilka od siebie, żeby wszystko odbyło się sprawiedliwie. Doskonale pamiętała, jak Vince'owi zależało, by nikt nie pozostawał wobec nikogo dłużny.

- Ja nie mam problemów z niezobowiązującym związkiem. Martw się raczej o siebie. - Pomyślała o swym poprzednim facecie. To, że któryś wydawał się pewniakiem w kwestiach łóżkowych, nie znaczyło jeszcze, że na pewno spełni oczekiwania. -1 kiedy już zrzucę ciuchy, postaraj się, żeby to nie była strata czasu.

- Skarbie, sądzę, że można śmiało powiedzieć, że kilka minut ze mną to żadna strata czasu, nawet gdy jesteś całkowicie ubrana. Upewnijmy się lepiej, że ja też na tym skorzystam.

Rozdział dziesiąty

Skrzydło wielkich dębowych drzwi stanęło przed Vince'em otworem akurat w chwili, gdy uniósł dłoń, by zapukać. Światło z wnętrza domu opromieniało złote włosy Sadie i wreszcie mógł dojrzeć jej twarz. Przez cały wieczór albo rondo tego głupiego kapelusza, albo nocne cienie skrywały jej oczy. A on bardzo je lubił, tak jak i inne części jej ciała.

- Już zaczęłam podejrzewać, że się zgubiłeś. - Była nieco zdyszana, jakby jeszcze przed chwilą biegła. Pozbyła się kurtki i kowbojskich butów, a miała na sobie niebieską koszulkę pasującą do koloru oczu, które tak mu się podobały.

- Ja się nie gubię. - Wstąpił na Gas and Go po paczkę kondomów, a potem wszystko za sobą pozamykał. Wszedł do obszernego holu i rozejrzał się wokół. Na myśl przychodziły trzy rzeczy: skóra, poroża i duże pieniądze posiadane przez rodzinę od pokoleń.

- Ktoś jest w domu? - Wiedział, że ojciec Sadie leży w szpitalu, to jednak nie znaczyło, że posiadłość świeci pustkami.

-Tylko ja.

- Wielki dom jak dla samotnej dziewczyny.

- Właśnie. - Sadie pchnęła Vince'a, tak że oparł się plecami o drzwi. Pozwolił jej na to. - Chyba jestem ci coś winna... - Przesunęła dłońmi w górę po jego piersi, a jego moszna ścisnęła się wokół jąder jak satynowy woreczek. -

Uciekłam z tamtej garderoby i nawet ci nie podziękowałam. -Przylgnęła do niego i pocałowała w szyję. - Nie wiem, co się stało z moimi manierami... Nie tak mnie wychowano. - Pociągnęła w górę skraj jego koszulki. - Ładnie pachniesz. Dziękuję.

Nie był pewien, czy Sadie dziękuje mu za to, że nie śmierdzi, czy za tamten orgazm. Ale teraz, kiedy szarpała się z jego T-shirtem, nie miało to znaczenia.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- W szkole dobrych manier ciągle powtarzali, że gościnność jest podstawową cnotą. Należy dać gościowi do zrozumienia, że jest mile widziany. - Gdy unosiła koszulkę, delikatnie musnęła palcami jego brzuch, a potem pierś. -Czujesz się mile widziany, Vince?

Wciągnął gwałtownie powietrze. Wiele kobiet go już w życiu rozbierało. Znalezienie dziewczyny chętnej, by zrzucić przed nim ciuchy i go dotykać, nie sprawiało mu nigdy problemu. Ale Sadie jakby się z nim drażniła. Podobało mu się to.

- O tak. A jeszcze bardziej bym się ucieszył, gdybyś wykonała ten teksański ukłon. Nago. Nad moim kroczem.

Zaśmiała się z ustami przy prawej stronie jego szyi, a jej delikatny, ciepły oddech owiał jego pierś.

- O tym właśnie myślałeś, kiedy Deeann demonstrowała swój dyg? - Ściągnęła mu koszulkę przez głowę i rzuciła na podłogę za sobą.

- Tak, ale nie w jej wykonaniu. W twoim.

Cofnęła się o krok, biorąc głęboki wdech. Jej wzrok błędził po jego piersi i zsunął się powoli, na co Vince poczuł wzbierającą w gardle żądzę.

- Mój Boże. Wyglądasz, jakby ktoś cię wyretuszował. - Położyła swą ciepłą dłoń na jego gorącym brzuchu i teraz z kolei on gwałtownie wciągnął powietrze. - Jakby ktoś połączył w Photoshopie wszystko, co najlepsze, żeby umieścić twoje zdjęcie na kartce urodzinowej.

Ujął jej głowę w dłonie i przyciągnął jej twarz blisko swojej.

- Nie widziałas jeszcze tego, co najlepsze.

- Chcę wszystkiego, co w tobie najlepsze, Vince. Rozchylił wargi i pocałował ją.

- A ja chcę ciebie i tego, co ty masz - odparł i znów ją pocałował, gorąco, z języczkiem, co od razu podniosło mu ciśnienie i rozgrzało skórę. To były wilgotne, niecierpliwe pocałunki, przyprawiające o erekcję i wypełniające rozpaczliwą potrzebą. Długie, głębokie pocałunki, od których nabierał ochoty na dużo więcej. Dobrze smakowała. Jak długi, głęboki, wilgotny, gorący seks. Przesunęła palcami po jego umięśnionej piersi, a potem całymi dłońmi po odsłoniętym brzuchu. Chwyła krawędź jego spodni, kciukami sięgając jego podbrzusza. Tu lekki dotyk, tam muśnięcie... Delikatne ruchy, które doprowadzały go do szaleństwa i sprawiły, że stał się twardy jak skała.

Odchyliła się w tył, by na niego popatrzeć. Jej niebieskie oczy lśniły jak w odurzeniu.

- Jesteś piękny, Vince. Mogłabym cię zjeść. - Pocałowała zagłębienie pod jego podbródkiem. - Jeden soczysty kawałeczek po drugim.

A on chętnie odwzajemniłby się tym samym. Kawałek po kawałku, po kęsie z każdego ze wszystkich jej soczystych miejsc. Powiedziałby jej to, gdyby nie wsunęła właśnie dłoni w jego spodnie - w tej sytuacji trudno mu było oddychać. Wyciągnął ręce, by zdjąć jej koszulkę, lecz Sadie go powstrzymała, łapiąc za nadgarstki i przygważdżając do drzwi, o które się opierał.

- Stój grzecznie. Nie tylko tam, na dole.

Z jego gardła wydobył się zduszony śmiech.

- Co zamierzasz zrobić? - Nie był wielkim fanem krępowania.

- Zobaczysz.

Więc patrzył. Patrzył, jak rozpiną i zsuwa mu spodnie. Miał na sobie szare bokserki, a ona przycisnęła do nich dłoń, wyczuwając pod miękką bawełną zarys jego twardego członka. Jej gorące wargi pozostawiały ślady na całym jego ciele. Na ramionach i piersi. A potem uklękła i polizała go po brzuchu. Wydał z siebie głęboki pomruk i powstrzymał się, by nie wplątać palców w jej włosy. By nie pchnąć jej głowy niżej.

Figlarne palce musnęły jego skórę, gdy zsunęła z niego bieliznę, a on wydostał się na wolność. Czubek wzwiedzonego penisa dotknął jej policzka.

- Nieźle, Vince.

- Nie rozczarowałem cię? - zapytał, choć znał odpowiedź. Nie był może gwiazdą porno, ale niczego mu nie brakowało.

- Jeszcze nie. - Ujęła go w rękę i uniosła głowę, by spojrzeć mu w twarz. - Kiedy z tobą skończę, to ty będziesz mi dłużny.

- Czterdzieści centów? - Poglądziła jego męskość swą delikatną dłonią i Vince poczuł, że gdyby się nie powstrzymywał, mógłby dojść już teraz. Ale na szczęście miał nad sobą kontrolę.

- Przynajmniej dolara czterdzieści. - Pocałowała główkę penisa, a potem polizała ją jak loda na patyku. I gdy już myślał, że nie zniesie dłużej tortury jej śliskiego języka, otworzyła gorące, wilgotne usta i wzięła go do środka. Głęboko. Przesunęła dłonią wzdłuż trzonu członka. Vince złączył kolana, a jego głowa opadła w tył, opierając się o drzwi. Boże, niech ona nie przestaje, powtarzał, wbijając paznokcie w drewno, żeby nie chwycić jej za włosy. Niech nie przestaje nawet po to, by coś powiedzieć. Nie miał nic przeciwko szeptaniu sobie świństw, zazwyczaj wręcz to lubił, ale nic tak nie przeszkadzało w obciążaniu jak przerwa na rozmowę.

Lata treningów pomogły mu teraz wyrównać oddech. Miarowo wciągał powietrze, podczas gdy ona wciągała go

coraz głębiej w otchłań rozkoszy. Pieściła go dłońmi i ciepłymi, aksamitnymi ustami, a on starał się z całych sił przedłużyć tę chwilę. Nie chciał, by się skończyła, lecz Sadie wydobyła orgazm z jego trzewi. Wprost z jego wnętrza. Błyskawicznie ogarnął całe jego ciało i wybuchnął w jej ustach. Długi, głęboki jęk dobył się z jego gardła i chyba nawet zdołał coś wymamrotać, ona zaś została z nim do samego końca. Potem z powrotem włożyła mu bokserki oraz spodnie i wstała, nie odrywając się od jego ciała. -1 jak, warte dolara czterdzieści?

- Dolara czterdzieści pięć. - Przesunął dłońmi w górę i w dół jej pleców, a potem na pośladki. - Dziękuję.

- Nie ma za co. - Pocałowała go w szyję, jej ręce przebiegły wzdłuż jego ramion i piersi. Powiedziała coś, czego nie dosłyszał.

- Co mówiłaś?

Odchyliła się w tył i uśmiechnęła do niego.

- Masz ochotę na piwo?

Jezu. Obciąganie i piwo. Dla większości facetów to szczyt marzeń, Vince jednak nie zaliczał się do większości. Jego marzenia sięgały dalej. Ściągnął bluzkę Sadie przez głowę i nachylił się, by ją pocałować. Lubił seks oralny. Lubił też zanurzyć twarz w kobiecych piersiach. Ale to wszystko należało do gry wstępnej. Było tylko zabawą zmierzającą do prawdziwego celu.

Vince uwielbiał sam stosunek. Niezależnie od pozycji. Podobało mu się, że może dawać i brać. Łączyć mocne natarcie z łagodną finezją. Jego specjalność zawsze stanowił desant - zdobywanie innych jednostek.

- Nie. Proponuję ci coś lepszego niż piwo. - Sięgnął do zapięcia jej stanika.

Sadie znów odchyliła głowę, by na niego zerknąć, prosto w jego zielone oczy, wciąż nieco zamglone pożądaniem, lecz patrzące jasno i uważnie.

- Nie potrzebujesz trochę czasu na dojście do siebie? -Wszyscy mężczyźni, których do tej pory znała, musieli choć chwilę odpocząć.

- Nie. Jestem gotowy. - Zsunął ramiączka biustonosza i cisnął go na bok. Gdy się umówili, Sadie popędziła do domu, by zmienić bieliznę. Nie miała nic seksownego, ale chciała przynajmniej włożyć coś do kompletu. Wciągnęła więc białe majtki, które pasowały do stanika, ale zdawało się, że on nie zwrócił na to uwagi. Przyciągnął ją bliżej, przytulając jej obnażony biust do swojej piersi. - A ty, chcesz chwilę odpocząć?

Jej sutki zeszywniały, a on chwycił ją za tyłek. Podniósł ją, jakby nic nie ważyła, a ona objęła go nogami w pasie. Paląca, płynna żądza wezbrała między jej udami. Sadie czuła ją jednak od dawna, pojawiła się, jeszcze zanim rozpięła mu spodnie i ujrzała tę imponującą erekcję.

- Ja też jestem gotowa.

Przeszedł z nią przez hol do ciemnego salonu, gdzie postawił ją z powrotem na ziemi. Pocałował ją w szyję i rozebrał do końca. Jego duże ciepłe dłonie błędziły po całym jej ciele, podczas gdy usta wpijały się w miękką skórę jej szyi. I jak tamtej nocy w garderobie panny młodej, Sadie odniosła wrażenie, że wszystko pójdzie bardzo szybko. Tym razem popchnęła go w tył, w stronę kanapy należącej kiedyś do jej babci.

- Gumka. - Wystawiła rękę.

- Wybieraj. - Podał jej trzy różne. Czerwoną, zieloną i niebieską.

- Ta pasuje ci do oczu - stwierdziła, wybierając zieloną.

- Chcesz, żeby kutas pasował mi do oczu?

Sadie rzuciła dwie pozostałe prezerwatywy na sofę. Przyglądała mu się, gdy pozbywał się reszty ciuchów.

- Uznajmy, że znam się na modzie.

Zdjął buty i skarpetki, ściągnął bokserki wraz ze spodniami, odsłaniając wielkie, silne uda. Nigdzie na jego opalonym ciele nie znać było grama tłuszczu czy kawałka obwisłej skóry. Gdy stanął przed nią całkiem nagi, pchnęła go w pierś, aż usiadł na kanapie. Nie zanosił się na najromantyczniejszy seks jej życia, ale nie chodziło jej przecież o romantyzm.

- Skąd ten pośpiech?

Stała nad nim w rozkroku, a gładki czubek jego gorącego, obnażonego członka musnął ją dokładnie tam, gdzie tego pragnęła. Dreszcz przeszył każdą komórkę jej ciała i musiała zwalczyć ochotę, by natychmiast usiąść i wziąć go w siebie.

- Mówiłeś, że jesteś gotowy. Co zresztą było przecież widać.

- Bo jestem.

- W takim razie nie chcę na nic czekać. Rozerwała paczuszkę z kondomem i wspólnie założyli

go na długiego, grubego penisa. Ujął jej twarz w dłoń i spojrzał jej prosto w oczy, kiedy w nią wchodził. Potrzebował kilku pchnięć, by to zrobić, a jego głos okazał się niski i schrypnięty, gdy mówił:

- Ciasno...

- Mhm. - Odrzuciła głowę do tyłu, zacisnęła palce na jego ramionach. Ciepło mające swe źródło w tym intymnym miejscu, gdzie się stykali, rozeszło się po całym jej ciele.

- Dobrze cię mieć nad sobą. - Zsunął dłonie z jej piersi, wzdłuż boków, aż do bioder. - I patrzeć na ciebie.

- O tak, Vince. - Uniósł ją nieco, a potem znów przyciągnął do siebie. - Jest dobrze...

- Więc nie straciłaś na mnie swojego cennego czasu?

- Nie. - Boże, czy on miał zamiar gadać przez całą noc? Nic tak nie niszczyło porządnego seksu jak rozmowy. Zwłaszcza jeśli facet wygłaszał jakiś durny komentarz, który nie pozwalał jej się skupić na przeżywaniu. A czasem mu-

siała naprawdę mocno się koncentrować, żeby wydarzenia minionego dnia nie wypłynęły na wierzch i nie zaprzętały jej głowy w trakcie.

Zacząła poruszać biodrami, wprowadzając ich oboje w płomienny rytm. Jęk zrodził się gdzieś nisko w gardle Vince'a, gdy wyslizgiwał się z niej i wślizgiwał z powrotem. Był wielki i potężny, i wsuwał się głęboko. Najwyraźniej nie należał do tych gości, przy których musiała uważać i nieustannie myśleć o tym, co się dzieje. Z Vince'em po prostu to czuła. Tutaj i teraz, i nie liczyło się nic innego. Gdyby wybuchł pożar, pewnie nawet by nie zauważyła, tylko nadal ujeżdżałaby go niczym jednego z nagradzanych ogierów swego taty. Jak w tej chwili, śpiesznie, długo i z pasją, wciąż i wciąż, aż do momentu, gdy wpadła głową naprzód w gwałtowny ognisty orgazm, który zmiażdżył jej mózg. Straciła panowanie nad sobą, to rozkosz kontrolowała ją, podczas gdy Vince napierał na nią raz po raz. I właśnie wtedy, gdy wszystko zaczęło w niej przygasać, on mocno schwycił ją za uda, pociągnął w dół, do siebie, i zdecydowanie przytrzymał tam swymi dużymi silnymi dłońmi.

- *Hu-jaa* - wyjęczał gardłowo.

Sadie pochyliła się i ugryzła go lekko w ramię. Niektórzy faceci milkli, osiągając orgazm. Inni wzywali Boga, a jeszcze inni wykrzykiwali słowo na „k”. Ale jeszcze nigdy nie słyszała „*hu-jaa*”.

Sadie przekroiła łuszczącego się croissanta i ułożyła połówki na desce do krojenia leżącej na kuchennym blacie.

- Chcesz z awokado?

- Brzmi zachęcająco. - Vince strząsnął kropelki wody z paru listków sałaty, które następnie położył obok deski.

Ona miała na sobie swoją koszulkę i majtki, a on - bojówki. Po ćwiczeniach fizycznych oboje trochę zgłodnieli.

- Męskie zarcie trzymamy w stołówce - wyjaśniła Sadie, smarując pieczywo majonezem. - Carolynn w życiu nie uraczyłaby facetów rogalikami.

- Kim jest Carolynn? - spytał Vince. Urwał kawałek papierowego ręcznika i osuszył dłonie.

- Kucharką. - Sadie przygotowała kanapki z indykiem, sałatą i awokado. - Gotuje dla chłopców z rancza. Dwa posiłki dziennie, ogromne śniadanie i wielką kolację. Jej siostra, Clara Anne, utrzymuje porządek tutaj i w baraku sypialnym. - Podeszła do lodówki i otworzyła drzwiczki; chłodne powietrze owiało jej uda, kiedy pochyliła się, by wyjąć słoik korniszonów, drugi, pełen ostrych marynowanych papryczek, i paczkę żółtego sera w plastrach. Odkąd wróciła, siostry Parton dbały o odpowiednie zaopatrzenie lodówki i spiżarni. - Pracują tu od jakichś trzydziestu lat. - Zamknęła drzwiczki i odwróciła się do niego.

Vince stał na środku pomieszczenia z głową przekrzywioną na bok i oczyma utkwionymi w jej pośladkach.

- Co?

- Nic. - Wyszczерzył zęby jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku, najwyraźniej jednak nie odczuwając cienia wstydu. - Ilu mężczyzn mieszka w tym baraku?

Wzruszyła ramionami i rzuciła mu ser. Złapał go i dołączył do niej przy blacie.

- Właściwie to nie wiem - odparła. Postawiła słoiki obok deski, a z szafki nad głową wyjęła dwa talerze z chińskiej porcelany zakupione jeszcze przez jej mamę. - W czasach mojego dzieciństwa musiało ich być z piętnastu. Ale wydaje mi się, że teraz większość pracowników mieszka w mieście. - Dołożyła na kanapki trochę papryczek i sera. - A co, boisz się, że jeden z nich zaraz tu wpadnie i skopie ci tyłek za zadawanie się z córką szefa?

Zaśmiał się cicho, a ona spojrzała przez ramię na jego wielkie, półnagie, budzące respekt ciało.

- Nie. Po prostu zastanawiam się, czy to bezpieczne, żeby kobieta mieszkała tu samotnie.

- Powinam się bać? Zamierzasz coś mi zrobić?

- Coś innego niż do tej pory ci zrobiłem? Teraz ona się roześmiała.

- Tamto mi się podobało. Mógłbyś zrobić coś, co mi się nie spodoba?

- Chciałbym przetestować na tobie kilka pozycji, ale obiecuję, że wszystkie ci się spodobają.

- Mam wyjąć swój paralizator, tak na wszelki wypadek?

Vince uniósł brew i odłożył opakowanie z serem na blat.

- Nie uwierzyłem ci nawet za pierwszym razem, kiedy wspomniałaś o tym swoim wymyślonym paralizatorze.

Uśmiechnęła się, nie przyznała się jednak na głos do oszustwa. Wskazała mu spiżarnię.

- Podaj mi, proszę, paczkę chipsów.

Ułożyła rogaliki na ekskluzywnej porcelanie, dodała po ogórku, a kiedy Vince wrócił, nasypała na każdy z talerzy porcję laysów.

- Woda, piwo, mrożona herbata?

- Woda.

Napełniła więc jedną szklankę filtrowaną wodą z kranu, a drugą mrożoną herbatą i razem zanieśli kolację do reprezentacyjnej jadalni. Sadie nakryła do stołu, wyciągnąwszy najlepsze lniane serwetki i podkładki pod talerze swojej matki.

- Prawie nigdy tutaj nie jemy, tylko na Boże Narodzenie i Święto Dziękczynienia.

- Dostyc luksusowy wystrój.

Rozejrzała się, obejmując spojrzeniem mahoniowe meble i zasłony z adamaszku. Gości należało zaprosić właśnie tutaj i podać im posiłek na porządnej porcelanie. Tę zasadę wbiła jej do głowy matka. Podobnie jak to, że zawsze trzeba

zamykać usta przy jedzeniu i nigdy nie pokazywać swoich „brzydactw”.

Wsadził chipsa do ust.

- A gdzie zwykle jesz?

Rozścieliła sobie serwetkę na kolanach.

- Kiedy byłam mała, jadałam w stołówce albo w małym kąciku śniadaniowym w kuchni. - Wzięła kęs kanapki, przeżuła i przełknęła. - Jestem jedynaczką, więc po śmierci mamy zostaliśmy tylko we dwójkę, ja i tata. - Upiła łyk herbaty. - Jedliśmy z pracownikami, tak było najsensowniej, bo Carolyn nie musiała biegać tam i z powrotem.

- Ile miałaś lat, kiedy twoja mama zmarła? - Ugryzł spory kawałek rogała.

- Pięć.

- Mhm. - Znów się poczęstował i przeżuł. - Naprawdę pyszne, Sadie - orzekł, przełknąwszy. - Choć zwykle nie przepadam za croissantami.

- Dzięki. Kanapki to nic trudnego. Siedmiodaniowy obiad to dopiero wyzwanie.

Sięgnął po swoją szklankę i zamarł, unosząc ją do ust.

- Potrafisz przyrządzić siedmiodaniowy obiad?

- Minęło już trochę czasu, odkąd ostatnio próbowałam, ale tak. Poza kursem dobrych manier i całym mnóstwem innych zajęć chodziłam też na lekcje gotowania. -Zjadła kolejny kawałek lekkiej, puszystej kanapki. Indyk, awokado i papryczki tworzyły idealne połączenie smaków. - Moja mama była doskonałą kucharką i straszną pedantką w kwestii konwenansów. Choć sama nie do końca to pamiętam. Po prostu tata próbował wychować mnie tak, jak ona by chciała. W każdym razie on sobie to tak wyobrażał. Rzecz jasna często zapominał o obowiązkach w tym względzie.

Vince upił trochę wody i odstawił szklankę na stół.

- Jesteś do niej podobna?

- Ona zdobyła tytuł Miss Teksasu i prawie wygrała konkurs na Miss Ameryki. - Sadie wrzuciła do ust słonego chipsa i schrupała go. To właśnie lubiła w laysach: smak soli i chrupkość. Chociaż to oczywiście cheetosy stanowiły jej ulubioną przekąskę. - Była śliczna i potrafiła pięknie śpiewać.

- A ty? Śpiewasz?

- Tylko kiedy chcę kogoś naprawdę zirytować. Zachichotał.

- W takim razie na pewno wyglądasz jak ona. - Odgryzł kolejne dwa kęsy.

Czy powinna uznać to za komplement? Czy naprawdę czuła, że zaraz się zarumieni?

- Nie wiem. Ludzie powtarzają mi, że ją przypominam, ale oczy mam po tacie. - Przeżuła porcję swojej kanapki.

- Też zostałeś kiedyś królową piękności? Pokręciła głowę, unosząc do ust szklanekę z mrożoną herbata.

- Zebrałam kilka szarf i pucharów, ale nie. Zawsze mam problem, gdy trzeba iść i machać jednocześnie. - Napiała się. - Królowanie to ciężka praca.

Zaśmiał się.

- Naprawdę! - Uśmiechnęła się do niego. - Sam spróbuj jednocześnie śpiewać, tańczyć, promienieć i rozsiewać wokół blask. Uważasz, że służba w SEAL daje w kość? Że terroryści to skrajnie niebezpieczni goście? To wszystko nic w porównaniu z konkursem piękności. Niektóre matki uczestniczek są agresywne. - Gdzieś w spisie dobrych manier stało, że nie należy mówić zbyt wiele o sobie. Poza tym chciała się dowiedzieć czegoś więcej o nim. - Dlaczego wstąpiłeś do SEAL?

- Wydawało się, że wysadzanie rzeczy w powietrze i zabawy z bronią na zlecenie Wujka Sama to fajna droga kariery.

-1 rzeczywiście?

- Jasne. - Wpakował do ust parę chipsów i sięgnął po szklanekę z wodą. Najwyraźniej nie lubił za dużo gadać. Przynajmniej na swój temat. Ale to nic - jedną z cech Sadie, dzięki której odnosiła takie sukcesy jako agentka nieruchomości, była umiejętność przekonywania do siebie ludzi. Potrafiła sprawić, że zaczynali jej ufać i w krótkim czasie byli gotowi rozmawiać z nią na każdy temat. Zdarzało się, że dochodziło do zwierzeń, których wcale nie chciała słuchać.

O czynnościach fizjologicznych albo niecodziennych praktykach.

- Czy żołnierze sił specjalnych marynarki nie powinni dużo pływać?

- Owszem. - Pociągnął łyk, a potem podjął: - Trenujemy w wodzie, choć przy obecnych konfliktach większość akcji odbywa się na lądzie.

- Nie jestem zbyt dobrą pływaczką. Wolę obserwować fale z bezpiecznej odległości.

- A ja uwielbiam wodę. Spędziłem praktycznie każde lato swojego dzieciństwa na taplaniu się w jakimś jeziorze. - Podniósł z talerza ostatni kawałek rogała. - Nie znoszę za to piasku.

- W pobliżu jezior i mórz znajdziesz sporo piasku, Vince.

Jeden z kącików jego ust wykrzywił się w uśmiechu.

- Na Bliskim Wschodzie też. Mają tam burze piaskowe i pyłowe. - Wsunął końcówkę kanapki do ust.

- Musiałeś nauczyć się arabskiego? Potrząsnął głową, przełykając.

- Podłapałem kilka słów tu i tam.

- Nie było ci przez to trudno się porozumiewać?

- Nie wysłano mnie tam, żebym wdawał się w dyskusje. Tutaj też nie przyszedł w celu ucięcia sobie pogawędki, więc nie zdradził zbyt wiele na swój temat. Sadie to nie

przeszkadzało. Przyjemnie się na niego patrzyło, na to jego umięśnione ciało i oszłamiające zielone oczy w przystojnej twarzy. Umawiała się już parokrotnie z atrakcyjnymi mężczyznami. Nie aż tak atrakcyjnymi jak Vince, ale generalnie zauważyła, że seksapil idzie w parze z pewną rezerwą. Wewnętrzną niezgodą na podarowanie kobiecie czegokolwiek poza swoim ciałem. I to też było w porządku, bo zgodnie z umową tyle właśnie miała dostać. Zresztą, szczerze mówiąc, na niczym więcej jej nie zależało.

- Czemu mieszkasz w Phoenix, skoro mogłabyś tutaj? - zapytał, jasno dając do zrozumienia, że skończyli już rozmowę o nim.

- Wiem, że życie na ranchu przywodzi na myśl romantyczne skojarzenia, jakby czasy Dzikiego Zachodu miały nigdy się nie skończyć, ale w rzeczywistości wiąże się to z ogromnym, naprawdę ogromnym nawałem obowiązków i poczuciem wyobcowania. Nie unikam ciężkiej pracy, ale dorastanie w gospodarstwie oddalonym od najbliższych domów o trzydzieści kilometrów uczy cię sporo o samotności. Zwłaszcza gdy jesteś jedynaczką. Nie mogłam zwyczajnie wskoczyć na rower i odwiedzić przyjaciółki. - Odgryzła i przeżuła kęs kanapki. Nigdy tak naprawdę nie miała bliskiej przyjaciółki. Nigdy nie ganiała się z dziećmi z sąsiedztwa. Spędzała czas w towarzystwie dorosłych lub cielaków i owieczek, które hodowała dla 4-H. - Ale jeśli przeganianie bydła i wdeptywanie w krowie łajno sprawia ci przyjemność, to pewnie odrobina samotności nie stanowi wygórowanej ceny. - Naprawdę mówiła o samotności? Nie sądziła wcale, że wiecie samotnicze życie, choć jako dziecko pewnie faktycznie trwała w odosobnieniu.

Vince odłożył serwetkę na opróżniony talerz.

- A czy to wszystko nie przejdzie kiedyś w twoje ręce? Sadie nagle straciła apetyt, gdy znajoma kulka strachu opadła jej do żołądka.

- Dlaczego tak myślisz?

- Ludzie gadają, a praca w sklepie to prawie to samo co stanie za barem. - Wzruszył jednym ramieniem. - Tylko u mnie nie zjawia się aż tylu pijaków, no i nikt nie daje napiwków.

Ludzie uwielbiali plotkować, szczególnie w Lovett.

- Tak, ale ja jestem dziewczyną.

Oparł się wygodniej i skrzyżował potężne ramiona na nagiej piersi. Jego spojrzenie ześliznęło się po podbródku oraz szyi Sadie i zatrzymało na przedzie jej koszulki. Uśmiechnął się i popatrzył z powrotem w jej oczy.

- Co do tego nie ma wątpliwości.

- Tata zawsze pragnął syna. - Upiła trochę herbaty. - Pomysł zostawienia mi rancza nie podoba mu się w takim samym stopniu jak mnie, ale jestem jedyną córką jedynaka. Nie ma nikogo innego.

- A więc odziedziczysz kawał ziemi, którego wcale nie chcesz.

Wzruszyła ramionami. Miała mieszane uczucia względem rodzinnej posiadłości. Jednocześnie kochała to miejsce i nienawidziła go. Stanowiło część niej samej, jak jej niebieskie oczy.

- Nie wiem, co tata zamierza. Nigdy nie zwierzał mi się ze swoich planów, a ja nie pytałam.

- I nie sądzisz, że to nieco dziwne?

- Nie wiesz, jaki on jest - odparła niemal szeptem. Przekreślił głowę odrobinę w lewo, co jak zauważyła, czasami mu się zdarzało, i przyglądał się jej wargom.

- Ile ma lat?

- Siedemdziesiąt osiem. - Po co pytał o to wszystko? Jej życie na pewno nie interesowało go aż tak bardzo. Była przygodą na jedną noc, niczym więcej. Odsunęła talerz na bok.

- Zjadłaś już?

-Tak.

- Masz ochotę na jeszcze jedną rundę?

Ach tak. Po prostu zabijał czas pogawędką, czekając, aż ona skończy posiłek. Zerknęła na zegar. Parę minut po pierwszej. Minie jeszcze pięć godzin, nim zjawia się siostry Parton. I nie, to nie był najromantyczniejszy seks w jej życiu, ale był naprawdę niesamowity. Vince nie należał do romantyków, lecz nie tego przecież szukała. Chodziło o jednorazową sprawę, a w tym zakresie sprawdził się świetnie, dając jej coś, czego od dawna nie doświadczyła.

Dobłą zabawę.

- *Hu-jaa.*

Rozdział jedenasty

- Kto cię wprowadził w tak dobry humor?

Sadie odwróciła się w stronę ojca, popatrzyła na maseczkę tlenową okrywającą jego nos, okulary spoczywające na czubku głowy oraz stopy odziane w nową parę fioletowych antypoślizgowych skarpet. Czyżby dowiedział się jakoś o Vinsie? Może ktoś widział jego półciążarówkę opuszczającą ranczo o trzeciej nad ranem i doniósł na nią ojcu?

-Co?

- Nucisz sobie.

Zwróciła się z powrotem w stronę zlewu pełnego żółtych stokrotek.

- To nie można już nucić?

- Nie, chyba że ma się ku temu szczególny powód.

Przygryzła wewnętrzną stronę policzka, by powstrzymać cisnący się na usta uśmiech. Nie czuła się tak zrelaksowana od dnia, w którym wyruszyła w podróż do Teksasu. Po raz pierwszy spędziła w starym domu noc wolną od jakichkolwiek rozmyślań. Wypełnioną wyłącznie rozkoszą. Rozkoszą związaną z tym, że dane jej było zająć się czym innym niż oglądanie telewizji czy zamartwianie się o ojca, własną karierę i przyszłość. To z pewnością stanowiło dobry powód do nucenia.

Przycięła łodygi kwiatów o dwa centymetry i ułożyła je w wazonie.

- Czy mogę coś dla ciebie zrobić, tato?

- Absolutnie nic.

- Mogłabym przejąć niektóre obowiązki na ranchu. - Na jakiś czas. Dopóki on nie wydobrzeje i nie wróci do domu. - Pokazałbyś mi, jakiego programu używasz do rozliczeń, to przygotowałabym listę płac. - Gdyby jej wytłumaczył, jak to wszystko działa, na pewno by sobie poradziła.

- Wanda się tym zajmuje. Jak zabierzesz Wandzie pracę, to nie będzie w stanie wykarmić dzieciaków.

Och. Nawet nie wiedziała o istnieniu Wandy.

- Wkrótce przyjdzie czas na szczepienie i znakowanie cielaków. Może przy tym bym się przydała. - Zgłaszała się do jednego z najmniej lubianych przez siebie zadań, byle tylko otrzymać inny cel w życiu niż przesiadywanie w klinice ze zrzędlivym ojcem.

- Tylko byś przeszkadzała.

Prawda, ale mógł skłamać, żeby nie zranić jej uczuć. Nie, zaraz. Mowa o Clivie Hollowellu, oczywiście, że nie próbował owijać w bawełnę.

- Przyniosłam ten bukiet, pomyślałam, że poprawi ci nastrój - zmieniła temat, poddając się. Stokrotki były ulubionymi kwiatami jej matki.

- Nastrój poprawi mi powrót do domu. - Zakaszłał i chwycił się za bok. - Cholera jasna!

Rzuciła mu spojrzenie przez ramię, ale wiedziała, że nic nie może poradzić. Pęknięte żebra zrastały się, choć powoli. Ojciec wciąż cierpiał, lecz odmawiał przyjmowania leków przeciwbólowych.

- Dlaczego nie poprosisz o coś, co przyniesie ci ulgę - zasugerowała, napełniając wazon wodą.

Jeszcze przez kilka chwil zmagał się z bólem.

- Nie chcę skończyć jako cholerny narkoman - wychrypiął pomiędzy atakami kaszlu.

Miał siedemdziesiąt osiem lat, raczej nie było wielkich szans, żeby od czegokolwiek się uzależnił. A nawet gdyby

wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu tak się stało, to co? Przeżyłby resztę swoich dni szczęśliwy i wolny od cierpień fizycznych. To byłaby miła odmiana.

- Tato, nikt nie powinien tak strasznie się męczyć -przypomniała mu swoje zdanie i zakręciła kurek z wodą. Przeszła przez pokój i postawiła wazon na szafce nocnej przy łóżku. - Ulubione kwiaty mamy. Pomyślałam, że dodadzą tu trochę koloru.

- Mama kochała białe stokrotki. Sadie zerknęła na żółte płatki. -Och.

- Białe stokrotki i niebieskie niebo. Była piękna jak malowanie, nigdy nie dostrzegłem w jej wyglądzie najmniejszej skazy. Nawet rano, tuż po przebudzeniu.

Przez głowę Sadie przemknęła myśl o ciemnych odrostach, z którymi wreszcie jutro miała uporać się fryzjerka. Dziś Sadie ściągnęła włosy w koński ogon i kilkakrotnie ma-znęła rzęsy tuszem. Na tym koniec.

- Była słodka jak miód i dobra dla wszystkich wokół.

- Pewnie nie jestem do niej podobna.

- Nie. Nie jesteś. - Ojciec popatrzył w jej stronę. - Nigdy jej nie przypominałaś. Wiedziała to już, kiedy byłaś malutka. I uparta.

Nie, ojciec w życiu nie skłamałby, żeby oszczędzić jej przykrości.

- Staralam się, tato.

- Wiem, ale to po prostu nie leżało w twojej naturze. - Podniósł gazetę spoczywającą na brzegu łóżka i zsunął okulary na nos.

A więc może i nie udzielała się w schroniskach dla zwierząt ani szpitalach. Nie gotowała zupy dla chorych starszych pań, ale ciężko pracowała, żeby się utrzymać.

- Wiesz, tato, mam problemy z poczuciem własnej wartości wyłącznie, gdy przyjeżdżam do Teksasu. To może oka-

zać się dla ciebie szokiem, ale gdzie indziej istnieją ludzie, którzy uważają mnie za bystrą, zaradną kobietę.

- Nikt nigdy nie twierdził, że nie jesteś bystra czy zaradna. - Rozpostarł płachtę gazety. - Nic na siłę, Sadie Jo. Jeśli w innym miejscu czujesz się lepiej sama ze sobą, to tam pojedź i zostań.

Kusiło ją, by tak właśnie zrobić. By wskoczyć w samochód i zostawić Teksas, Lovett, ojca, wspomnienia i morze rozczarowań.

Ale oczywiście się powstrzymała. Została w szpitalu jeszcze przez godzinę, a potem wróciła do pustego domu.

Wczoraj spędziła z Vince'em przyjemny wieczór. Jednonocna przygoda z założenia niosła ze sobą specyficzną wolność. Pozwalała na zachłanność i nieprzejmowanie się uczuciami albo tym, czy on jeszcze zadzwoni, ani żadnymi innymi sprawami, które standardowo wiązały się z budowaniem poważnego związku. Dzięki temu Sadie obudziła się wypoczęta, z uśmiechem na twarzy i nie oczekiwała w napięciu na sygnał telefonu.

W drodze do domu przejeżdżała przez Lovett i ogarnęła ją pokusa, by zatrzymać się na Gas and Go. Nie pogardziłaby puszką coli light oraz paczką cheetosów. Nie miała żadnych planów na dzisiejszy wieczór. Może on także był wolny, ale Sadie wolała już przesiedzieć całą noc przed telewizorem albo ekranem komputera, w nieskończoność oglądając śmieszne filmiki, niż wstąpić na stację pod pretekstem zakupu przekąsek.

Gdy Vince pocałował ją na do widzenia i podziękował jej po raz ostatni, miała świadomość, że już nie wróci. Tak, wiedziała, że on również dobrze się bawił, ale nie zapytał, kiedy znów się zobaczą, nie poprosił też o jej numer telefonu. Nie była z tego powodu zła ani smutna. No dobrze, może odrobinę smutna, bo wolałaby spędzać kolejne noce z nim, niż zanudzając się na śmierć, lecz nie mogła mieć mu tego

za złe. Uprzedzał ją, że chodzi mu tylko o seks. Nie miał wobec niej żadnych zobowiązań, ona także mogła cieszyć się całkowitą wolnością - tyle że nie wiedziała, co z nią robić. Powrót do domu wykazał jej z bolesną przejrzystością, że nie nawiązała żadnych bliższych przyjaźni w mieście, w którym się urodziła i wychowała. Nie przychodził jej do głowy nikt, do kogo mogłaby zwyczajnie zadzwonić i umówić się na lunch, nie wspominając już o tym, że nie znała niczyjego numeru. Odkąd przyjechała, najwięcej czasu spędziła na rozmowach z Vince'em, ale przecież zabawianie jej nie należało do jego obowiązków. Choć cieszyłaby się, gdyby było inaczej. Musiała znaleźć sobie jakieś zajęcie, zanim oszaleje z nadmiaru wolnego czasu.

Następnego dnia, po porannej wizycie w szpitalu w Amarillo, skierowała się do oddalonego o trzy przecznice salonu fryzjersko-kosmetycznego Lily Belle. Zasiadła w fotelu pod opieką Lily Darlington, właścicielki lokalu we własnej osobie, i się rozluźniła. Minęło już sporo czasu, odkąd gościła w podobnym miejscu. Czarna nylonowa peleryna okrywała ją od szyi aż po kolana. Zapach szamponu i aromatycznych ziołowych świec, czasem mieszający się z wonią płynu utrwalającego, sprawił, że chwilowo zapomniała o swoich problemach.

Sadie wybrała Lily, bo ta mogła się poszczycić naprawdę pięknymi włosami: były grube i zdrowe, z pasemkami w kilku odcieniach naturalnie wyglądającego blondu. Obie kobiety miały podobny typ urody, a gdy tylko fryzjerka zaczęła zawijać kosmyki Sadie w folię, okazało się, że łączy je więcej niż tylko czupryna w kolorze miodu oraz niebieskie jak niebo oczy. Lily wychowała się w Lovett. Skończyła tutejsze liceum pięć lat przed Sadie i obie znały tych samych ludzi. Poza tym Lily kojarzyła oczywiście rodzinę Hollowel-lów i należące do niej ranczo.

- Moja mama pracowała w Dzikim Kojocie - poinformowała Lily, smarując farbą cienkie pasemka włosów Sa-

die. - W zeszłym roku przeszła na emeryturę. A mój szwagier jest właścicielem Amerykańskich Perełek Parrisha. Sadie nieraz słyszała o braciach Parrish i ich firmie.

- Swego czasu bez przerwy stołowałam się w Dzikim Kojocie. Kanapki i ciasto orzechowe. - Obserwowała w lustrze, jak Lily zawija w folię jej włosy. - Jak się nazywa mama?

- Louella Brooks.

- Och, jasne, że ją pamiętam! - Dzikie Kojoty praktycznie nie mógłby istnieć bez Louelli. - Zawsze znała tysiące plotek na każdy temat. - Jak wszyscy w Lovett, ale co czyniło Louellę wyjątkową, to umiejętność urwania opowieści w pół słowa, by przyjąć zamówienie przy innym stoliku, a potem podjęcie wątku bez pominięcia choćby sylaby.

- Tak, to cała mama. - Zadzwieczał dzwonek nad drzwiami i Lily zerknęła w lustro, aby zorientować się w sytuacji. - O nie. - Ogromny bukiet czerwonych róż wkroczył do pomieszczenia, zasłaniając trzymającą go osobę. - Znowu to samo. - Dostawca ustawił kwiaty na ladzie i poprosił jedną z dziewcząt przy biurku o poświadczenie odbioru.

- Są dla ciebie?

- Obawiam się, że tak.

Ktoś przeznaczył na te róże kilkaset dolców.

- To urocze.

- Wcale nie. On jest dla mnie za młody - odparła Lily, a rumieniec pokrył jej szyję, wpełzając coraz wyżej.

Niegrzecznie było się wtrącać. Nie tak ją wychowano, ale nie mogła się powstrzymać:

- To ile ma lat?

Lily oddzieliła pasemko włosów od reszty.

- Trzydzieści.

- To tylko osiem lat różnicy, prawda?

- Tak, ale nie chcę, by ludzie gadali, że czyham na młodych chłopców.

- Mnie nigdy nie przyszłoby do głowy nic podobnego.
- Dzięki. - Wsunęła kawałek folii pod przygotowany kosmyk i dodała:
- Patrząc na niego, nie dałabym mu więcej niż dwadzieścia pięć.
- Wydaje mi się, że martwić trzeba się dopiero wtedy, gdy twój facet jest wystarczająco młody, by być twoim synem.
- Tak czy owak, nie chcę umawiać się z młodszym o osiem lat mężczyzną. - Z rozmachem nabrała farby z jednej z miseczek. - Ale, jeju, jaki on jest seksowny...

Sadie się uśmiechnęła.

- Więc wykorzystaj go tylko w wiadomym celu.
- Próbowałam. Ale on chce czegoś więcej. - Lily westchnęła. - Muszę zajmować się dziesięcioletnim synem i prowadzić własny biznes. Pragnę wyłącznie spokojnego, bezkonfliktowego życia, a przy Tuckerze sprawy się komplikują.

- W jakim sensie?

- Służył w armii i sporo widział. Twierdzi, że przez jakiś czas odcinał się od świata, ale że ten etap ma już za sobą. - Przesunęła po paśmie włosów pędzlem. - Ale bardzo niewiele mówi jak na kogoś, kto ponoć już się nie izoluje.

Sadie pomyślała o Vinsie.

- I to cię przeraża?

Lily wzruszyła ramionami.

- To, jego wiek i dramat, jaki przeszłam z moim byłym. Nie sądzę, żebym wytrzymała coś podobnego po raz drugi.

- Jest strasznym dupkiem? Twój były? Lily spojrzała na Sadie w lustrze.

- To wstrętny szczurzy bękart.

Co niewątpliwie oznaczało coś gorszego niż dupek.

Po kolejnej godzinie nakładania różnych kolorów farby na włosy Sadie Lily założyła jej na głowę czepek i usadziła pod suszarką. Sadie sprawdziła w telefonie, czy nie czeka-

ją na nią jakieś ważne wiadomości, ale przyszły same śmieci. A wcześniej zdarzało jej się dostawać i do pięćdziesięciu służbowych e-maili dziennie, a do tego kilka od przyjaciół. Czuła się, jakby nagle zniknęła z powierzchni ziemi. Wyparowała.

Po wszystkim jej fryzura prezentowała się świetnie. Równie dobrze mogłaby właśnie wyjść z któregoś z salonów w Denver, Phoenix czy Los Angeles. Nie dało się jednak zapomnieć, że znajdowała się w Teksasie, bo choć Lily panowała nad sobą przy podcinaniu włosów i skróciła je tylko o kilka centymetrów, podczas suszenia nie zdołała się powstrzymać i odrobinę je natapirowała.

Perspektywa powrotu prosto do domu ze wspaniałą nową fryzurą okazała się tak przygnębiająca, że Sadie postanowiła wstąpić do „Ciucha od Deeann” i obejrzeć parę letnich sukienek, które zauważyła w oknie wystawowym. Gdy wchodziła do środka, odezwał się dzwonek nad drzwiami. Jako pierwsze Sadie zauważyła towary w barwie różu i złota oraz desenie przypominające krowią skórę.

- No popatrz! - Deeann wyszła zza lady i przytuliła Sadie na powitanie. - Wyglądasz ślicznie jak robacze uszko!

Kolejne teksańskie powiedzenie, którego Sadie za nic nie potrafiła pojąć. Jej zdaniem ani robaki, ani tym bardziej ich uszy nie były śliczne.

- Dzięki. Właśnie wracam z salonu Lily Belle.

- Więc to dzieło szalonej Lily Darlington?

Sadie odchyliła się w tył, by spojrzeć w brązowe oczy Deeann.

- Lily jest szalona? - Sadie nie odniosła wrażenia, by fryzjerka zachowywała się jakoś dziwnie.

- Och, nie. - Deeann machnęła ręką. - Po prostu wszyscy tak na nią mówili. Zwłaszcza w okresie, kiedy rozwodziła się z tym łajdakiem Ronniem Darlingtonem. Lily jest ode mnie starsza o pięć lat, ale zawsze uważałam, że to naprawdę urocza dziewczyna.

- A ty zawsze należałaś do najmiłszych uczennic w całej szkole dobrych manier. I do najładniejszych.

- Słodka jesteś.

Jej własny ojciec sądził inaczej.

- Masz dla mnie coś ładnego? Większość moich ubrań wciąż wisi w szafie w Phoenix, a ja mam już dość wkładania w kółko tych samych sukienek i dresów.

Deeann złączyła dłonie i zapytała:

- Nosisz eskę?

Sadie potraktowała to jako komplement.

- Pewnie.

Sklep mieścił się w dość wąskim pomieszczeniu zastawionym półkami i wieszakami, na których znaleźć można było wszystko, od spódnic i krótkich spodenek, przez koszulki, po letnie sukienki i kreacje studniówkowe. Sadie wygrzebała parę rzeczy, które przypadły jej do gustu, choć w większości ciuchy od Deeann kłóciły się z jej stylem. Za dużo „ozdóbek”, na które składały się koraliki, srebrne ozdoby i koronka.

- Robisz piękną biżuterię. - Naprawdę tak uważała.

- To zawsze dodatkowy zarobek. - Deeann zerknęła na zegarek wykonany z łyżki. - Kilka dziewczyn z miasteczka ma wpaść obejrzeć suknie na studniówkę. Mam nadzieję, że wybiorą coś u mnie, zamiast jechać na zakupy do Amarillo.

- Pokręciła głową, a długie rude włosy smagnęły ją lekko po plecach. - Mój były mąż od roku nie płaci alimentów i naprawdę potrzebuje pieniędzy.

Sadie ułożyła na ladzie trzy T-shirty, dwie pary szortów i pięć kompletów kołczyków.

- Ja miałam sukienkę z kolekcji Jessiki McClintock. Taką niebieską z kryształkami na gorsecie. - Westchnęła.

- Wyglądałam nieziemsko. Szkoda tylko, że mój partner, Rowdy Dell, dostał w głowę butelką tequili i całą mnie zakrwawił.

- O Boże. Musieli mu założyć szwy? - Deeann nabiła zakupy na kasę.
- Owszem, kilka. - Sadie zachichotała. - To okropne z mojej strony, że bardziej przejęłam się zniszczoną sukienką niż jego rozbitą głową.

Deeann zagryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć.

- Ależ skąd, kochana. Głowa się zagoi, a zakrwawiona wysadzana kryształkami sukienka od Jessiki McClintock nadaje się tylko do wyrzucenia. Czy Rowdy przeprosił za to, że zniszczył ci kreację?

- Wyraźnie brakło mu w tym względzie dobrych manier. - Znów się zaśmiała. - To była studniówka z piekła rodem.

- Założę się, że nie wyszłaś na tym aż tak źle jak ja - odparła Deeann, wręczając jej torbę z zakupami. - Wpadłam dokładnie w noc balu i tylko pogorszyłam sprawę, wychodząc za męża w trzy miesiące później. No i teraz prowadzę sklep, sprzedaję biżuterię i zajmuję się nieruchomościami na boku, żeby utrzymać siebie i synów, a wszystko przez to, że wtedy zgodziłam się wleźć na tył trucka Ricky'ego Gundersona.

Deeann nie bała się ciężkiej pracy, i za to Sadie ją lubiła.

- Mogę jakoś pomóc? - Nie miała licencji na sprzedaż domów w Teksasie, ale nie widziała przeszkód, żeby oprowadzić paru klientów razem z Deeann czy udzielić jej kilku wskazówek, jak szybko sfinalizować umowę. W swojej agencji brokerskiej w Phoenix zawsze przodowała.

- Mogłabyś ze mną sprzedawać te sukienki.

- Co? - Myślała o nieruchomościach. O pokazywaniu domów i omawianiu z potencjalnymi nabywcami wszelkich udogodnień.

- To nic trudnego. Dziewczyny będą chciały przymierzyć każdą suknię w sklepie. Przydałaby mi się dodatkowa para rąk.

Minęło mnóstwo czasu, odkąd sama kupowała studniówkową kreację i odkąd ostatnio znalazła się w otoczeniu nastolatek. Już dwudziestolatki na weselu Tally Lynn wydały jej się irytujące.

- No nie wiem...

- To na pewno nie potrwa dłużej niż kilka godzin.

- Godzin?

Vince uniósł młot ponad głowę, a potem opuścił go na ladę. Powietrze wypełniło się odgłosami pękającego w drzazgi drewna i jękami wyginających się gwoździ. Cieszył się, że może wyżyć się na czymś, angażując do tego całą swoją siłę. Jedno z jego ulubionych powiedzonek brzmiało: „Czasem po prostu trzeba zamierzyć się młotem na muchę”. Słowa te przypisywano majorowi Holdridge'owi, który służył w piechocie morskiej. Vince uwielbiał tych gości. Podziwiał ich szaloną odwagę i fantazję.

Oczywiście komandosów SEAL szkolono nieco inaczej. Wpajano im, że zabija się łatwo, za to od trupa dużo trudniej wyciągnąć zeznania. Vince to rozumiał i starał się zachować równowagę między świadomością, że czasem dla dobra misji trzeba pochwycić żołnierzy wroga żywcem, a upodobaniem do wielkich wybuchów. Czasem ogromny młot stanowił doskonałe narzędzie, aby jasno i wyraźnie zademonstrować swoje zdanie.

Kropla potu spłynęła po jego skroni, a on otarł ją rękawem koszulki. Uderzył w wiszącą szafkę, strącając ją na podłogę. Zeszłej nocy znów przyśnił mu się Wilson. Tym razem sen rozpoczął się przed wymianą ognia, w której przyjaciel zginął. Vince ponownie znalazł się wśród nagich gór i wapiennych jaskiń. Stali wraz z Wilsonem obok spiętrzonych stosów granatników RPG-7, magazynków do kałasznikowów, rosyjskich granatów i pocisków typu Stinger; leżała tu też księga, która podobno miała być osobistym Koranem

Osamy bin Ladena. Vince nigdy do końca w to nie wierzył, ale takie przypuszczenie dodawało smaczku całej historii.

Otrzymali rozkazy, by czterech komandosów SEAL przedostało się przez odsłonięte jedenastokilometrowe wzniesienie aż do jaskiń. Chłopcy z marines ubezpieczali ich z obu stron, wypatrując snajperów ukrywających się w rozpadlinach i szczelinach. Ze względu na niekorzystne ukształtowanie terenu oraz upał operacja trwała dłużej, niż zakładali. Zatrzymali się w pół drogi, żeby zdjąć kurtki, w których przylecieli, lecz nadal mieli na sobie specjalne plecaki z wodą i jedzeniem, niezbędni z podstawowym wyposażeniem, broń, kamizelki kuloodporne oraz hełmy bojowe.

Pierwsze, co zauważyli, zbliżając się do kresu wędrówki, to że bomby zrzucone wcześniej z samolotów, żeby choć w części spacyfikować okolicę, w osiemdziesięciu procentach chybiły celu. Pluton podkraść się do wejścia jaskini i wtargnął do środka tak, jak zrobiłby to w przypadku domu czy statku. Światło latarek przy karabinach wlało się, blednąc, do wnętrza grot.

- „Na każdym kroku mała niespodzianka” - odezwał się Wilson, gdy okrążali wylot jednej z jam. I zanim ktokolwiek zdążył zapytać, wyjaśnił:
- Willy Wonka. Z wersji oryginalnej, nie tego beznadziejnego remake'u z Johnnym Deppem.

- Co za wybór. Tutaj mamy całą górę jego słynnych gum do żucia. - Vince skierował promień latarki na pudła stingerów. - Wygląda na to, że ktoś chce się z nami bawić w wojnę.

Wilson zaśmiał się tym głębokim, równym śmiechem, który zawsze wywoływał uśmiech na twarzy Vince'a. To właśnie tego mu brakowało, kiedy wspominał przyjaciela.

Odłożył młot na stare biurko Luraleen, które postanowił zachować ze względów sentymentalnych, i schylił się po

kawałki rozłupanego drewna oraz blatu. Rozmyślanie o Wilsonie zwykle wprawiało go w dobry nastrój. Sny o przyjacielu wywoływały za to drżenie i panikę.

Wyszedł z biura, a potem z budynku przez tylne drzwi, które zostawił wcześniej na wpół otwarte, przytrzymywane cegłą. Przeszedł kilka metrów do kontenera na odpadki i wrzucił do niego resztki połamanych mebli. Kalkulował, że jeszcze tydzień czy dwa zajmie mu wyburzanie, a kolejne trzy lub cztery - renowacja.

Blednące wieczorne słońce zniżało się na bezchmurnym teksańskim niebie, kiedy na tyły stacji podjechał czerwony volkswagen. Strużka potu ściekła po skroni Vince'a, więc uniósł ramię i otarł ją. Becca wyłączyła silnik i pomachała do niego przez przednią szybę swojego garbusa.

- O słodki Jezu, wybaw mnie. - Z niezrozumiałych dla Vince'a przyczyn Becca wciąż wpadała na Gas and Go po kilka razy w tygodniu, w drodze ze szkoły do domu. On nigdy w żaden sposób nie przyczynił się do umocnienia tej „przyjaźni”.

- Cześć, Vince! - zawołała, idąc w jego kierunku.

- Cześć, Becca. - Odwrócił się w stronę budynku stacji, znieruchomiał i znów spojrzał na dziewczynę. - Obcięłaś włosy.

- Tak, jedna z koleżanek ze szkoły się tym zajęła. Wskazał dłonią lewy bok jej głowy.

- Z tej strony są dłuższe.

- I tak ma być. - Przeczesała skrócone kosmyki palcami. - Podoba ci się?

Mógłby skłamać, ale to tylko zachęciłoby ją do dalszych prób podtrzymania kontaktu. -Nie.

Zamiast się zmartwić i odjechać, Becca cała się rozpromieniła.

- Za to właśnie cię lubię, Vince. Nie owijasz w bawełnę.

Rzeczywiście, nie owijał, i miał ku temu dobry powód. Eufemizmy i przemilczenia pozwalały rozwijać się więziom, na których bynajmniej mu nie zależało.

- Nie jesteś na mnie wkurzona? - Inne kobiety, które znał, wprost oszalałyby ze złości.

- Nie. Jutro poproszę kogoś, żeby to poprawił. A ty nie potrzebujesz strzyżenia? Całkiem nieźle sobie radzę z maszynką.

Całkiem nieźle?!

- Dzięki, nie skorzystam. Nie chcę takiej koślawej fryzury jak twoja. Roześmiała się.

- Ostrzygłabym cię na dwójce, żeby wyszło krótko. Byłbyś zadowolony. Zdaje mi się, że przejrzałam już twoje upodobania.

Pomyślał o Sadie, i to wcale nie pierwszy raz, odkąd się z nią pożegnał. Myślał o niej kilkakrotnie każdego dnia. Gdyby jego życie nie skupiało się chwilowo niemal wyłącznie na otepiającej pracy wyburzeniowej, pewnie zaczęłby się niepokoić tym, że tak często ją wspomina.

- Musisz mi doradzić w pewnej sprawie.

- Ja? Dlaczego? - Czasem sugerował coś swojej siostrze, lecz ona nigdy nie słuchała. Becca nie była z nim nawet spokrewniona, więc z jakiej racji miał cierpieć?

Położyła mu dłoń na przedramieniu.

- Ponieważ mi na tobie zależy i sądzę, że tobie zależy na mnie. Ufam ci.

O nie. Gdzieś na karku poczuł ukłucie złego przeczucia. Nadszedł jeden z tych momentów, w których liczyły się subtelność i precyzyjne ucięcie tematu.

- Becca, mam trzydzieści sześć lat. - Był dla niej o wiele za stary.

- Naprawdę? Sądziłam, że więcej. Więcej? Jak to? Nie wyglądał przecież staro.

- I gdyby mój tata wciąż żył, na pewno słuchałby mnie tak uważnie jak ty. I, tak samo jak ty, dawałby mi dobre rady.

- Więc myślisz o mnie bardziej jako o swoim... ojcu?! - Co, do cholery?

Spojrzała na niego, otwierając szerzej oczy.

- Nie, Vince, nie. Raczej jako o starszym bracie. Tak, jak o starszym bracie.

Jasne. Nie czuł się staro, może poza momentami, w których ziąb przenikał go aż do kości i sprawiał, że dłonie mu grabiwały. Był czas, gdy temperatura zdawała się nie mieć na niego żadnego wpływu. Ale to jeszcze nie znaczyło, że się zestarzał!

Saab Sadie wtoczył się na parking i stanął za garbusem, a Vince momentalnie zapomniał o tym, że został porównany do ojca Bekki. Reflektory samochodu zgasły i otworzyły się drzwi. Pomarańczowe słońce wzbudziło złote refleksy we włosach i w szklach ciemnych okularów Sadie. Cała jaśniała blaskiem i urodą.

- Wpadłam po bezołowiową. Co słychać? - zagadnęła.

- Chwilowo mamy zamknięte.

Zatrzasnęła drzwi auta i ruszyła w jego stronę z gracją, której wyuczyła się w szkole dobrych manier; przy każdym kroku jej piersi podskakiwały lekko. Usta wyginały się w delikatnym uśmiechu. Te same usta, z którymi miał bliski kontakt ledwie kilka dni temu. Gorące, wilgotne usta, z którymi znowu chętnie by się zetknął. Ubrana była w białą sukienkę, w której już wcześniej ją widział. Nie miałby nic przeciwko zdarciu jej z Sadie.

- Cześć, Becca.

- Hej, Sadie Jo.

Kobiety uściskały się, jak na rodowite Teksanki przystało.

- Ładna fryzura - pochwaliła Becca, odchylając się.

- Dzięki. Właśnie wracam od fryzjera, musiałam pozbyć się odrostów.

- Wzrok Sadie prześliznął się po włosach

młodszej dziewczyny. - Ty też wyglądasz... uroczo. - Zerknęła na Vince'a. - Długie i krótkie włosy jednocześnie. Sprytne.

- Dzięki. Przygotowuję się do pracy w salonie piękności i w szkole ćwiczymy na sobie nawzajem. Kiedy nabiorę wprawy, mogłabym cię pofarbować.

Ponieważ Sadie wiedziała, że do tego czasu zdąży wyjechać, odparła:

- Fantastycznie.

Becca wygrzebała z kieszeni kluczyki do samochodu i zwróciła się do Vince'a:

- Zajrzę jutro, żeby się przywitać.

- Fantastycznie.

Sadie odwróciła się i obserwowała, jak Becca znika we wnętrzu garbusa, a potem odjeżdża.

- Jak często zagląda, żeby się przywitać?

- Parę razy tygodniowo, w drodze ze szkoły do domu.

- Fryzurę ma fatalną. - Sadie popatrzyła Vince'owi w twarz przez ciemne szkła. - Coś mi się zdaje, że Becca się w tobie podkochuje.

- O, wcale nie.

- Wcale tak.

- Nie, naprawdę. Uwierz mi na słowo.

- Jak to mówimy w Teksasie: ma na ciebie chrapkę. Potrząsnął głową.

- Traktuje mnie jak swojego... - urwał, jakby nie potrafił się zdobyć na dokończenie zdania.

- Brata?

- Ojca.

- Serio? - Przez kilka sekund wpatrywała się w niego w oszołomieniu, a później zaczęła się śmiać. Najpierw z jej gardła wydobył się niski chichot. - To jest przekomiczne. - I na dowód wybuchła niepoahamowanym, niczym nieskrępowanym śmiechem.

- To wcale nie jest aż tak zabawne. - Wsunął dłonie w kieszenie bojówek. - Mam trzydzieści sześć lat. To trochę za mało, żeby być ojcem dwudziestojednoletniej panienci.

Przyłożyła rękę do piersi i wzięła głęboki oddech.

- Praktycznie rzecz biorąc, dałoby się zrobić, staruszkule - zdołała wydusić, nim ponownie gruchnęła śmiechem.

- Skończyłaś już może? Pokręciła głową.

Zmarszczył brwi, by powstrzymać uśmiech, i wbił w nią mordercze spojrzenie. To, które wzbudzało strach w sercach najbardziej zagorzałych dżihadystów. Ale na Sadie nie zrobiło najmniejszego wrażenia, więc pocałował ją, żeby wreszcie się zamknęła. Przycisnął do jej ust wargi, na które też cisnął się uśmiech, aby ukrócić te przejawy rozbawienia.

- Wejdz, napijemy się piwa - zaproponował, nie odsunawszy się ani trochę.

- A co, nudzisz się?

- Już nie.

Rozdział dwunasty

Idąc kilka kroków za Vince'em przez korytarz, Sadie podniosła okulary na czubek głowy. Minęli oświetlone biuro i dotarli do przedniej części budynku. Wzrok Sadie zsunął się od szerokich ramion mężczyzny, odzianych w brązowy T-shirt, po jego plecach, aż do spodni w kolorze khaki trzymających się nisko na biodrach. Wyglądał na trochę spoconego. Spoconego i rozgrzanego. Mogłaby go wziąć tu i teraz.

- Te brązowe koszulki i bojówki to coś w rodzaju munduru?

- Nie. Po prostu łatwo je utrzymać w porządku podczas burzy piaskowej.

Miałoby to chyba sens, jeśli mieszkałby akurat na pustyni obfitującej w burze piaskowe.

- Jak długo będzie nieczynne? - zapytała, kiedy wchodzili do sklepu.

Światła były pogaszone, więc przestrzeń wypełniały cienie i jednostajne mruczenie lodówek. Półki, na których zwykle wystawiano łatwo psujące się towary, świeciły pustkami, lecz chłodziarki wciąż stały pełne.

- Dwa miesiące, chyba że wydarzy się coś niespodziewanego. Zamierzam tu pomalować, położyć nowe kafelki i wstawić inne lady. - Otworzył drzwi jednej z lodówek. - Większość sprzętu jest całkiem nowa. - Wyciągnął ze środka dwie butelki piwa marki Corona. - Poza grillem do kiełbasek. To cholerstwo musi zniknąć. Luraleen twierdzi,

że dzięki niemu hot dogi wychodzą „doprawione”. - Zdjął kapsle. - Ja uważam, że przez niego w końcu doczekamy się pozwu.

Sklepowi faktycznie przydałby się remont. Przez ostatnie dwadzieścia lat praktycznie nic się tu nie zmieniło.

- Kto wykonuje prace? - Przyjęła podaną jej butelkę. - Nie powiem ci, kogo zatrudnić, ale mogę wskazać parę rzetelnych osób.

- Właśnie patrzysz na głównego wykonawcę.

- Ty sam...?

- Tak jest. Ściągnę kilku kumpli, żeby pomogli przy układaniu płytek.

Stała na tyle blisko, że czuła jego zapach - zapach mężczyzny i czystego potu. W szarawym świetle jego popołudniowy zarost stał się bardziej widoczny.

Sadie skończyła kiedyś na uniwersytecie kurs tworzenia mozaik.

- Znasz się na tym?

Wyszczrzył zęby, które błysnęły bielą wśród nakładających się na siebie cieni, i przytknął butelkę do ust.

- Na tym i na wielu innych rzeczach.

Raczej nie powinni roztrząsać tych innych rzeczy, na których świetnie się znał.

- A co porabia twoja ciotka? Przełknął piwo.

- W tej chwili siedzi w Vegas i przepuszcza pieniądze, którymi zapłaciłem za to miejsce. - Odsunął dłoń od ust. - Powoli. Jeden żeton za pięć centów i jeden kieliszek taniej whisky naraz.

- Nie jest zbyt rozrzutna, co?

- Aksamitna sofa w jej mieszkaniu pochodzi z lat siedemdziesiątych, a muzykę ma tylko na kasetach.

Sadie się zaśmiała.

- Muzykę w stylu Conway Tweety i Loretty Lynn?

- Właśnie. - Ujął jej rękę w swoją ciepłą, mocną, szorstką dłoń. - Na razie zajmuję się jej domem, ale kiedy wróci, będę musiał znaleźć jakiś własny kąt. Jeśli zostanę zmuszony do wysłuchania kolejnej piosenki o zdradzie, podczas gdy ona i Alvin baraszkują w jej sypialni, to przysięgam, że strzelę sobie w łeb.

Pociągnął ją za sobą przez korytarz do biura. Na podłodze walały się gwoździe i drzazgi, a na ścianach, w miejscach, gdzie uprzednio wisiały szafki, odcinały się fragmenty w innym kolorze. Leżały tu też oliwkowe blaty, obłupany zlew i ostatnia z szafek. Na starym drewnianym biurku spoczywała para okularów ochronnych, zaś o jego nogę opierał się wielki miot.

- Alvin Bandy? - Sadie zatrzymała się na środku pokoju, a jej dłoń wysunęła się bezwładnie z jego uścisku. -Znam go! Taki niski, z dużym wąsem i wielkimi uszami?

- Właśnie tak.

- O mój Boże. Przez pewien czas pracował u taty, kiedy jeszcze mieszkałam na ranczu. - Napiała się piwa. - Nie jest taki stary... Pewnie jakoś po czterdziestce, za to Luraleen ma... ile?

- Wydaje mi się, że sześćdziesiąt osiem.

A Lily Darlington martwiła się, że to ją posądzą o upodobanie do młodszych!

- Ja cię kręcę. Wiem, że niektóre kobiety bywają zdesperowane. - Pokręciła głową, myśląc o Sarah Louise Baynard-Conseco. - Ale nie miałam pojęcia, że mężczyźni też osiągają taki stan. Kurczę, to naprawdę wstętnie. - Urwała nagle. - Och. Przepraszam. Luraleen to w końcu twoja ciotka.

Uniósł jedną brew.

- A Alvin nie jest jej jedynym chłopakiem. Zszokowana Sadie wciągnęła powietrze.

- Jest po prostu najmłodszym z nich. Ma ich kilku.

O Panie!

- Kilku? - Przysiadła na skraju biurka. - Ja nie miałam faceta od prawie roku, a Luraleen ma ich kilku. O co tu chodzi?

Wzruszył jednym potężnym ramieniem.

- Może ty masz jakieś standardy. Sadie zachichotała.

- Nie mówiłbyś tak, gdybyś poznał mojego ostatniego chłopaka.

- Frajer?

- Nudziarz. - Wzruszyła ramionami. - A ty, przypominasz ciocię? Zwodzisz obietnicami parę kobiet równocześnie?

- Nie. Ja nikogo nie zwodzę.

Wierzyła mu. Na zabawie z okazji Dnia Założyciela przyznał, że utrzymywanie związków nie należało do jego mocnych stron.

- Byłeś kiedyś z jakąś dziewczyną na poważnie? Może się zaręczyłeś?

- Nie. - Pociągnął z butelki.

Temat zamknięty. Chętnie zapytałaby o przyczyny takiego stanu rzeczy, ale Vince nie wyglądał, jakby miał ochotę się wywnętrzać.

- Luraleen to siostra twojej matki czy ojca? - zapytała więc zamiast tego.

- Matki, ale zupełnie nie były do siebie podobne. - Oparł się biodrem o jedyną ladę, która jeszcze stała. - Moja mama była bardzo pobożną osobą. Po tym, jak ojciec nas zostawił, jej wiara jeszcze się pogłębiła.

Jej tata przynajmniej nigdy jej nie porzucił.

- Kiedy odszedł?

- Jak miałem dziesięć lat. - Łyknął piwa, a potem opuścił dłoń z butelką. - Moja siostra skończyła wtedy pięć.

- Utrzymujesz z nim kontakt?

Postukał się butelką w udo, jakby nie potrafił odpowiedzieć na to pytanie. Jego wzrok prześliznął się po twarzy Sadie, nim wyjaśnił:

- Rozmawiałem z nim parę miesięcy temu. Zadzwoił do mnie po dwudziestu sześciu latach milczenia i zniecka chciał się ze mną zobaczyć.

- I spotkałeś się z nim? Skinął głową.

- Mieszka w północnej Kalifornii. Jego ostatnia żona właśnie go opuściła, zabierając ze sobą najświeższą grupkę dzieciaków, więc chyba wtedy przypomniał sobie, że spłodził jeszcze jakiegoś syna. - Wycelował w siebie butelką. -Mnie.

W porównaniu z tamtą nocą, którą razem spędzili, wydawał się teraz wcieleniem gadatliwości.

- Spotkałem się z nim i wysłuchałem historii jego życia i całej listy problemów. Zaprzętały mnie wówczas kwestie przebaczenia i inne podobne pierdoły, ale po godzinie tej litanii miałem dość i wyszedłem.

- Już po godzinie? - To niezbyt wiele czasu po tylu latach rozłąki.

- Gdyby choć zapytał o moją siostrę albo jej syna, zostałbym dłużej. - Mięśnie jego szczęki się napięły, a jasnozielone oczy zwęziły nieco i w tym momencie Sadie dostrzegła przebłysk wojownika drzemiącego w Vinsie Havenie. Komandosą SEAL z karabinem maszynowym przewieszonym przez pierś i wyrzutnią pocisków raketowych na ramieniu. - Jakim dupkiem trzeba być, żeby słowem nie wspomnieć o własnej córce i wnuku? - Uniósł butelkę. - Pierdolić go.

A Sadie pomyślała, że stoi przed nią człowiek z problemami.

Odjął napój od ust, a piwo spieniło się i odrobina spłynęła po szyjce.

- Stary kumpel powiedział mi kiedyś, że czasami musimy komuś przebaczyć, żeby móc uporządkować własne życie i pojednać się z samym sobą. Gdyby ojczulek zapytał o Connera, pewnie dałbym mu szansę. Z wiekiem łagodnieję.

Przygryzła policzek, by się nie uśmiechnąć. -Co?

- Nic. Conner to twój siostrzeniec?

- Tak. Właśnie skończył sześć lat. Jest naprawdę bystry i zabawny, a ostatnio wysłał mi obrazek przedstawiający mnie i moje auto. Uwielbia rysować.

A Vince za nim tęsknił. Nie musiał tego mówić, wszystko dało się wyczytać ze smutku obecnego w jego oczach i głosie.

- Twoja siostra wie, że ojciec się z tobą skontaktował? Potrząsnął głową.

- I nie zamierzam jej o tym informować. - Zaśmiał się bez odrobiny wesołości. - A na ironię losu zakrawa fakt, że gdyby staruszek wiedział, za kogo Autumn wychodzi, natychmiast przypomniałby sobie, że ma też córkę.

- A za kogo wychodzi? - Księżę William był już zajęty, ale Harry ciągle do wzięcia.

- Wraca do swojego sukinyńskiego byłego męża, Sama Leclaire.

To nazwisko coś jej mówiło.

- Zawodowy hokeista z drużyny Seattle.

Sadie postukała się czubkiem butelki w podbródek.

- Hmm - mruknęła w zamyśleniu. Często wybierała się na mecze Kojotów, zespołu hokejowego z Phoenix, w szczególności zaś była fanką Eda Jovanowskiego. - Taki duży facet? Nawet jak na zawodnika. Lubi ostrą grę? Spędza sporo czasu na ławce kar? Jasne włosy? Seksowny?

- Opis się zgadza. Poza tym ostatnim elementem.

- Widziałam go w meczu przeciwko Kojotom, parę miesięcy temu. - Odstawiła napój na blat obok swojego

uda, a ponieważ zielone oczy Vince'a nieco się zwięzły, a ona uważała, że poirytowany staje się jeszcze przystojniejszy, dodała z naciskiem: - Jest nieziemsko seksowny. Albo, jak to mawiamy w Teksasie, tak gorący, że aż parzy, jak tyłek kozy w ostrym sosie.

- Jezu.

- Czyli bardzo gorący. - Wygięła usta w podkówkę z udawanym zmartwieniem. - Nie smuć się.

Zmarszczył brwi, unosząc butelkę do ust, ale Sadie wątpiła, by naprawdę się przejął. Była przekonana, że jego ego wytrzymało ten cios.

- Nie martw się. - Pokręciła głową i zachichotała. - Ty też jesteś bardzo seksowny... jak na gościa, który mógłby być ojcem Bekki.

Opuścił dłoń, nie zdążywszy się napić.

- Znów dostaniesz ataku śmiechu z tego powodu?

- Możliwe. To nigdy nie przestanie mnie bawić. Wstała i chwyciła stylisko młota do wyburzania.

- Co zamierzasz z tym zrobić?

- Boisz się? - Spróbowała podnieść narzędzie jedną ręką. Ledwie drgnęło.

- Umieram ze strachu.

- Ile to coś waży?

- Dziesięć kilo. - Przysunął się do niej i obok jej piwa odstawił swoje.

Sadie ujęła stylisko w obie dłonie i uniosła młot o jakieś trzydzieści centymetrów nad ziemię.

- Za pomocą tej zabawki mogłabym wyrządzić mnóstwo szkód i wyrzucić z siebie sporą dawkę frustracji.

Jedną ręką odebrał jej młot i bez wysiłku rzucił go za siebie. Uderzył o podłogę z głuchym łoskotem.

- Znam lepszy sposób na pozbycie się frustracji. - Vince zsunął dłonie do jej talii i przyciągnął jej biodra do swoich.

Uniosła twarz i spojrzała prosto we wpatrujące się w nią intensywnie oczy Vince'a.

- Co masz na myśli? - spytała, mimo że gdzieś w okolicach miednicy doskonale czuła, co dzieje się w jego głowie.

- Wyrządzanie szkód. - Pochylił się i oparł czołem o jej czoło. - Mnóstwa szkód.

Gorąco zaległo się w głębokiej jamie jej brzucha, a potem sięgnęło ud. Chciała przycisnąć do siebie jego ciało. Poczuć jego skórę przy swojej. I to właśnie dlatego przyjechała na Gas and Go. Paliwo mogła przecież równie dobrze kupić w Amarillo albo na stacji po drugiej stronie miasta. Złapała skraj jego koszulki i wyszarpnęła zza paska spodni.

- Ostatnie parę dni było naprawdę ciężkie - ostrzegła go, podczas gdy jej dłonie wśliznęły się pod materiał, dotykając ciepłej, wilgotnej płaszczyzny jego umięśnionego brzucha. - Nie chciałabym ci zrobić krzywdy, Vince.

- Staraj się, jak możesz - odszepnął z ustami tuż przy jej wargach, tak że miała wrażenie, jakby wciągała go do płuc wraz z powietrzem. Jakby odetchnęła drżącym w nim pragnieniem, równie płomiennym jak jej własne. Pocałunek okazał się zaskakująco delikatny, niemal słodki, gdy tymczasem do górnych partii jej ud Vince przyciskał mocno swoją erekcję. Pożądanie wezbrało w niej i zawrzało, i rozchyliła usta pod naporem jego warg. Pocałowała go, żarłocznie i niecierpliwie. Nie mogła doczekać się, by znów dał jej to co kilka dni temu. By wypełnił pustkę jej ciała, jeżeli już nie serca.

Chciała go dotykać i żeby on dotykał jej. Żeby odnalazł jej najbardziej samotne zakamarki, lecz nawet gdy spełniał jej najskrytsze marzenia, pamiętała, aby nie pragnąć go zbyt mocno. Wyraził się bowiem zupełnie jasno: jedyne, na czym mu zależało, to seks. Bez kolacji. Bez wyjść do kina. Bez gadania. I w tej chwili w pełni podzielała jego punkt widzenia.

Rozebrał ją do majtek i posadził na biurku. Wsunął się między jej nogi, a jego dłonie i usta powędrowały ku jej piersiom. Wygięła się w tył i oparła rękami o blat. Jego ciepły, śliski język doprowadzał ją do szaleństwa, a kiedy gorące, wilgotne usta wreszcie zamknęły się wokół jej sutka, Sadie jęknęła, a głowa opadła jej w tył.

Nie kochała go, lecz kochała wszystko, co z nią robił. Kochała jego dotyk i sposób, w jaki ją całował, a kiedy w nią wszedł, uznała, że to kocha najbardziej. Oparła stopy o biurko, a on spojrzał na nią z góry; pożądanie sprawiło, że jego zielone oczy zwięziły się, a wargi rozchyliły. Chwycił ją za kolana, wbijając palce w jej skórę. Poruszył się w niej, wsuwając się głęboko i docierając wszędzie tam, gdzie należało. Jego rozbudowana klatka piersiowa unosiła się, gdy wciągał powietrze do potężnych płuc.

Ciepły, łaskoczący orgazm zrodził się w palcach jej stóp i rozszedł po całym ciele. Przepływał w górę i w dół, przenikał ją do szpiku kości, a kiedy jego magia ustała, na jej ustach pozostał uśmiech.

- *Hu-jaa.*

Firanki falowały lekko, gdy chłodna wieczorna bryza wpadała do sypialni Sadie przez otwarte okna. Lampka na nocnej szafce rzucała przyjemne, ciepłe światło na łóżko, opromieniając miękkie ramię Sadie i połowę jej gładkiej twarzy. Vince zsunął dłonie na jej nagi brzuch i przyciągnął ją do swojej piersi.

- Śpisz? - zapytał, gładząc kciukiem jej skórę.

- Nie. - Zaprzeczyła ruchem głowy i ziewnęła. - Ale jestem totalnie wypluta. Matko, czyja właśnie powiedziałam „wypluta”?

Uśmiechnął się i pocałował ją w szyję. Sam nie był w najmniejszym stopniu zmęczony. Po tym, jak opuścili Gas and Go, wstąpił po pizzę do knajpki o nazwie Pizze i Maka-

rony Lovert, a potem znów spotkał się z Sadie na ranczu. Zjedli, a następnie kochali się w wannie, co okazało się wcale niełatwe, ale jakoś sobie poradzili. Po wszystkim Vince siedział i obserwował, jak Sadie suszy włosy i smaruje łokcie i stopy balsamem. Pachniał cytrynami.

- Cholernie się napracowałam przy tych sukienkach - oznajmiła mu, siedząc na białym łazienkowym krześle i wcierając krem w pięty. Miała na sobie różowe majtki, a Vince przycupnął na brzegu wanny, ubrany w swoje bojówki. Chyba nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się po prostu przyglądać, jak kobieta wmasowuje w siebie balsam. A był to całkiem ładny widok. - Nie przypominam sobie, żebym ja kiedykolwiek tak wydziwiała w kwestii sukienki. Wiem, że studniówka to ważna sprawa, ale bez przesady!

Vince wciąż nie do końca rozumiał, jak to się stało, że Sadie zaczęła pracować dla Deeann Gunderson. Może gdyby nie opowiadała tej historii niemal nago, podczas gdy te różowe majteczki ledwie zakrywały to, co różowe pod nimi, może wtedy udałoby mu się skupić na jej słowach.

- Te dziewczyny zachowywały się, jakby przyszły do salonu Very Wang. - Zerknęła na Vince'a i wycisnęła trochę kremu na rękę. - Za ten stan rzeczy winię Rachel Zoe.

- Kogo? - Uniósł nieco wzrok i postarał się uważać.

- Stylistkę gwiazd, Rachel Zoe? Tę, która ma swój własny program na kanale Bravo? Dostaje niesamowite markowe suknie i buty? Jej i jej mężowi, Rodgowi, właśnie urodził się synek? Coś ci to wszystko mówi?

Potrząsnął głową i podrapał się po odsłoniętej piersi. To tyle zyskał na szczyrych próbach zwiększenia koncentracji.

- Jest jakby Martha Stewart w świecie ubrań i dodatków. Ma doskonale wyczucie stylu i świetny gust i przy niej wszyscy pozostali czują się jak banda niegodnych flejtuchów. - Znów na niego popatrzyła i westchnęła. - Nie mów mi tylko, że nigdy nie słyszałeś o Marcie Stewart.

- To ta kobieta, która odsiedziała wyrok w więzieniu federalnym? Słyszałem o niej.

Spojrzała na niego znacząco.

- Jest bardziej znana ze względu na swoje fantastyczne ciasta.

Jego wzrok ześliznął się z kolei ku fantastycznym piersiom Sadie. Zatrzymał się na małych różowych sutkach, które idealnie pasowały do jego ust. Miała piękne ciało, bardzo kobiece, i nie wstydziła się nagości. I to mu się w niej podobało. A także to, że była pewna siebie i otwarta na seks na biurku w zniszczonym gabinecie. I to, że nie bawiła się w żadne gierki. A poza tym, jakkolwiek mogło się to wydawać hipokryzją ze strony faceta, który przespał się z całym szeregiem przypadkowych kobiet, podobał mu się fakt, że Sadie nie włóczyła się po barach, szukając przygód z przypadkowymi mężczyznami. A przynajmniej on nic o tym nie wiedział.

W ogóle lubił całe mnóstwo jej cech. To, że pomimo trudnych relacji z ojcem została dla niego w mieście i odwiedzała go każdego dnia. I to, że często się śmiała. Czasami z niego. I - co najbardziej zaskakujące - to, że zawsze wypełniała ciszę gadaniem, nawet jeśli Vince słuchał niezbyt uważnie. Jak teraz, kiedy wyciskała balsam i wcierała go w delikatną skórę wewnętrznej strony ud. Rany boskie. Pachniała cytryną. Lubiał cytrynę. Lubiał też wewnętrzną stronę ud.

- Vince?

- Tak? - Spojrzał w jej kierunku.

- Zadałam ci pytanie.

Został wyszkolony przez najdoskonalszą armię świata. Potrafił skupić się na kilku rzeczach naraz, jeśli tylko się postarał.

- Jakie?

Przewróciła oczami.

- Czy zawsze krzyczysz „*hu-jaa*”, kiedy masz orgazm?

Jak w takim tempie przeszli od ciast do orgazmów?

- Krzyczę „*hu-jaa*”?

- No, to brzmi bardziej jak jęk. Pierwszy raz słyszał.

- To żenujące.

- Nikt ci nigdy nie mówił? Pokręcił głową i wstał.

- Może „*hu-jaa*” zarezerwowane jest wyłącznie dla ciebie. - Zbliżył się do niej, stawiając parę kroków na łazienkowych kafelkach. - A czy ty podczas orgazmu zawsze zawodzisz jak arabska kobieta?

Roześmiała się i uniosła na niego wzrok.

- To dopiero żenujące. Nikt mi o tym wcześniej nie wspominał.

Uklęknął między jej nogami i przesunął dłońmi w górę po jej gładkich nagich udach. Koniuszki jego palców otarły się o elastyczną tkaninę jej majtek.

- Może nikt poza mną nie umiał odpowiednio zabrać się do rzeczy.

Wciągnęła gwałtownie powietrze i zatrzymała je w płucach.

- Więc najwyraźniej tylko ty sprawiasz, że zawodzę.

- *Hu-jaa*. - Poglądził kciukami cienką bawełnę, a ustami zaczął pieścić jej pierś. Lizał i ssał, aż jej sutki stwardniały, a potem opuścił głowę i ukrył twarz między jej nogami. Odciągnął na bok pasek materiału z jej bielizny i tam też lizał ją i ssał.

- Vince. - Nie zawodziła. Nie wrzeszczała ani nie wyła. Tylko ten jęk, jego imię wymówione miękko w ciszy pomieszczenia. Znak przyjemności, którą odczuwała, równie słodki jak jej smak. Kiedy w nią wszedł, ujął jej twarz w dłonie i patrzył, jak jej wargi rozchylają się z rozkoszy. Czuł, jak ta sama rozkosz ściska jego penisa, jak kurczy się i pulsuje, wzmagając jego własną przyjemność.

Ugryzł ją lekko w ramię.

- Zostawię cię i pozwolę ci się wyspać. Ziewając, zaproponowała w ciemności:

- Możesz zostać, jeśli chcesz.

Nigdy nie zostawał. Zbieranie się o poranku zawsze było bardziej kłopotliwe niż wymknięcie się nocą.

- Mógłbyś odjechać, zanim dotrą tu siostry Parton albo poczekać na nie, a wtedy zrobią ci śniadanie.

- Myślisz, że nie wyszłoby niezręcznie? Wzruszyła ramionami.

- Twój samochód stał przed domem przez dwie ostatnie noce, więc podejrzewam, że wszyscy na ranchu już i tak o tobie wiedzą. Co ja mówię, pewnie wiedzą wszyscy w hrabstwie. Poza tym mam trzydzieści trzy lata, Vince. Jestem dorosła.

Nawet jeśli samo spędzenie tu nocy nie okazałoby się kłopotliwe, to zerwanie się z krzykiem i szaleństwem w oczach już na pewno tak. Gdy pierwsz Sadie zaczęła unosić się w spokojnych, równych oddechach, Vince podniósł się z łóżka i włożył ubranie. Zamknął okno i sprawdził, czy zasuwka dobrze trzyma, a potem spojrzał na Sadie jeszcze ostatni raz, nim przemaszerował przez pokój i zbiegł po schodach. Przekręcił zamek w gałce przy drzwiach wejściowych, by te się za nim zatrzasnęły, i upewnił się, że Sadie jest w środku bezpieczna. Mniej by się martwił, gdyby miała system alarmowy i magnum .357 w szufladzie przy łóżku.

Miliony gwiazd tłoczyły się na bezkresnym teksańskim niebie, podczas gdy Vince kroczył w stronę swojego trucka, odpalał silnik, a potem kierował się pylistym traktem w stronę głównej drogi. Myślał o Gas and Go i wszystkim, co go jeszcze czeka, nim będzie mógł zabrać się za poważne prace remontowe. Gdyby nie Sadie, skończyłby wyburzanie w biurze już dzisiaj, dałby nawet radę z połową lady w części sklepowej. Ale od momentu gdy wysiadła z samochodu,

a słońce rozbliło w jej włosach, wiedział doskonale, że nie zrobi dzisiaj nic więcej poza wyskoczeniem z ciuchów.

Z jego telefonu wrzuconego do wglębienia na kubek wydobyły się dźwięki piosenki Billy'ego Idola *White Wedding*. Vince się uśmiechnął. W Teksasie dochodziła północ. W Seattle dziesiąta. Wcisnął guzik na kierownicy, odbierając przez zestaw samochodowy.

- No hej.

- Cześć, Vinny. - Głos jego siostry wypełnił kabinę. Nikt poza nią nie zwracał się do niego per Vinny. - Za późno, żeby dzwonić?

Jak widać, nie.

- Co tam słyszeć?

- Nic nowego. A jak ci się wiedzie z tą stacją?

- Jak dotąd całkiem nieźle. - Przedyskutowali jego plany związane z prowadzeniem interesu i ponownym otwarciem. - Luraleen wciąż siedzi w Vegas - dodał Vince. - Zastanawiam się, czy sobie kogoś znajdzie i poprosi sobowtóra Elvisa, żeby udzielił im ślubu.

- Bardzo śmieszne. Ha, ha.

Taak, teraz go to bawiło. Sześć lat temu, gdy Autumn i jej były pobrali się w Vegas, nie tak bardzo.

- Jak Conner?

- W porządku. Rok szkolny kończy się za miesiąc i trochę. - Vince skręcił na utwardzoną drogę, a jego siostra dodała: - Tęskni za tobą.

Serce mu się ścisnęło. Pomagał w wychowywaniu siostrzeńca, jeszcze parę miesięcy wstecz widywał go prawie każdego dnia, ale nie był jego tatą. I choć tak bardzo nienawidził Sama Leclaire, to jednak miłość do Connera przeważała. Wyjechał, żeby Sam łatwiej się wpasował i mógł przejąć rolę ojca, którego chłopiec tak strasznie potrzebował. Gdyby został, on i Sam ścieliby się już nieraz.

- Conner pyta, kiedy wracasz do domu.

Do domu? Nie miał pojęcia, gdzie znajdowało się to miejsce.

- Nie wiem. Dużo się tu dzieje.

- Masz na myśli sklep? Zarzucała wędkę.

- Tak, właśnie tak.

- A może jakąś przyjaciółkę?

Zaśmiał się. Jego siostra uważała go za świetnego faceta i nie pojmowała, dlaczego nie nadaje się na partnera z prawdziwego zdarzenia. Wiedziała naturalnie, że nie wiąże się na długo. Nie rozumiała tylko powodów tego stanu rzeczy.

- Doskonale wiesz, że zawsze znajdę sobie jakieś przyjaciółki. - Choć w chwili obecnej spotykał się tylko z jedną przyjaciółką, i to mu pasowało. Sadie Hollowell w żadnym razie go nie nudziła. - Szykują się jakieś duże imprezy?

- Mój ślub. Ach, no tak.

- To już za kilka miesięcy, Vin.

Był tego świadom. Po prostu wolał nie pamiętać.

- Nadal planujecie zorganizować całą uroczystość na Maui?

- A ty nadal musisz się pojawić.

Cholera. Wolałby już zarobić kopniaka w jaja.

- Mam wypożyczyć smoking?

- Nie, ja się wszystkim zajmę. Przywieź tylko własny tyłek. Ach, Vin?

-Tak?

- Chcę, żebyś odprowadził mnie do ołtarza.

Vince wyrzwał przez okno. Odprowadzić Autumn do ołtarza? I oddać ją temu niegodnemu sukinsynowi? Boże, jakże on go nienawidził. Z pasją, która chyba nie mogła być zdrowa.

- Tata odszedł przeszło dwadzieścia lat temu, na niego nie mam co liczyć. Chcę, żeby go zastąpił mój starszy brat.

- Ale on nie chciał. Boże, sama myśl o tym zdawała mu się koszmarna.
- Proszę, Vin.

Zamknął oczy i zacisnął szczęki.

- Nie ma problemu. - Popatrzył na szosę oświetloną reflektorami samochodu. - Co tylko sobie zamarzysz, Autumn.

Co oznaczało, że przed weselem będzie musiał pogodzić się z Sukinsynem. Szlag.

Rozdział trzynasty

W supermarkecie w Amarillo Sadie znalazła kilka par antypoślizgowych skarpet w podkowy. Jej tata wciąż zrzędził i marudził, że nic mu nie potrzeba, ale zauważyła, że podczas każdej wizyty nosi ciepłe skarpetki, które mu kupiła.

Wstąpiła też do salonu Victoria's Secret i zaopatrzyła się w czarny koronkowy stanik i majtki do kompletu. Poprzedniej nocy Vince nie wyglądał na znudzonego - jeszcze. A jeśli chodziło o nią... cóż, niebezpiecznie zbliżała się do granicy między lubieniem go a lubieniem go za bardzo. Między czerpaniem radości z seksu a pomyleniem tego uczucia z innym. Takim, które wykraczało poza sferę dwóch ciepłych ciał zetkniętych we wszystkich właściwych miejscach. Poza fakt, że Vince bez pytania wiedział, gdzie jej dotknąć. Poza obezwładniające pragnienie jego pieszczot, które nie słabło, aż oboje nie mieli dość.

Wczoraj, siedząc w łazience i patrząc na niego, przycupniętego na brzegu wanny i obserwującego ją, niemal doszła do wniosku, że nadal wcale nie ma dość. Jego oczy rozpalone ciekawością, śledzące jej ruchy podczas wcierania balsamu. Tego wieczoru kochali się już dwukrotnie, a on wciąż chciał więcej. Nie zamierzała wspominać o tym, że jęczy „*hu-jaa*”. Mówiła o czymś zupełnie innym. Nie pamiętała już nawet, co to było, wiedziała tylko, że w pewnej

chwili jej mózg jakby stopił się pod jego spojrzeniem i ona także zapragnęła jeszcze. To z tego powodu sprawiła sobie nową bieliznę. Nie żeby przez najbliższe cztery dni miała ją włożyć. Dziś rano zaczął jej się okres, co zawsze witała z ulgą albo rozdrażnieniem, zależnie od swej aktywności seksualnej w ostatnim czasie, nieważne, jak bardzo uważała zawsze w kwestii kondomów.

Nie mogła wiedzieć z całą pewnością, czy Vince w ogóle zobaczy ten nowy seksowny zestaw. Miała taką nadzieję. Lubiała go, ale w życiu nic nie było zagwarantowane. Szczególnie że żyła teraz w zawieszaniu. Nie planowała zostawać w Lovett na dłużej, przynajmniej nie w najbliższym czasie. I z tego co wiedziała, Vince również się na to nie nastawiał. Nie tworzyli więc żadnej pary - cieszyli się tylko sobą nawzajem, a jak długo to potrwa, to się okaże.

Kiedy późnym rankiem weszła do szpitala, zastała ojca śpiącego. Minęła dopiero jedenasta, więc skierowała się do dyżurki pielęgniarek. Dowiedziała się, że tata ma lekką gorączkę. Poddawano go uważnej obserwacji, ale podobno nie było powodu do niepokoju. Za to od czasu wypadku w jego płucach zbierał się płyn, czym już należało się martwić. Sadie zapytała o to pielęgniarki, które poinformowały ją, że w tym względzie nie zaszły żadne zmiany.

Usiadła na krześle przy łóżku ojca i odepchnęła się nogami, żeby ustawić się w lepszej pozycji do oglądania programów telewizyjnych nadawanych w paśmie południowym. Przed wypadkiem nie była właściwie świadoma istnienia takiej telewizji, lecz teraz wciągnęła się w te inscenizowane seriale sądowe i zamiast przejmować się własnymi problemami, podpatrywała beznadziejne życie innych.

Zabrzęczał telefon, a nie odzywał się już od tak dawna, że teraz wyjęła go z torebki i przez kilka chwil wlepiła w niego oczy. Wiadomość przyszła z nieznanego numeru; Sadie wdu-

siła kciukiem przycisk skrzynki odbiorczej. Czekał tam jeden SMS złożony z trzech słów: „Zdażyłaś się znudzić?”.

Ściągnęła brwi. Vince. Na pewno on. Kto inny zwracałby się do niej z takim pytaniem? Ale jak zdobył jej numer? Nigdy mu go nie podawała, a on z całą pewnością o to nie prosił. „A kto pyta?”, odpisała i odłożyła telefon na szafkę nocną, obok żółtych stokrotek. Spojrzała na tatę. Nie zauważyła żadnych zmian w jego wyglądzie, ale zazwyczaj o tej porze już nie spał i zamęczał wszystkich swoim zrzędzeniem. Przemknęło jej przez myśl, by dotknąć jego czoła, ale nie chciała ryzykować, że go zbudzi i zbierze burę.

Skupiła się ponownie na *Rozprawie rozwodowej* i z politowaniem pokręciła głową nad głupotą niektórych kobiet. Jeśli spotykasz się z gościem po raz pierwszy i widzisz, że jego „terenowa bryka” stoi przed domem na ceglach, powinnaś się spodziewać, że nie jest to dobry materiał na męża. Facet musiał spełniać parę zasadniczych warunków. Posiadanie opon w wyposażeniu wozu należało do wymagań bardziej niż podstawowych.

Znów rozległ się sygnał SMS-a, więc otworzyła skrzynkę i przeczytała: „Jak wielu mężczyzn troszczy się o to, żebyś się nie nudziła po nocach?”.

Roześmiała się i zerknęła na tatę, sprawdzając, czy go nie obudziła. Zignorowała uczucie lekkiego ucisku w żołądku na myśl o Vinsie i jego zielonych wpatrujących się w nią oczach. „W tej chwili... jeden”. Wysłała wiadomość, a po chwili otrzymała odpowiedź: „Jeżeli ten jeden ma, co trzeba, to w zupełności wystarczy”.

Uśmiechnęła się. Naprawdę go lubiła. Odpisała jednym słowem: „Hu-jaa”. Jej ojciec poruszył się we śnie, więc znów na niego zerknęła. Clive podrapał się po cienkich białych włoskach pokrywających jego policzki, a telefon Sadie zapiszczał po raz kolejny.

„A teraz, nudzisz się?”, przeczytała.

„Przykro mi, przez następne kilka dni będę wyłączona z obiegu". Miała nadzieję, że zrozumie i nie będzie musiała zagłębiać się w szczegóły.

Kilka minut później nadeszła kolejna wiadomość: „Twoje usta też są wyłączone z obiegu?"

Wciągnęła powietrze, a jej kciuki w furii skakały po maleńkiej klawiaturze. „To ma być jakiś żart?", napisała. Co za palant. „Nie mam zamiaru ci obciążać tylko dlatego, że zaczął mi się okres". Co za dupek. A ona go lubiła! Zdawało jej się, że ma do czynienia z dojrzałym człowiekiem.

Po paru minutach znów odpisał. „Chciałem zapytać, czy wybierzesz się ze mną na lunch. Z jakimi facetami ty się umawiałaś do tej pory?"

Och. Teraz zrobiło jej się głupio. „Wybacz. Jestem cała obolała i w kiepskim nastroju". Co nie było prawdą. W tej kwestii miała dużo szczęścia i okres nigdy nie wiązał się z przykrymi objawami. Ojciec znów się poruszył, napisała więc ostatnią wiadomość, nim odłożyła telefon na bok. „Z lunchem nie da rady. Odezwę się później".

Ujęła dłoń taty spoczywającą na brzegu łóżka. Była cieplejsza niż jej własna i sucha. Albo, należałoby powiedzieć, suchsza niż normalnie u mężczyzny, który spędził całe życie na równinach północnego Teksasu. Uchylił powieki.

- Cześć, tato. Jak się czujesz?

- Jak nowo narodzony - odparł jak zwykle. Gdyby krew tryskała mu z rozerwanej tętnicy szyjnej, też pewnie twierdziłby, że czuje się nieźle. - Znów tu jesteś -dodał.

- Jak co dzień. - I jak co dzień zapytała: - Gdzie miałabym być?

- Gdzieś, gdzie mogłabyś zajmować się własnymi sprawami, żyć - odrzekł, jak zawsze. Ale niespodziewanie uzupełnił: - Nigdy nie chciałem dla ciebie takiego życia, tutaj, w Teksasie. Nie zostałeś do tego stworzona.

Wreszcie to z siebie wyrzucił. Nie uważał, żeby mogła sobie tu poradzić. Serce ścisnęło jej się boleśnie i opuściła wzrok na zawijasy zdobiące płytki podłogowe.

- Zawsze pragnęłaś zajmować się czymś innym. Czymkolwiek, byle nie hodowlą bydła.

Tak było. I może to wciąż odpowiadało prawdzie. Mieszkała w mieście już od półtora miesiąca, a nie wykonała ani jednego kroku w stronę zastąpienia ojca i przejęcia jego obowiązków na ranchu.

- Jesteś jak ja. Uniosła głowę.

- Ty kochasz to rancho.

- Pochodzę z Hollowellów. - Zakaszłał, rzeżąc trochę, a Sadie zawahała się, czy nie wcisnąć guzika wzywającego pomoc. - Ale nienawidzę tego przeklętego bydła.

Nagle zapomniała o brzmieniu jego kaszlu i przywoływaniu pielęgniarki. Znieruchomiała zupełnie, jakby ojciec właśnie oznajmił jej, że Ziemia jest płaska i gdzieś w okolicach Chin możesz przelecieć przez krawędź i wpaść w otchłań. Jakby wyznał, że nienawidzi Teksasu. Jakby stracił rozum. Wypuściła powietrze i przytknęła dłoń do piersi.

- Co takiego?

- Głupie, śmierdzące zwierzaki. Nie to co konie. Krowy nadają się tylko na stek. - Odchrząknął i westchnął. - Steki lubię, nie zaprzeczam.

- Skórzane buty też są w porządku - wykrztusiła z trudem. Mężczyzna wyglądał jak jej tata. Te same siwe włosy, długi nos i niebieskie oczy. Ale gadał, jakby kompletnie zwariował. -1 torebki.

-1 kowbojki.

Podniosła w górę skarpetki, które mu przyniosła.

- Mam coś dla ciebie - oświadczyła, wciąż oszołomiona.

- Aleja niczego nie potrzebuję.

- Wiem. - Wręczyła mu prezent.

Zmarszczył brwi, dotykając antypoślizgowych podeszew.

- Może i się przydadzą...

- Tato? - Popatrzyła na niego i nagle odniosła wrażenie, że świat faktycznie jest płaski, a ona się z niego ześlizguje. - Skoro nienawidzisz bydła, to dlaczego zostałeś ranczerem?

- Jestem Hollowellem. Jak mój tata i jego tata, a przed nim mój pradziadek. Wszyscy Hollowellowie byli ranczera-mi, odkąd John Hays Hollowell kupił swoją pierwszą krowę.

Znała tę historię i podejrzewała, że wie też, jaka będzie odpowiedź na jej następne pytanie. Ale i tak je zadała:

-1 nie myślałeś nigdy, żeby robić coś innego?

Jego zmarszczone oblicze jeszcze bardziej się nachmurzyło i Sadie nie zdziwiłaby się wcale, gdyby zmilczał albo zmienił temat, jak zawsze, kiedy próbowała prowadzić z nim potencjalnie niewygodne dyskusje. Ale nie. Zapytał:

- Co na przykład, mała?

Wzruszyła ramionami i założyła włosy za uszy.

- No nie wiem. Gdybyś nie urodził się jako Hollowell, to czym byś się zajął?

Jego szorstki, chrypliwy głos nabrał tęsknej nuty.

- Zawsze marzyłem, by zostać kierowcą ciężarówki. Dłonie Sadie opadły bezwładnie na kolana. Nie miała pojęcia, czego się spodziewała, ale na pewno nie tego.

- Kierowcą ciężarówki?

- Królem szosy - poprawił, jakby w wyobraźni przeżywał spełniające się marzenie. - Podróżowałbym po całym kraju. Zobaczył całe mnóstwo różnych miejsc. Zakosztował najróżniejszych doświadczeń. - Przekręcił głowę, aby na nią spojrzeć. Po raz pierwszy Sadie odniosła wrażenie, że między nią a mężczyzną, który powołał ją na świat i wychował, zawiązała się nić porozumienia. Trwało to tylko chwilę, a potem ojciec odwrócił wzrok i wszystko minęło.

- Ale w końcu na pewno przywędrowałbym z powrotem. - Jego głos odzyskał zwykłe brzmienie. - Jestem Teksaszczykiem. Tu mam swoje korzenie. No i gdybym podróżował, na pewno nie udałoby mi się wyhodować tylu wspaniałych koni.

A Bóg świadkiem, kochał konie ponad wszystko.

- Pewnego dnia to zrozumiesz.

Zdawało jej się, że wie, o co tacie chodzi, ale nieraz już ją tego dnia zaskoczył.

- Że łatwiej się włóczyć po świecie, gdy ma się kotwicę. Czasami taka kotwica stanowiła brzemień ściągające na dno.

Clive wcisnął guzik przy łóżku, by nieco podnieść wezglowie.

- Trwa sezon rozrodczy bydła i koni, a ja tkwię tutaj.

- Lekarze nie mówili, kiedy będziesz mógł wrócić do domu? - Gdy do tego dojdzie, zatrudni pielęgniarkę, żeby opiekowała się nim na ranczu.

- Nic nie mówią. Moje stare kości nie goją się tak dobrze jak kiedyś. Tak. Wiedziała o tym.

- A co doktor powiedział o tej podwyższonej temperaturze? Poza tym, że jesteś przemęczony, co oczywiste.

Wzruszył ramionami.

- Jestem stary, Sadie Jo.

- Ale twardy jak stary skórzany but. Jeden z kącików jego ust uniósł się odrobinę.

- Tak, ale to już nie to co kiedyś. Jeszcze przed wypadkiem bolały mnie kości.

- Musisz zacząć się oszczędzać. Kiedy cię wypuszczą, powinniśmy się wybrać na wakacje. - Nie przypominała sobie, by kiedykolwiek wyjechali gdzieś razem. Gdy była mała, ojciec zawsze wysyłał ją na wczasy z krewnymi matki albo na obozy. Wydawało jej się, że tata nigdy nie opuścił rancza,

chyba że miało to związek z pracą. - Przyznałeś, że chciałbyś zwiedzić trochę świata. Moglibyśmy polecieć na Hawaje. - Choć za nic nie potrafiła wyobrazić sobie ojca na plaży, sączącego drinka z parasolką, w kwiecistej koszuli i kowbojskich butach do tego. - Albo mógłbyś odwiedzić mnie w Phoenix i zostać na trochę. W Arizonie istnieją całe miasta zamieszkałe przez emerytów. - Starzy ludzie wprost uwielbiali Arizonę. - Na ranczu poradzą sobie bez ciebie przez kilka tygodni.

- Ranczo przetrwa całe lata po tym, jak mnie zabraknie. - Spojrzał na córkę, białka jego oczu miały kolor matowego beżu. - Wszystko już zaaranżowane. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy, Sadie Jo, bo sądziłem, że mam więcej czasu i że ty zdążysz wrócić do domu z własnej woli. Wszy...

- Tato, ty... - spróbowała wejść mu w słowo.

- Wszystkim kierują zaufani ludzie - ciągnął, nie pozwalając sobie przerwać. - Nie musisz niczym się martwić, żyj swoim życiem, a kiedyś, gdy poczujesz się gotowa, ranczo będzie na ciebie czekać.

Jego słowa wywołały u Sadie ucisk w piersi. Clive nigdy nie przemawiał w ten sposób. Nie wspominał o tym, co się stanie z interesem, z ranczem, ani o swoim odejściu.

- Tato.

- Ale nie możesz sprzedać naszej ziemi. Nigdy.

- Nigdy bym tego nie zrobiła. Przenigdy. Nawet mi to przez myśl nie przeszło - zapewniła, ale samej siebie nie mogła okłamać. Myślała o tym nieraz, ale gdy tylko słowa opuściły jej usta, wiedziała, że są szczerze. Nigdy nie sprzedałaby ziemi ojca. - Jestem z Hollowellów. Jak mój tata i jego tata, i mój pradziadek. - Także była Teksanką, a to oznaczało głęboko zapuszczone korzenie. Niezależnie od tego, gdzie się mieszkało.

- Moje kotwice.

Clive poklepał ją po ręce. Raz. Dwa razy. I ten rzadki trzeci raz. Tak właśnie wyglądał szczyt wylewności w jego

wykonaniu. To stanowiło odpowiednik długiego mocnego uścisku, którym inni ojcowie obdarzali swoje dzieci. Na ustach Sadie pojawił się uśmiech.

- Szkoda, że nie poznałam dziadka. - Gdy się urodziła, oboje dziadkowie już nie żyli.

- Był wredny jak cały kosz grzechotników. Cieszę się, że nie miałaś okazji go spotkać. - Oswobodził swoją dłoń z jej rąk. - Potrafił przetrzepać mi tyłek za każde krzywe spojrzenie.

Słyszała pogłoski, że Clive'a Seniora cechowała skłonność do przemocy, ale, jak w przypadku większości plotek dotyczących swojej rodziny, najzwyczajniej je ignorowała. Mgliście pamiętała zdanie matki na temat teścia, lecz ojciec nigdy nie wspominał o nim ani słowem. Oczywiście. To nie było w jego stylu. Zerknęła na jego profil, na ostre, niezdradzające niczego rysy. I poczuła, jakby ktoś odciągnął na chwilę niewidzialną zasłonę, a jej uczucia, ambiwalentna miłość, tęsknota i rozczarowanie, stały się przez to wyraźniejsze. Od zawsze miała świadomość, że Clive nie potrafił odnaleźć się w roli ojca, ale sądziła, że to dlatego, że ona jest dziewczynką. Nie podejrzewała, że sam nie miał skąd czerpać pozytywnych wzorców.

- W każdym razie dobrze, że ty jesteś moją kotwicą, tato.

- Pewnie. - Odchrząknął, a potem szczerknął: - Gdzie się podziewa ten przeklęty Snooks? Powinien tu dotrzeć już godzinę temu.

Typowe. Gdy tylko robiło się choć trochę sentymentalnie, Clive się irytował. Sadie się uśmiechnęła. Ich relacja może już na zawsze pozostanie trudna, ale przynajmniej teraz rozumiała swojego tatę odrobinę lepiej niż przedtem. Był twardym człowiekiem. Wychowanym przez jeszcze twardszego człowieka.

Po południu, po wyjściu ze szpitala, rozmyślała o tacie i łączącej ich więzi. Pewnie nigdy nie zdobyłby nagrody dla ojca roku, ale może to nie miało żadnego znaczenia.

Przyszło jej też do głowy, by wysłać wiadomość do Vince'a. Chciała do niego napisać, ale tego nie zrobiła. Chciała znów zobaczyć te jego zielone oczy, kiedy przechylał głowę na bok i patrzył, jak mówiła. Chciała ujrzeć jego pogodną twarz i usłyszeć głębokie brzmienie jego śmiechu, ale nie chciała, by te pragnienia zbyt przybrały na sile.

Więc zamiast się z nim skontaktować, wróciła do domu, zjadła z pracownikami kolację w stołówce i wcześniej położyła się do łóżka. Ona i Vince byli tylko przyjaciółmi, których łączyły dodatkowe korzyści. Na to właśnie się zdecydowali. Sadie nigdy wcześniej nie nawiązała z nikim podobnej relacji. Miewała chłopaków i partnerów na jedną noc. A poza tym nie wiedziała na pewno, czy w ogóle może nazwać Vince'a przyjacielem. Lubiła go, ale na razie bardziej doświadczała z jego strony bliskości fizycznej niż jakiegokolwiek innej. A ostatnie, czego jej było trzeba, to zakochanie się w swoim dobroczyńcy.

Vince zostawił samochód przed domem i ruszył wzdłuż jego ściany. W świetle dnia ranczo tętniło życiem. Jak baza wojskowa, tylko z większą ilością zwierząt i mniejszą pyłu. I podobnie jak w przypadku bazy, na pierwszy rzut oka wydawało się, że panuje tu chaos, była to jednak ruchliwość świetnie zorganizowana i uporządkowana.

W oddali, po jego lewej stronie, kolejno zapędzano cielaki do stalowej klatki. Ciężkie, metaliczne dźwięczenie niosło się w powietrzu. Vince nie dostrzegwał, co mężczyźni robili zwierzętom, ani nie słyszał, czy te się sprzeciwiały.

Zegarek wskazywał wpół do piątej, a on pracował cały dzień, zrywając stare płytki z podłogi. Mniej więcej godzinę temu wreszcie dostał wiadomość od Sadie. Od czterech dni się z nią nie widział, w ogóle nie dała znaku życia. Dokładnie od poranka, kiedy to oskarżyła go, że liczy na obciążanie. Nie zamierzał ukrywać, że go to zirytowało. Nie należał do

idiotów, którzy w ten sposób się zachowywali, ale nie był też z tych, co czekają nerwowo na telefon od kobiety, która obiecała, że się skontaktuje, i tego nie zrobiła.

Spędził te kilka ostatnich dni na ciężkiej pracy, wyburzając sklep i wypełniając kontener na śmieci. Wieczorami odwiedził parę miejscowych barów. Strzelił sobie piwo U Chudego Cierna i kieliszek tequili w Rozjechanym Zwierzu, lecz w obie noce wrócił do domu przed północą. Sam. Mógłby przyprowadzić kogoś ze sobą, gdyby tylko posiedział w lokalu odpowiednio długo, ale - choć niechętnie przyznawał to przed samym sobą - po długich godzinach ciężkiej fizycznej pracy czuł się wyczerpany. Swego czasu wytrzymywał całe dnie, śpiąc mało albo wcale. Mógł w tamtym okresie przewędrować, przebiec czy przepłynąć wiele kilometrów, pokonując morskie prądy, w nieznośnym upale lub przenikającym do kości chłódzie, często obciążony podstawowym wyposażeniem ważącym od trzydziestu do czterdziestu pięciu kilogramów. Ale nie dało się utrzymywać takiej formy wiecznie. Całe lata nadwężania sił - chociaż i tego nie lubił sobie uświadamiać - teraz dawały o sobie znać. Jego ulubionego środka znieczulającego nie stanowiła już tequila. Była nim aspiryna.

Po czterech dniach milczenia Sadie wysłała mu wiadomość, w której zapraszała go na ranczo. Najwyraźniej miała ochotę na seks. I tylko na to. Nigdy wcześniej nie spotkał kobiety, która pragnęłaby wyłącznie seksu - nie po paru nocach spędzonych z nim. Nie sądził, by w takim myśleniu przejawiał się jego egotyzm. Po prostu lubił we wszystkim celować. Być najlepszym. Nie rezygnował, dopóki zadanie nie zostało doprowadzone do końca. Kobiety to doceniały i w rezultacie zawsze zaczynały chcieć czegoś więcej. Ale nie Sadie. Jej wystarczyło to, co miała, a Vince nie wiedział, jak właściwie się z tym czuje. Powinien szaleć z zachwyty. Zaistniała sytuacja doskonała. Sadie była piękna. Interesująca.

Dobra w łóżku. I jedyne, czego od niego oczekiwała, to seks. Idealnie.

Więc skąd się brało to lekkie podenerwowanie? I skoro Sadie chciała jedynie się pieprzyć, to co tu robił w świetle dnia? Gdy wokół kręcili się pracownicy? Dlaczego nie poprosiła go, by przyjechał wieczorem, po zmroku?

Mógłby w tej chwili zajmować się wieloma innymi rzeczami, załatwić niejedną sprawę, nim jego kumpel Blake Junger upora się z własną robotą i przywlecze swój tyłek do Lovett. Blake opanował do perfekcji niezliczone farchy. Sprawdzał się, by wymienić tylko dwa spośród nich, jako zabójczo skuteczny snajper oraz jako licencjonowany stolarz.

- Vince!

Odwrócił się w prawo i dostrzegł Sadie nieopodal zagrody przyłączonej do dużej obory. Miała na sobie džinsy, czarną koszulkę z jakimś nadrukiem i kowbojskie buty. Jasne włosy ściągnęła w kucyk nisko nad karkiem, a na głowę założyła ten sam biały kapelusz, który nosiła podczas zabawy z okazji Dnia Założyciela. Nie widział jej od czterech dni. Cholera, wyglądała świetnie, po prostu tam stojąc jak jakaś królowa piękności, co z niezrozumiałych przyczyn wkurzyło go jeszcze bardziej.

Ale nie na tyle, by się odwrócić i odejść. Mercedes Jo Hollowell miała w sobie coś więcej niż tylko urodę. Coś, co skłoniło go do natychmiastowego porzucenia lewara, którego używał, kiedy do niego napisała. Nie wiedział, dlaczego tak na niego działa. Może chodziło tylko o świadomość, że nie doprowadził swojego zadania do końca.

Jeszcze nie.

- Cześć, Vince.

Obok Sadie stał wysoki szczupły mężczyzna w biało-niebieskiej pasiastej koszuli i kapeluszu z szerokim rondem. Kowboj. Prawdziwy kowboj. Spalony słońcem i zahartowa-

ny trudami życia. Musiał przekroczyć już pięćdziesiątkę, a nazywał się Tyrus Pratt.

- Tyrus pełni rolę nadzorcy, zajmuje się końmi - wyjaśniła Sadie, przedstawiając ich sobie.

- Miło pana poznać. - Vince potrząsnął dłonią mężczyzny. W jego uścisku i w spojrzeniu brązowych oczu kryła się ta sama siła, która biła z jego twarzy. Vince zetknął się z niejednym instruktorem musztry i umiał rozpoznać, gdy ktoś poddawał go ocenie.

- Vince jest siostrzeńcem Luraleen Jinks. Groźne zmarszczki wokół oczu Tyrusa złagodniały.

- A więc to ty jesteś nowym właścicielem Gas and Go?

- Tak jest. - To, że nadzorca znał najświeższe informacje, wcale Vince'a nie zdziwiło. Przebywał w mieście na tyle długo, by wiedzieć, jak szybko rozchodzą się wieści.

- Służyłeś w SEAL.

Tym razem Pratt go zaskoczył.

- Tak jest - powtórzył. - Starszy bosman Drużyny Pierwszej, Pluton Alfa.

- Jesteśmy wdzięczni za twoją służbę krajowi. Zawsze miał z tym pewien problem. Liczni wojskowi,

tak jak on, wybierali tę drogę kariery z miłości do ojczyzny, a nie dla chwały. Należeli do ludzi, którzy wyrzucili ze swych słowników zwrot: „Poddaję się”, bo kierowało nimi poczucie misji, a nie po to, by inni mogli im dziękować.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Tyrus opuścił rękę.

- Brałeś udział w akcji przeciw bin Ladenowi? Vince się uśmiechnął.

- Niestety nie, ale wiele bym oddał, żeby mieć taką okazję-

- Tyrus właśnie przywiózł Maribell do domu - wyjaśniła Sadie, wskazując czarnego konia stojącego przy płocie. - Spędziła trochę czasu w Laredo, na kryciu. Ogier nazy-

wał się Diamond Dan, to ten sam, który kopnął mojego tatę w zębra.

- Jak on się ma? - spytał Vince.

Potrząsnęła głową, a cień rzucany przez rondo kapelusza prześliznął się po jej wargach.

- Dostał wysokiej gorączki, co może świadczyć o infekcji, ale w płucach nie widać żadnych zmian. Na wszelki wypadek podali mu silniejszy antybiotyk i dziś wraca już powoli do siebie. To znaczy do marudzenia i zrzędzenia. Ale wciąż się martwię.

- Clive jest twardy - zapewnił **TJTUS**. - Nic mu nie będzie. - Zwrócił się znów do Vince'a: - Miło było cię poznać. Powodzenia ze stacją i pozdrów ode mnie Luraleen, kiedy już wróci z Vegas.

- Przekażę jej i dziękuję. - Vince nieco przekrzywił głowę, obserwując, jak Tyrus znika we wnętrzu obory. - Siły Specjalne nic nie mają na to miasto, ale czy wy przypadkiem nie zbudowaliście własnej bazy wywiadowczej w podziemiach biblioteki?

Sadie się roześmiała, lecz znał ją na tyle dobrze, by stwierdzić, że to jedna z tych nieszczerých salw, które z siebie wyrzucała, gdy uznawała żart za nieszczerólnie śmieszny.

- Myślę, że coś jest w tutejszej wodzie, ale ja i tata korzystamy z własnej studni, więc w kwestii plotek jesteśmy trochę do tyłu. Nie żeby w ogóle nas to interesowało. - Powiodła wzrokiem wzdłuż teksańskiej równiny, a Vince zerknął na przód jej koszulki, odczytując umieszczony na nim napis: „Masz zgrabny tyłek kowboja, to zaraz będę twoja”. - Dziwnie się czuję, znów tu mieszkając. Czasami mam wrażenie, jakbym nigdy nie wyjeżdżała, a chwilami zdaje mi się, że nie było mnie całe wieki. Niewiele wiem o tym, co się tu teraz dzieje.

Wskazał stado cielaków.

- A co się dzieje tam?

- Jeden ze stu czy więcej procesów, które odbywają się regularnie i zgodnie z planem. - Poprawiła kapelusz. - Pracownicy zapędzają każdą sztukę do klatki poskromowej, kolczykują i ważą. Potem wprowadzają informację do komputera, żeby trzymać rękę na pulsie i sprawdzać, czy zwierzaki zdrowo się rozwijają.

- A przed chwilą twierdziłaś, że nie masz pojęcia, co tu się dzieje.

Wzruszyła ramionami.

- Mieszkałam tu przez osiemnaście lat, podłapałam to i owo. - Zmarszczyła brwi, wodząc spojrzeniem po terenie wokół. - A teraz znów tu jestem i nie mam pojęcia, kiedy tata poczuje się na tyle dobrze, żebym mogła wrócić do swojego normalnego życia. Wmawiałam sobie, że to potrwa tylko parę tygodni, może miesiąc, i znajdę się z powrotem w Phoenix, sprzedając domy, spotykając się z przyjaciółmi, podlewając kwiatki... Tymczasem praktycznie straciłam pracę, wszystkie moje roślinki pozdychały i zostanę tu jeszcze przez cały czerwiec. Przynajmniej. A w czerwcu zaczyna się sezon kastracyjny. - Skrzywiła się i zadrżała. - Nienawidzę kastracji.

- Dobrze wiedzieć.

Koń przełożył łeb ponad górną belką ogrodzenia, a Sadie się roześmiała, tym razem szczerze rozbawiona. Ten prawdziwy śmiech muskał jego skórę. Miał ochotę pocałować ją w szyję. Tutaj, teraz, na oczach pracowników. W świetle dnia. Mimo że wciąż był lekko podenerwowany bez widocznej przyczyny.

- Nie masz powodu do obaw, komandosie. Lubię twoje klejnoty.

Popatrzył jej w twarz. Na uniesione kąciki jej różowych warg i gładkie policzki. Nie pamiętał, czy kiedykolwiek wcześniej zwrócił uwagę na gładkość policzków u kobiety.

Jeśli już coś go szczególnie zajmowało, to raczej inne rejony ciała. Nie przypominał sobie też, by któraś dziewczyna potrafiła go zirytować, choć w najmniejszym stopniu.

- Ja też lubię w tobie parę rzeczy.

Sadie uniosła jasną brew i zwróciła się w stronę zagrody.

- Parę? Czyli dwie?

- Dokładnie. - Te, które pasowały idealnie do jego dłoni i podskakiwały wspaniale, gdy go ujeżdżała, siedząc mu na kolanach. - Twoje niebieskie oczy.

- Aha... - Sadie wyciągnęła rękę i podrapała bok końskiego łba pod kantarem. - Tyrus twierdzi, że znów zostaniesz mamą. Trzymasz się jakoś, Maribell?

Klacz potrząsnęła głową, jakby w odpowiedzi.

- Diamond Dan to niegrzeczny dupek. Nie znosimy go, prawda? - Tym razem zwierzę się nie poruszyło. Sadie poklepała je po nozdrzach.

Vince oparł się biodrem o płot i skrzyżował ręce na piersi.

- Nie znam się zupełnie na hodowli koni, ale czy przy kryciu nie powinno się zachować jakichś środków ostrożności? Czemu twój ojciec znalazł się tak blisko, że ogier go kopnął?

- Bo trzyma się dawnych zwyczajów. - Sadie ściągnęła ciemne okulary i umieściła je na rondzie kapelusza. - Widziałeś kiedyś, jak konie się rozmnażają? W starym stylu?

- Nie na własne oczy. Może w jakimś programie przyrodniczym, jako dziecko.

- To brutalny proces. Klacz jest spętana, a ogiera przytrzymuje się za uwiąz. On wspina się na nią od tyłu, jest mnóstwo hałasu i rzucania się.

Brzmiało jak noc z paroma kobietami, które Vince w życiu poznał. Spojrzał w duże czarne oczy Maribell osadzone wśród czarnego lśniącego włosia. Nie wyglądała, jakby wiele przecierpiała.

- Może lubi trochę na ostro. - Przecież konie spółkowały także na wolności. Gdyby to było dla klaczy takie okropne, to przecież by uciekały. Ogier nie dałby rady wspiąć się na biegający w kółko cel.

Sadie pokręciła głową, aż końcówki spiętych w kucyk włosów smagneły ją lekko po ramionach.

- Ani trochę jej się to nie podobało.

- Założę się, że też zrobiłabyś sporo hałasu, gdybym cię związał. - Uniósł jedną brew. - I wręcz przeciwnie, bardzo by ci się podobało.

Spojrzała na niego spod runda kapelusza, jej oczy kryły się w jego cieniu.

- Dziewczyny zwykle lecą na taki tekst? Wzruszył ramionami.

- Ta, na której wypróbowałem go ostatnim razem, poleciała.

Odwróciła głowę, zagryzając wargi, żeby powstrzymać uśmiech.

- Zakładam, że jako wojskowy umiesz strzelać.

- Mówimy o broni? - Miał doświadczenie z wieloma rodzajami uzbrojenia, jednak za swój ulubiony uznawał pistolet colt. Ten pistolet nie chybiał ani o centymetr z odległości dwudziestu metrów, a w magazynku krył osiem zabójczych pocisków pełnopłaszczowych.

- Konkretnie o strzelbach. Pomyślałam, że moglibyśmy postrzelać do rzutków.

Przekrzywił głowę i przyjrzał się jej ustom, aby upewnić się, że dobrze usłyszał.

- Ty strzelasz? - Ostatnio używał krótkiej strzelby z pistoletową rękojeścią.

- A czy żaba ma wodoodporny tyłek? - Przewróciła oczami. - Pochodzę z Teksasu i wychowałam się na ranczu. - Założyła okulary. - Rzutki i gliniane gołębie to jedyne, co nas z tatą łączy, jeśli chodzi o hobby.

Stała przed nim piękna, świetna w łóżku kobieta, która pragnęła od niego tylko seksu. Kobieta, która potrafiła odbezpieczyć i przeładować broń, a do tego mogła się pochwalić przyjemną powierzchownością. Czyżby umarł i poszedł do nieba?

- Pomyślałam, że skoro korzyści, które czerpiemy z naszej znajomości, są miłe... - Przyłożyła dłoń do liter wydrukowanych na swojej koszulce. - Przynajmniej ja uważam, że są miłe... To moglibyśmy spróbować razem też innych miłych rzeczy. Jak przyjaciele.

Przyjaciele. Plus dodatkowe korzyści. Czy tak właśnie należałoby określić ich relację?

- Chcesz się zaprzyjaźnić?

- Jasne. Czemu nie?

- Miałaś już kiedyś przyjaciela?

- Tak. - Uniosła oczy ku niebu, jakby coś liczyła. - Nie, czekaj. Właściwie to nie. - Spojrzała z powrotem na niego. - A ty? To znaczy, czy miałaś kiedyś przyjaciółkę?

- Nie. - Jego dłonie ześliznęły się na jej talię, przyciągnął ją do siebie. Nie sądził, by to naprawdę miało się udać, ale lubił spędzać czas z Sadie, bardziej niż z kimkolwiek innym w tym mieście. Więc co mu tam. - Ale chyba mógłbym dać ci szansę.

Rozdział czternasty

Gramoląc się z łóżka, Sadie nadepnęła na czarne koronkowe majtki leżące na podłodze. Sięgnęła po szlafrok, przypominając sobie, jak Vince zsuwał je z niej poprzedniej nocy, a na jej wargach zadrgał lekki uśmiech.

- Nie zauważyłeś, że mam nową bieliznę - wyrzuciła mu, walcząc z klamrą przy jego spodniach.

- Zauważyłem - odparł głosem ochrypłym z pożądania. Popchnął ją na materac. - Po prostu bardziej interesuje mnie to, co pod nią.

To, że wytrzymali maraton strzelania do rzutków, nim zdarli z siebie ubrania, zakrawało na cud. Frustrujący, pełen seksualnego napięcia cud.

Wsunęła ręce w fioletowe rękawy satynowego szlafroka i związała pasek w talii. Zawsze czuła ducha rywalizacji, ale Vince zdawał się nim wypełniony po brzegi. Pewnie powinna się była tego domyślić. Spudłował za dwoma pierwszymi razami, ale kiedy już oswoił się z długą lufą i załapał, w jaki sposób najlepiej celować, okazał się niepokonany. Stracił czterdzieści jeden na pięćdziesiąt gołąbków.

Sadie strzelała do glinianych ptaków od niepamiętnych czasów. Trochę wyszła z wprawy, co przełożyło się na jej wynik: trzydzieści trzy trafienia.

Ruszyła do łazienki, gdzie spojrzała na swoje odbicie w lustrze nad umywalką. Włosy miała splątane od palców

Vince'a i wyglądała okropnie. Po raz kolejny zasnęła, nim on odjechał, ale teraz cieszyła się, że mężczyzna nie może jej zobaczyć w takim stanie.

Wciąż trochę zaspana podążyła korytarzem, a potem tylnymi schodami do kuchni. Poły szlafroka falowały wokół jej łydek, lecz na ostatnim stopniu zatrzymała się gwałtownie i znieruchomiała.

- Jeszcze kawy, Vince?

- Nie, dziękuję, proszę pani.

- Ach! Prosiłam, żebyś mówił mi Clara Anne.

Sadie na bosaka przekradła się po podłodze z twardego drewna, zaglądając do kuchni, w stronę jasnego kącika śniadaniowego. Vince siedział przy stole skąpany w złotej porannej poświacie słonecznego blasku, a przed nim leżały pozostałości po uczeniu.

Cóż, sytuacja była niezręczna i zawstydzająca.

- Dzień dobry - przywitała się Sadie, ciasniej opatulając się szlafrokiem.

Vince podniósł na nią wzrok. Nie wydawał się ani odrobinę zażenowany.

- Cześć.

- Popatrz tylko, kogo złapałam na wymykaniu się - rzuciła Clara Anne, wyjmując kubek z szafki na ścianie.

Ta uwaga chyba nie wymagała odpowiedzi, skoro wspomniany ktoś siedział tuż przed jej nosem. Sadie wzięła od Clary Anne naczynie i nalała sobie kawy. Budziła się czasem przy mężczyznach, ale spotkanie z Vince'em wytrąciło ją z równowagi. Może dlatego, że nie był jej chłopakiem, a jedynie zapewniał korzyści. Może dlatego, że teraz wszyscy na ranczu dowiedzą się, że spędzili razem noc. A może dlatego, że on wyglądał tak doskonale, a ona beznadziejnie. Gdyby wiedziała, że go tu zastanie, przynajmniej by się uczesała.

- Gotowałaś specjalnie dla Vince'a? - spytała, uzupełniając napój hojną porcją orzechowej śmietanki. Clara Anne nigdy nie gotowała.

- Skąd! Carolynn przyniosła jedną porcję ze stołówki. Cudownie. Bez wątpienia już planowały jej wesele.

Przysunęła kubek do twarzy i podmuchała. Upiła długi łyk, a spojrzenia jej i Vince'a się spotkały. Rozpoznała wyraz jego oczu, przypominający jej, że pod jedwabnym szlafrokiem nic na sobie nie ma.

- Muszę lecieć - oznajmił, podnosząc się i rzucając serwetkę na stół. - Miło było cię poznać, Claro Anne. Przekaż Carolynn, że śniadanie bardzo mi smakowało.

- Przekażę. Chodź tutaj. - Przytuliła go na pożegnanie, a on poklepał ją dwukrotnie po plecach. - Jesteś wielki jak wszystkie kręgi piekła i pół Teksasu.

Zerknął na Sadie, a ta wzruszyła ramionami i napiła się kawy. Hej, w końcu znajdował się w Teksasie, wśród tubylców. A tubylcy lubili uściski.

Gospodyni wypuściła go z ramion, a on chwycił Sadie za wolną rękę i pociągnął za sobą. Ruszyli w stronę drzwi wejściowych; Sadie uważała, żeby nie rozlać po drodze kawy.

- Zaspałem. Przepraszam, naprawdę nie wiem, jak to się stało. Nigdy mi się to nie zdarza - wyjaśnił już w przedsionku. - A potem Clara Anne złapała mnie, kiedy wymykałem się jak przestępca.

- I zmusiła cię, żebyś został na śniadaniu?

- Zaproponowała, a ja byłem głodny. - Uśmiechnął się do niej. - Po wczorajszej nocy nabrałem apetytu.

- I totalnie się wykończyłeś?

- Właśnie. Przepraszam.

- Nie szkodzi. Wszystko w porządku. - Chociaż wolałaby na czas dostać jakieś ostrzeżenie, żeby zdążyć przygładzić włosy. - Poza tym, że ty wyglądasz dobrze, a ja koszmarnie.

Pocałował rozczochrane kosmyki na jej głowie.

- W tym właśnie tkwi twoja wyjątkowość, Sadie. Nawet kiedy wyglądasz koszmarnie, mam ochotę się na ciebie rzucić. - Wyprostował się i położył dłoń na gałce u drzwi za plecami. - Do zobaczenia.

Skinęła głową i cofnęła się o krok.

- Może zakręcę się dziś gdzieś w pobliżu Gas and Go.

- Wpadnij, to może pozwolę ci zakręcić moim młotem. - Otworzył drzwi i wyszedł na ganek. - Albo zaprzęgnę cię do pracy przy zrywaniu z podłogi linoleum z lat pięćdziesiątych.

- Fuj. Najpierw napiszę, żeby się upewnić, że już z tym skończyłeś. - Pożegnała się i zamknęła za nim drzwi. Oparła się o nie plecami, powoli wypuszczając powietrze. Upiła kolejny łyk kawy i uznała, że ma dwa wyjścia: udać się prosto na górę i wziąć prysznic albo wrócić do kuchni i przekonać Clare Anne, że na ślub nie ma co liczyć. Wybrała prostsze rozwiązanie i ruszyła po schodach na górę. Wskoczyła pod prysznic i umyła włosy. Złuszczyła skórę szorstką gąbką i wyszorowała zęby nad umywalką. W ostatnich dniach tata mówił coraz więcej i coraz częściej o ranczu i o chwili, w której go zabraknie. Wolałaby, żeby tego nie robił, bo takie gadanie przyprawiało ją o paniczny ucisk w piersi. Nie tylko dlatego, że nie była wcale gotowa na przejęcie obowiązków związanych z rodzinnym interesem, ale też nie mogła myśleć o tym, że pewnego dnia taty już tu nie będzie. Na jego ranczu. Że nie będzie więcej hodował koni, przestanie zrzedzić i męczyć wszystkich swoją upierdliwością.

Jej kotwica.

Wysuszyła włosy i naciągnęła niebieską sukienkę na białą bieliznę. Może po drodze do szpitala wstąpi do sklepu i kupi bukiet kwiatów, żeby nieco ożywić pokój. Nie żeby ojcu robiło to jakąś różnicę.

Telefon odezwał się w chwili, gdy tuszowała rzęsy, aż wydawały się grube i gęste. Nie była królową piękności jak

jej mama, ale poświęcała szczególnie dużo uwagi właśnie włosom i rzęsom.

- Sadie Jo - zawołała ją Clara Anne, stojąc u stóp schodów. - To do ciebie. Dzwonią z ośrodka rehabilitacyjnego.

Odłożyła tusz na miejsce i skierowała się korytarzem do swojej sypialni. To, że któryś z lekarzy ojca telefonował do niej po porannym obchodzie, nie należało do rzadkości.

- Halo? - Usiadła na brzegu niepościelonego łóżka. - Tu Sadie.

- Mówi doktor Morgan - przedstawił się geriatra.

- Dzień dobry, panie doktorze. Jak się dziś ma mój tata?

- Kiedy pielęgniarka z rannej zmiany poszła sprawdzić, jak się czuje, stwierdziła, że nie reaguje on na bodźce.

Nie reaguje na bodźce?

- Może znów jest bardzo zmęczony?

- Przykro mi. Nie ma go już tutaj, z nami.

- Jak to? To dokąd go przenieśliście?

- Odszedł. Odszedł? -Co?

- Umarł we śnie, między trzecią w nocy, kiedy zajrzała do niego pielęgniarka, a szóstą rano.

- Co...? - Zamrugła powiekami i przełknęła z trudem ślinę. - Ale wczoraj czuł się lepiej.

- Bardzo mi przykro. Jest pani sama? Czy jest ktoś, kto mógłby przywieźć dziś panią do ośrodka?

- Tata umarł? Samotnie?

- Przykro mi. Dopiero po przeprowadzeniu sekcji poznamy przyczynę śmierci, ale z pewnością umarł spokojnie.

- Spokojnie. - Na twarzy czuła mrowienie. Dłonie całkiem jej zdrętwiały, a serce ścisnęło się w piersi i płonęło żywym ogniem. - Nie... Nie mam pojęcia, co teraz robić. - Co ona zrobi bez swojego taty?

- Poczyła już pani ustalenia co do dalszych kroków?

- Jakich kroków?

- Proszę przyjechać do szpitala i porozmawiać z pracownikami administracyjnymi.

- Dobrze. - Wstała. - Do widzenia.

Odłożyła słuchawkę na nocną szafkę. Wściekle pulsowanie serca czuła w piersi, w głowie i w uszach. Chwyciła japonki i torebkę i znów przemierzyła korytarz, mijając ścianę pełną Hollowellów. Lekarz się mylił. Jeszcze wczoraj jej ojciec był sobą, zrzedliwym, zgryźliwym sobą. Wszystko było w porządku.

Wyszła z domu frontowymi drzwiami i wsiadła do samochodu. Może powinna poinformować Clarę Anne. Ale Clara Anne zaczęłaby płakać. Carolyn zaczęłaby płakać. Wszyscy by płakali, a wieści dotarłyby aż do Amarillo jeszcze przed Sadie. A ona chciała je zatrzymać. Zatrzymać je tylko dla siebie przez jakiś czas. Aż nie pomówi z lekarzami. Aż nie dowie się... sama nie wiedziała czego.

Gdy przekręciła kluczyk w stacyjce, z głośników popłynął głos Mirandy Lambert. Ściszyła radio i wyruszyła do Amarillo. Niemożliwe, że jej tata nie żył. Czy gdyby tak było, jakoś wewnątrz by o tym nie wiedziała? Czyby tego nie wyczuła? Czy świat nie wydawałby jej się zupełnie inny? Nie wyglądałby inaczej?

Miała sucho w ustach, więc chwyciła kubek ustawiony we wgłębieniu i napiła się trochę starej coli light. W uszach wciąż słyszała dziwne, piskliwe brzęczenie. Jakby w głowie zagnieździły jej się cykady. Palce ją mrowiły, a w myślach zadawała sobie pytanie, jak to się dzieje, że dziko rosnące przy drodze kwiaty nie więdną i nie usychają, tak jak ona w środku.

Przejechała przez Lovett, pędem mijając Gas and Go. Półciężarówka Vince'a stała obok kontenera na śmieci na tyłach stacji. Czy to możliwe, że widziała się z nim ledwie

godzinę temu? We własnej kuchni, jak jadł śniadanie? Zdawało się, że minęło dużo więcej czasu. Tydzień. Całe życie. Od momentu kiedy jej świat stanowił jeszcze spójną całość. Przedtem.

Nim rozpadł się na kawałeczki.

W biurze Vince podłączył do prądu ekspres do kawy i wcisnął jeden z guzików. Większość prac wyburzeniowych dobiegła końca i wkrótce trzeba będzie zabrać się za przebudowę.

Słyszając cichy szelest, odwrócił się w stronę drzwi. Stała w nich Sadie, z kluczami do auta w jednej dłoni i japonkami w drugiej.

- Zmieniłaś zdanie co do tego linoleum? - spytał. Zerknęła na niego i oblizła wargi.

- Muszę się napić coli light, z automatu.

Zmierzył ją wzrokiem od bosych stóp po czubek okolonej jasnymi włosami głowy. Otaczała ją aura oszołomienia.

- Pozbyłem się starego automatu i zamówiłem nowy.

- No to wezmę w puszcze. Coś było nie tak.

- Opróżniłem i wyniosłem lodówki. Cały towar leży chwilowo w kącie magazynu.

- Nic nie szkodzi. Może być z magazynu.

- Chcesz pić gorącą colę? Pokiwała głową i znów oblizła usta.

- Mój tata zmarł dziś w nocy. - Potrząsnęła głową. - Właściwie nad ranem. - Kluczyki zadźwięczały w jej drżącej dłoni, ściągnęła brwi. - Dzwonili ze szpitala. Muszę tam jechać i wszystko ustalić. - Zmarszczyła brwi jeszcze mocniej, jakby nic z tego nie przedstawiało dla niej żadnego sensu. - Tak myślę.

Pochylił głowę, by zajrzeć jej w oczy.

- Przyjechałaś tu sama, Sadie?

Potaknęła.

- Chce mi się pić. - Oczy miała szeroko otwarte i szkliste, wpatrywała się w przestrzeń niewidzącym spojrzeniem osoby w głębokim szoku. Vince znał ten stan. Widywał, jak popadali w niego zaprawieni w bojach żołnierze. - Masz może wodę?

Złapał kubek i nappełnił go kranówką. Wziął od niej klucze i japonki, a wręczył wodę.

- Przykro mi z powodu twojego taty. - Położył jej rzeczy na blacie starego biurka i ponownie zbliżył się do niej.

- Nie znałem go, ale wszyscy mówili o nim bardzo dobrze.

Pokiwała głową i opróżniła kubek.

- Muszę już iść.

- Poczekaj. - Ujął jej nadgarstek i palcami wyczuł puls.

- Jeszcze chwila. - Liczył uderzenia serca, patrząc na zegarek. - Nie kręci ci się w głowie?

- Co?

- Ktoś z rodziny zawiezie cię do Amarillo? - Jej serce biło szybko, ale puls nie był niebezpiecznie wysoki. - Któreś z kuzynów, cioć albo wujków?

- Mój tata był jedynakiem. Wszyscy wujowie i ciotki pochodzą ze strony matki.

- A czy któreś z nich może cię zawieźć do szpitala?

- Dlaczego pytasz?

Ponieważ nie powinna prowadzić w stanie szoku. Puścił jej rękę, a potem porwał rzeczy z biurka.

- Ja z tobą pojedę.

- Nie musisz.

Przyklęknął na jedno kolano i wsunął jej na stopy klapki.

- Wiem, że nie musisz. - Wyprostował się i ułożył dłoń u dołu jej pleców.

Potrząsnęła głową.

- Nic mi nie jest.

Sadie nie groziła histeria, ale jej stanu na pewno nie można było nazwać dobrym. Ruszyli korytarzem, podeszwy⁷ japoniek lekko obijały się o jej pięty.

- Clara Anne poinformuje wszystkich za ciebie?

- Nie wiem. - Zatrzymali się, a Vince wyjął pęk kluczy z kieszeni spodni. - Chyba powinnam dać jej znać.

Vince obejrzał się na nią przez ramię, zamykając tylne drzwi stacji.

- To jeszcze tego nie zrobiłaś? Sadie pokręciła głową.

- Zasypałyby mnie pytaniami, a ja nic jeszcze nie wiem. - Podeszli do samochodu Vince'a, gdzie z jego pomocą zajęła miejsce po stronie pasażera. - Zadzwoń do niej ze szpitala, kiedy już poznam szczegóły.

Vince wyciągnął butelkę wody z chłodziarki na tyłach auta, okrążył je i sam też wdrapał się do środka. Uruchomił silnik i wręczył Sadie butelkę, przyglądając się jej twarzy. Wyglądała trochę blado, co niewątpliwie należało złożyć na karb szoku. Ale niebieskie oczy pozostawały suche, za co był wdzięczny. Nie znosił widoku płaczących kobiet albo dzieci; zdawał sobie sprawę, że to wyświechtany frazes, ale wołał już stawić czoło całemu plemieniu talibskich powstańców. Wiedział, jak radzić sobie z terrorystami, za to zalewające się łzami kobiety i dzieci całkowicie go obezwładniały.

Wyjechał z parkingu i spytał o adres szpitala. Gdy Sadie mu go podała, wklepał lokalizację do GPS-a. Wnętrze wozu wypełniło się ich milczeniem, Sadie odkręciła korek butelki. Vince nie miał pojęcia, co powiedzieć, czekał więc, aż ona rozpocznie rozmowę i da mu jakąś wskazówkę. Minął kilka przecznic i skręcił na autostradę. Kiedy Sadie w końcu się odezwała, jej słowa zupełnie go zaskoczyły.

- Sypiasz w tej chwili z kimś oprócz mnie?

Zerknął na nią, potem skierował spojrzenie z powrotem na drogę.

- Słucham?

- Jeśli tak, to nic nie szkodzi. - Napiała się wody. - Tak się tylko zastanawiam.

Nic nie szkodzi, jasne. Nieważne, co kobieta deklaruje w tej sprawie, nigdy nie pozostaje wobec niej obojętna. -1 naprawdę o tym właśnie chcesz dyskutować? Przytaknęła ruchem głowy.

- Do Amarillo mamy pół godziny drogi, Vince. A nie dam rady rozmawiać o tacie. - Przyłożyła dłoń do piersi, jakby tym sposobem mogła zatrzymać wszystkie uczucia w środku. Wzięła głęboki oddech, a potem wolno wypuściła powietrze. - Po prostu nie dam rady. Nie teraz. Najpierw muszę uzyskać bardziej szczegółowe informacje. - Jej głos zadrżał i niemal się załamał. - A jeśli zacznę płakać, to już nie przestanę. Więc mów do mnie, proszę cię. Mów, żebym nie musiała myśleć o tacie, o tym, że umarł sam, że mnie przy nim nie było. O czymkolwiek.

„Cholera”.

- No cóż - rzucił, patrząc znów na szosę przed nimi. - Jesteś jedyną kobietą, z którą spałem od bardzo dawna, w sensie dosłownym. - Wciąż nie mógł uwierzyć, że zasnął w jej łóżku. Nie pozwalał sobie na nic podobnego, odkąd porzucił wojsko. I jakby tego było mało, został przyłapany na wymykaniu się cichcem, jak dzieciak. - A poza tym „w tej chwili” jesteś jedyną kobietą, z którą uprawiam seks.

- Och. - Wyjrzała przez okno, zakręcając z powrotem butelkę. - A ty jesteś obecnie jedynym facetem, z którym ja uprawiam seks - zamilkła na moment, a potem dodała: -Gdybyś się nad tym zastanawiał.

- Nie zastanawiam się. Bez obrazy, skarbie, ale spotkałem kilku samotnych mężczyzn, których Lovett ma do zaoferowania.

Spuściła wzrok i niemalże się uśmiechnęła.

- Znajdziesz tu paru naprawdę świetnych facetów. Nie żebym chciała się umawiać z którymkolwiek z nich. Głównie dlatego, że większość znam jeszcze z podstawówki i pamiętam, jak dłubali w nosach. - Kąciki jej ust drgnęły, jakby na chwilę zapomniała, dokąd zmierzali i dlaczego, potem zaś nagle sobie to uświadomiła. - Boże, całe szczęście, że z żadnym się nie przespałam.

To go trochę zaskoczyło. Może dlatego, że sam dorastał w kilku małych miasteczkach i wiedział, że w takich miejscach na młodzież czeka niewiele rozrywek poza włączeniem się i tarzaniem w sianie.

- Z żadnym? Potrząsnęła głową.

- Straciłam dziewictwo dopiero po wyjeździe na studia.

- Jak się nazywał?

- Frosty Bassinger - odparła nieco trzęsącym się głosem.

- Frosty? - Vince zachichotał. - Oddałaś cnotę kołesowi o imieniu Frosty?

- Tak naprawdę na imię miał Frank. - Znów odkręciła butelkę i pociągnęła z niej łyk. - A ty, ile miałeś lat?

- Szesnaście. Ona miała osiemnaście, nazywała się Heather.

Sadie aż się zakrztusiła.

- Szesnaście? A twoja dziewczyna osiemnaście? To nielegalne!

To nie ja wpadłem na ten pomysł, a ona nie była moją dziewczyną.

- Nawet w wieku szesnastu lat nie pakowałeś się w związki?

Zerknął na nią i się uśmiechnął.

- Miałem parę dziewczyn w liceum.

- A potem?

Znów na nią popatrzył. I na teksańskie równiny porośnięte zieloną i brązową trawą, które migają za oknem, tworząc tło dla jej twarzy. Dostrzegł malującą się na niej desperację, niemą prośbę, by mówił dalej. Cały czas, o czymkolwiek, żeby nie musiała myśleć o swoim ojcu i o rzeczywistości, z którą przyjdzie jej się zmierzyć, gdy dotrą do Amarillo.

- Odkąd wstąpiłem do armii, nic poważnego. - Nie miał wprawy w pogaduszkach tego typu, w mówieniu dla samego mówienia. Ale postanowił się postarać, jeśli dzięki temu Sadie miała oderwać się od smutnej prawdy. - Nie znam nikogo, kto wytrzymałby w pierwszym małżeństwie. Za to wielu kumpli zdążyło już zawrzeć trzecie. Wielu porządnych gości. - Zjechał na lewy pas i wyprzedził jakiegoś nissana. - Odsetek rozwodów wśród zawodowych wojskowych dochodzi do dziewięćdziesięciu.

- Ale już nie jesteś w armii. Od pięciu lat.

- Prawie od sześciu.

- I ani razu się nie zakochałeś?

- Pewnie, że tak. - Przewiesił nadgarstek przez otwór w kierownicy. -

Na kilka godzin.

- To nie jest miłość.

- Nie? - Rzucił jej spojrzenie i przeszedł do kontrofensywy. - A ty byłaś kiedyś w poważnym związku? Zaręczyłaś się?

Potrząsnęła głową i odstawiła butelkę do uchwytu na kubek.

- Miewałam facetów, ale żaden nigdy się nie oświadczył. - Wewnętrzny niepokój uchodził z niej przez palce, którymi wybijała nerwowy rytm na desce rozdzielczej. - Mam zwyczaj umawiać się z niedostępnymi emocjonalnie mężczyznami, podobnymi do mojego taty, próbując zmusić ich, by mnie pokochali.

- Dowiedziałaś się tego od psychiatry?

- Nie, z audycji *Loueline*, z Mikiem i Doktorem Drew.

Vince nigdy nie słyszał o takim programie, ale miał okazję uczestniczyć w spotkaniach ze specjalistą, który wyjaśnił mu, dlaczego ucieka przed zaangażowaniem.

- Jeśli chodzi o mnie, wygląda na to, że nie potrafię sięgnąć do tkwiących w głębi pokładów emocji. - Zerknął na nią, a potem znów na drogę. - A przynajmniej tak słyszałem.

- Powiedziała ci to jakaś kobieta?

- Tak. Psychiatra w wojsku. - Czuł na sobie wzrok Sadie. - Piekielnie inteligentna osoba.

- Czemu nie potrafisz sięgnąć głębszych emocji? Chciał jej pomóc w oderwaniu myśli od przykrych

spraw... ale istniały pewne granice. A grzebanie w jego głowie albo przeszłości leżało daleko poza nimi.

- Tak jest łatwiej.

- Niż?

Niż żyć z poczuciem winy.

- Czy Mike i Doktor Drew radzili, żebyś unikała spotykania się z niedostępnymi emocjonalnie mężczyznami?

- Przestrzegali przed tym.

- I posłuchałaś?

Przyglądała się jego profilowi. Mocna szczęka i policzki pokryte ciemnym zarostem. Nie ogolił się, odkąd widziała się z nim poprzednio, ale chyba zdążył wziąć prysznic i zmienić ubranie.

- Fakt, że związałam się z tobą, wszystko jedno w jaki sposób, niezaprzeczalnie świadczy o tym, że nie. - Tuż pod skórą czaiły się ból i rozpacz, czuła je. Tak blisko były wydostania się na zewnątrz... Gdyby tylko na to pozwoliła.

- Całkowita racja.

Wyrzała przez okno na pylisty, płaski krajobraz Teksasu. Jej tata nie żył. Nie żył. To niemożliwe. Był zbyt zręczny, by umrzeć.

Przez kolejne pół godziny Vince dotrzymywał obietnicy, wypełniając wnętrze auta słowami. Nie gadał w kółko, podzielił się z nią jedynie kilkoma obserwacjami na temat Lovert i całego stanu. Za każdym razem, kiedy cisza zdawała się ją przygniatać, znów się odzywał. Nie wiedziała, dlaczego właściwie zatrzymała się na Gas and Go. Dałaby radę dojechać sama do Amarillo, ale obecność Vince'a i bijące od niego siła i pewność dodawały jej otuchy.

Gdy dotarli na miejsce, położył dłoń u dołu jej pleców i razem przeszli przez rozsuwane automatycznie drzwi szpitala. Kiedy Sadie wsunęła się do pokoju taty, czekał na korytarzu razem z pielęgniarką. Stokrotki, które przyniosła ojcu parę dni temu, stały w wazonie na szafce nocnej, obok antypoślizgowych skarpetek. Ktoś podciągnął prześcieradło aż po odzianą w piżamę pierś Clive'a. Jego stare ręce leżały równo wzdłuż ciała, oczy miał zamknięte.

- Tato - szepnęła. Serce kołatało jej w piersi, zdawało się podchodzić aż do gardła. - Tato - powtórzyła głośniejszym głosem, jakby mogła go obudzić. Ale już wypowiadając to słowo, wiedziała, że on wcale nie śpi. Przybliżyła się o krok do szpitalnego łóżka. Nie wyglądał, jakby spał. Wydawał się zapadnięty w sobie, daleki. Dotknęła palcami jego chłodnej dłoni.

Odszedł akurat wtedy, kiedy zaczynała go rozumieć.

Jedna, a potem druga łza spłynęły jej po policzku. Zamknęła oczy i stłumiła w sobie płacz, walcząc z ogromnym uciskiem w piersi.

- Wybacz, tato. Dwie się wymknęły - szepnęła. Był jej kotwicą, a ona przez długi czas nawet nie wiedziała, że potrzebuje kotwicy.

Zabrała rękę i osuszyła policzki chusteczką wziętą z nocnego stolika. Nawet w pierwszych chwilach żałoby nie mogła się okłamywać. Clive nie był doskonałym ojcem, ale i ona nie była idealną córką. Ich relacje często się komplikowały, ale kochała go. Kochała go głęboką, raniącą duszę

miłością. Pokonując boleść, wzięła głęboki oddech, a potem wypuściła powietrze.

- Staraleś się, jak mogłeś. - Teraz to rozumiała. Zrozumiała, poznawszy jego własne niełatwe doświadczenia z przeszłości. - Przepraszam, że mnie tu nie było. Przepraszam, że umarłeś w samotności. Przepraszam cię za wiele spraw.

Ucałowała jego chłodny policzek. Nie miało sensu siedzieć tu dłużej. Jego już tu nie było.

- Kocham cię, tato. - Emocje ścisnęły ją za gardło i ledwie wydusiła słabe: - Żegnaj.

Wróciła na korytarz i wykonała trudny telefon na ranczo. Vince stał tuż obok niej z ręką na jej plecach, rozmawiając niskim głosem z pielęgniarkami. Siostry Parton pewnie rozkleiły się, otrzymawszy wiadomość, zaś Snooks i Tyrus powitali ją ze smutkiem, choć bez zdziwienia. Byli twardymi, starymi kowbojami, jak Clive, i na pewno postarają się, by interes kręcił się bez przeszkód.

Sadie nie wiedziała, jak poradzi sobie bez swej kotwicy, i przez następne pięć dni egzystowała jak w półśnie. Niewiele jadła, a spała jeszcze mniej. Jej życie zmieniło się w rozmytą smugę. Wprawiającą w odrętwienie, niewyraźną smugę złożoną z wizyt osób wspominających ojca. W nieustający strumień zapiekane i historyjek o Clivie. W mgłę, z której wyłaniały się wspomnienia wybierania trumny i ubrań, w których tata miał być pochowany. Podpisywania dokumentów i redagowania nekrologu. Odkrycia, że ojciec zmarł na serce w wyniku zakrzepicy żył głębokich. Spotkania z panem Koonzem, prawnikiem zajmującym się sprawami rancza oraz wykonawcą testamentu taty.

Sadie siedziała w gabinecie adwokata, zapach skóry i emulsji do drewna wypełniał jej skołowany umysł. Towarzyszyło jej pięciu najwierniejszych pracowników ojca, z których każdy otrzymał piętnaście tysięcy dolarów i gwa-

rancję zatrudnienia na ranczu tak długo, jak tylko będzie chciał. Prawnik wspomniał też o funduszu powierniczym utworzonym dla nieznanego z imienia i nazwiska beneficjenta - Sadie podejrzewała, że ojciec założył go z myślą o dzieciach, których mogła w przyszłości się doczekać.

Cała reszta majątku przypadła jej. Wszystko, od jego starej półciężarówki po polisy ubezpieczeniowe rancza.

Jeszcze kilka tygodni temu ciężar odpowiedzialności zupełnie by ją przytłoczył. Teraz też go odczuwała, ale nie tak bardzo. Bo teraz ziemia ojca kojarzyła jej się bardziej z kotwicą niż z zaciskającą się na szyi pętlą.

Tata zostawił też adresowany do niej list, krótki i rzeczowy.

„Mówienie nigdy nie przychodziło mi łatwo. Kochałem mamę i Ciebie. Nie byłem najlepszym tatą i bardzo tego żałuję. Nie pozwól, żeby pracownicy zakładu pogrzebowego zrobili mi jakikolwiek makijaż i niech wieko trumny zostanie zamknięte. Wiesz, jak nie znoszę, kiedy ludzie się gapią i plotkują”.

Vince był przy niej w najtrudniejszych chwilach. Wspierał ją swoją siłą i stałością, kiedy najbardziej tego potrzebowała. Pomógł jej zebrać rzeczy ojca, a następnego dnia zawiózł ją do domu pogrzebowego. Przede wszystkim zaś spędzał z nią noce, gdy wszyscy inni ją opuszczali. Kiedy dom stawał się zbyt cichy. Kiedy zostawała sam na sam ze swymi myślami i odrętwiającą rozpaczą, gotową wciągnąć ją jak bagno. Zjawiał się i przyciskał swe ciało do jej ciała. Swoim ciepłem odpędzał ogarniający ją chłód. Nie chodziło o seks. Przychodził po prostu sprawdzić, jak ona się trzyma, i siedział z nią parę godzin.

Nigdy więcej nie popełnił błędu i nie pozwolił sobie zasnąć w jej łóżku. Zawsze gdy Sadie budziła się z nieprzynoszącego wytchnienia snu, leżała w ciemnościach zupełnie sama.

Rozdział piętnasty

Można było odnieść wrażenie, że cała populacja północnego Teksasu postanowiła wziąć udział w pogrzebie Clive'a Hollowella. Żałobnicy z tak odległych miast jak Denver, Tulsa czy Laredo zapełnili ławy największego kościoła baptystów w Lovert. Jak większość baptystów Południowej Konwencji, ojciec Sadie przyjął chrzest w wieku czterech lat, uprzednio głośno wyznając swoją wiarę. Nikt jednak nie mógł przypomnieć sobie, by widział wysoką sylwetkę Clive'a w Pierwszym Zborze Baptystów na rogu Trzeciej i Houston przy innej okazji niż pogrzeb jego żony. Ale przez lata wiele pieniędzy Hollowellów trafiło do kościelnej szkatuły. Środki te posłużyły na sztukowania i renowacje, na budowę piętna-stometrowej iglicy wieży i kurantowych dzwonów.

Pastor Grover Tinsdale wygłosił kazanie, przypominając najważniejsze prawdy dotyczące grzechu, duszy i powitania, które Bóg zgotował swemu synowi Clive'owi w niebie. Gdy skończył, Sadie zajęła jego miejsce z napisaną przez siebie mową pogrzebową. Nikt nie miał wątpliwości, że to właśnie jej powinno przypaść to zadanie. Wywodziła się z Hollowellów. Była ostatnią z rodu. Stała na podwyższeniu w eleganckiej czarnej sukience bez rękawów, z włosami zaczesanymi do tyłu. Jej oczy pozostały suche.

U jej stóp spoczywała prosta, wykonana z sosnowego drewna trumna z ciałem ojca, na której wieku wypalo-

no litery z nazwą rancza, jak nakazywał zwyczaj względem zmarłych kowboi. I jak wszyscy starzy kowboje, tata miał być pochowany w wysokich butach, które nosił za życia. Sadie nalegała, by zgodnie z życzeniem ojca trumna w czasie nabożeństwa pozostała zamknięta. Na wierzchu ułożono kwiatową kompozycję ze słoneczników, astrów, stokrotek i dzwonków, które rosły dziko na ziemi Hollowellów.

W przeciwieństwie do skromnej trumny liczne bukiety przyniesione w hołdzie przez gości i złożone na przedzie świątyni okazały się wyszukane. Wieńce, wiązanek i krzyże z kwiatów otaczały duże fotografie Clive'a i jego koni. Sadie stała ponad całym tym bogactwem, a jej głos brzmiał pewnie, kiedy opowiadała o swoim ojcu. Siostry Parton w pierwszej ławce łkały głośno, a Sadie wiedziała, że znajdą się tacy, którzy osądzą jej zachowanie. Usłyszą jej jasny głos, nie dojrzą za to żadnych łez i ogłoszą ją nieczułą, chłodną kobietą. Niewdzięczną córką, która kazała zamknąć trumnę, by bliscy nie mieli okazji pożegnać się ze zmarłym jak należy.

Mówiła o miłości, jaką ojciec darzył ziemię i ludzi, którzy z nim pracowali. Mówiła o uczuciu, jakie żywił w stosunku do swoich koni. Dorośli ludzie zgromadzeni w kościele płakali otwarcie, jednak ona nie uroniła ani jednej łzy.

Tata byłby z niej dumny.

Po uroczystości odbyło się krótkie nabożeństwo na Cmentarzu Świętego Krzyża. Clive spoczął w grobie wraz z całym pokoleniem Hollowellów, u boku swojej żony. Po wszystkim żałobnicy zostali zaproszeni na stypę odbywającą się na ranczu. Siostry Parton oraz tuzin innych kobiet z Pierwszego Zboru Baptystów przygotowały kanapki z kurczakiem i ogórkiem. Na trawniku przed domem rozstawiły namioty, a pod nimi stoły, zaś każda mieszkanka Lovert przyniosła coś do jedzenia. Przepisy przekazywane z pokolenia na pokolenie zaowocowały niezliczonymi półmiskami

z pieczonym kurczakiem oraz wszelkimi możliwymi rodzajami zapiekank. Były też sałatki, pięć rodzajów faszerowanych jaj, warzywa, chleb i cały stół samych deserów. Goście popijali to wszystko mrożoną herbatą i lemoniadą.

Wszyscy orzekli zgodnie, że nabożeństwo udało się wspaniale i okazało się godne kogoś o pozycji i reputacji Clive'a. Nie trzeba też chyba tłumaczyć, że żaden pogrzeb nie może się obejść bez paru skandali. Pierwszy miał oczywiście związek z emocjonalnym wycofaniem Sadie Jo, która zachowała spokój, podczas gdy szczerze rozpaczający padali sobie w ramiona. Na pewno zbyt zajmowało ją podliczanie wartości spadku, by odpowiednio wiele uwagi mogła poświęcić żałobie. Drugi dotyczył B. J.'a Hendersona, który oświadczył, że ogórkowy przysmak Tamary Perdue jest dużo smaczniejszy niż ten przyszykowany przez jego żonę Margie. A wszyscy wiedzieli, że Tamara nie miała oporów przed polowaniem na cudzych mężów. Uwaga B. J.'a doprowadziła więc Margie do szaleństwa, a ogórkowy przysmak Tamary skończył tragicznie, przypadkowo doprawiony dodatkową porcją sosu tabasco.

- Gdzie twój kawaler? - wrzasnęła ciotka Nelma do Sadie stojącej przy kominku, sączącej mrożoną herbatę i próbującej dotrwać do końca dnia.

Po pierwsze, Vince nie był jej kawalerem. Był przyjacielem zapewniającym dodatkowe korzyści. W ciągu paru ostatnich dni okazał się naprawdę świetnym towarzyszem, lecz to nie czyniło go jeszcze nikim więcej. Gdyby Sadie kiedykolwiek o tym zapomniała, gdyby zaczęła, choć przez sekundę, pragnąć jego kojącej obecności w swoim życiu, znalazłaby się w bardzo poważnych tarapatkach. A po drugie, wiedziała na pewno, że Nelma „założyła dziś uszy”, nie musiała więc wcale tak krzyczeć.

- Vince pracuje przy remoncie Gas nad Go. Dziś chyba maluje.

- Zaradny ten twój chłopak - stwierdziła Nelma na tyle głośno, że mogli ją usłyszeć mieszkańcy sąsiedniego hrabstwa. - To zawsze dobrze mieć w domu złotą rączkę na wypadek, gdyby coś się zepsuło albo co. A jak u niego z opieką dentystyczną?

Sadie nie miała pojęcia, jak u Vince'a z opieką dentystyczną, nie widziała też powodu, by tego dociekać, ani nie pojmowała, dlaczego ciotka zakłada, że mężczyzna miałby się zjawić tutaj, na stypie po jej ojcu. Vince nie znał Clive'a i, choć ciężar jego dłoni u dołu jej pleców pewnie przyniósłby jej pewną ulgę, Sadie cieszyła się, że nie przyszedł. Jego obecność byłaby tylko wodą na młyn plotkarzy, a ich gadaniny Sadie miała już serdecznie dosyć.

To naprawdę miłe, że w dniu śmierci taty zawiózł ją do Amarillo, a później do domu pogrzebowego, ale nie byli przecież parą. I nieważne, jak bardzo go lubiła, musiała wciąż pamiętać, że ich związek jest jedynie tymczasowy, zwłaszcza po tym, czego nauczyła się w ciągu tych dwóch krótkich miesięcy, odkąd niczego się nie spodziewając, wpadła do miasta z wizytą: wszystko w życiu może przewrócić się do góry nogami w mgnieniu oka.

W jej życiu zaszły takie właśnie nagłe zmiany. Miała wiele spraw do przemyślenia, decyzji do podjęcia. Lecz nie dziś. Dziś był dzień pogrzebu jej ojca. Musiała dotrwać do jego końca, minuta po minucie, godzina za godziną.

- Moja biedna sierotka. - Ciotka Ivella zarzuciła jej ręce na szyję. Pachniała lakierem do włosów i pudrem. - Trzymasz się jakoś?

- Tak. - Choć, szczerze mówiąc, nie wiedziała, jak to robi.

- Nie martw się. Czas leczy rany. - Ivella ją puściła. - Nabożeństwo było piękne, a ilu ludzi się zjawiło! Aż trzeba było przynieść drugą księgę pamiątkową.

Sadie nie rozumiała zwyczaju wystawiania księgi pamiątkowej na pogrzebach. Być może niektórzy ludzie

znajdują w niej pocieszenie, ale ona nie potrafiła wyobrazić sobie, by kiedykolwiek miała ją najść ochota na przeczytanie zapisanych dziś stronic.

- Lepiej coś przegryźć. Jest mnóstwo jedzenia. Charlotte upiekła swoje słynne ciasto wiśniowe, to, które zawsze podaje na Boże Narodzenie.

- Na pewno skosztuję. - Sadie upiła łyżeczek herbaty. -Dziękuję, że przyszedłaś, ciociu.

- To się rozumie samo przez się. Jesteśmy rodziną, Sadie Jo.

Kilka tuzinów krewnych ze strony matki wstąpiło, by złożyć kondolencje. Większość dołożyła zapiekankę albo ucieraną babkę do stert jedzenia i zmyła się po godzinie. Ale starsze ciotki zostały i szykowały się na dłuższe posiedzenie.

- I chociaż Clive bywał trudny - ciągnęła Ivella - on także należał do rodziny.

Była to jedna z najmilszych rzeczy, jakie Ivella kiedykolwiek powiedziała na temat męża swej zmarłej siostry. Sadie starała się osobiście podziękować każdemu, kto uczestniczył w pogrzebie, a później w stypie, była jednak przekonana, że kogoś pominęła. Kogoś, kto będzie rozpamiętywał ten afront przez następnych dziesięć lat.

Ulotniła się z salonu i zaraz wpadła na wujka Frasiera i ciocię Pansy Jean. Zegarki wskazywały szesnastą trzydzieści, więc Frasier nerwowo zaciskał pięści, wyczekując pory koktajlowej. Wuj opowiedział nieco mdły dowcip, a ciotka uraczyła ją ploteczkami o Margie i Tamarze oraz aferze z przysmakiem ogórkowym.

- Tamara Perdue po prostu nie potrafi trzymać nóg razem - orzekła.

Parę chwil później Sadie wśliznęła się do kuchni i naląła sobie mrożonej herbaty. Wrzuciła do środka parę kostek lodu i pokręciła głową z boku na bok, by rozluźnić mięśnie

szyi. Od tych wszystkich uścisków dostawała już skurczów, a stopy zaczynały ją boleć od siedmiocentymetrowych obcasów. Zastanawiała się, czy ktoś by zauważył, gdyby wymknęła się na górę, aby zmienić buty.

- Słyszałam, że spędzasz sporo czasu z Vincentem. Rozpoznała ten ochryply od papierosów głos, jeszcze zanim się odwróciła.

- Dzień dobry, pani Jinks. - Luraleen miała na sobie różową bluzkę z napisem „Cudowne Las Vegas” i długie kolczyki z koralików, które sięgały jej kościstych ramion. W rękach trzymała przykryty półmisek. - Nie wiedziałam, że pani wróciła.

- Dotarłam dziś rano. Przyjechałam, żeby złożyć kondolencje i wręczyć ci zapiekankę, to wszystko. - Wcisnęła naczynie w dłonie Sadie. - Zawsze lubiłam twójego tatę. Wszystkim okazywał szacunek.

Sadie przyjęła zapakowaną potrawę i podziękowała. Luraleen miała rację. Clive odnosił się do ludzi z szacunkiem i nauczył swoją córkę tego samego.

- Mamy mnóstwo jedzenia, więc proszę się częstować, jeśli ma pani ochotę.

- Więc zostajesz teraz w mieście?

- Nie jestem jeszcze pewna, co zrobię. - A nawet gdyby wiedziała, Luraleen Jinks byłaby ostatnią osobą, z którą podzieliłaby się swoimi planami. - Mam trochę czasu, żeby się nad tym zastanowić.

- Byle nie za długo. Kobiety nie mogą zwlekać tak jak mężczyźni - odparła Luraleen ze swoim chrapliwym poświstem. - Wróciłaś w rodzinne strony, ale teraz twój tata nie żyje. - Uniosła jeden wyprostowany kościsty palec. - A ty musisz pamiętać o swoich obowiązkach względem tego miejsca.

Sadie uśmiechnęła się tylko i ruszając z miejsca, przekazała danie Carolynn.

- Dziękuję, że wstąpiła pani złożyć kondolencje. - Odwróciła się i szepnęła kucharce do ucha: - Pójdę się na chwilę położyć.

- Nie ma sprawy, kochana. Clara Ann i ja zajmiemy się tu wszystkim, a ty odpocznij.

Nie oglądając się za siebie, Sadie wspięła się tylnymi schodami i minęła hol obwieszony portretami przodków. Wśliznęła się do sypialni, zsunęła buty i usiadła na brzegu łóżka. Potrzebowała tylko paru chwil spokoju. I ciszy, lecz głosy niosły się po domu, docierały tu przez okno. Słyszała śmiechy zmieszane z przygaszonymi, pełnymi szacunku rozmowami. Była wykończona, ale nawet nie próbowała się kłaść. Wiedziała, że próba uśnięcia skończyłaby się tylko pogłębieniem frustracji.

Podniosła się i skierowała w stronę sypialni ojca. Przez kilka sekund stała z ręką na gałce ze zmatowiałego mosiądzu, a potem wzięła głęboki oddech, otworzyła drzwi i weszła do środka. Od śmierci taty była tu tylko raz, gdy musiała zabrać z szafy jego jedyny garnitur, koszulę i kowbojski krawat z plecionej skóry. Jej tata niewiele mówił i jeszcze mniej posiadał, przynajmniej jeśli chodziło o przedmioty osobistego użytku. Stara kołdra w poszwie ozdobionej wzorem w duże koła leżała na łóżku z kutego żelaza. Na drewnianej komodzie stały trzy zdjęcia przedstawiające Johannę jako Miss Teksasu, Clive'a z żoną tuż po ślubie oraz Sadie w dniu ukończenia szkoły. Nad gzymsem kamiennego kominka wisiał obraz jednego z ukochanych, zdobywających nagrody ogierów ojca, Captain Church Hilla. Koń zdechł dziesięć lat temu.

Przygryzła drżącą wargę, a z jej oczu wymknęły się łzy na wspomnienie taty, który wtajemniczał ją w historię i rodowody swoich ulubionych wierzchowców. Nigdy nie mówił za to o swoim dorastaniu na ranczu. Zawsze przypisywała to jego malkontentwu i niekomunikatywności. I choć bez wątpienia posiadał obie te cechy, teraz wiedziała, że składał

się na to też fakt, że Clive wychowywał się pod okiem brutalnego ojca i że krył w sobie niespełnione marzenia o życiu „króla szos”.

Jakiś hałas z parteru sprawił, że Sadie aż podskoczyła. Serce waliło jej w piersi, kiedy wycofywała się z pokoju. Otarła łzy z policzków.

Czuła się jak czarka, z której zaraz zacznie się wylewać. Nie mogła stać tutaj i patrzeć na należące do ojca rzeczy, ale nie miała też siły, by wrócić na dół. Sama myśl o tym, by znów popijać herbatę i uśmiechać się uprzejmie do gości, zdawała się kroplą zdolną ją przepelnić.

Przeszła z powrotem do własnej sypialni i wciągnęła swoje stare kowbojki. Na głowę założyła kapelusz i chwyciła kopertówkę leżącą na nocnej szafce. Obcasy stuknęły lekko na podłogach z twardego drewna w korytarzu i na stopniach schodów. Po drodze do drzwi wejściowych minęła parę osób, ale nie zatrzymała się, by się z nimi przywitać. Po prostu szła przed siebie. Za linię zaparkowanych przed domem samochodów i dalej, pylistą drogą. Rondo kapelusza osłaniało oczy przed popołudniowym słońcem, a ona szła. Jej serce ścisnęło się z żalu i niepokoju. Tata odszedł - i co ona teraz pocnie? Co postanowi w związku z ranczem? Nie musiała się tu przenosić. Miała kilka innych opcji. Mogła zaangażować się w prowadzenie interesu, pozwolić kierownikowi oraz dwóm nadzorcom przejąć wszystkie obowiązki albo znaleźć jakiś złoty środek. W poniedziałek rano umówiła się na spotkanie z Dickiem Briscoe, Snooksem Perrym i Tyrusem Pratterem; mężczyźni chcieli przedyskutować z nią wszystkie możliwości i zapoznać się z jej planami. Była w tej chwili jedyną właścicielką czterech tysięcy hektarów ziemi, kilku tysięcy sztuk bydła i tuzina zarejestrowanych koni rasy Paint Horse. Sądziła, że w skład majątku wchodzi też parę psów do zaganiania bydła i stado pomieszkujących w stajniach kotów.

Jakaś jej część pragnęła stąd uciec, jak zwykle. Po prostu wskoczyć do auta i odjechać, zostawić to wszystko daleko w tyle. Ale była też inna część, nowo odkryta i intrygująca, która chciała zostać i przekonać się, jak można by tu żyć.

Lekka bryza kładła dziko rosnące trawy i wzbijała chmury pyłu. Sadie przystanęła na środku ścieżki i spojrzała na dom w oddali. Oceniała, że odeszła już ponad półtora kilometra. Czas wracać.

- Wszyscy mówią, że Sadie się stąd wyniesie, kiedy tylko położy rękę na pieniądzech swojego taty.

Vince spojrzał na Beccę. Nie widział jej od jakiegoś tygodnia. Sądził, że może o nim zapomniała. Ale takie szczęście nie było mu dane.

- Tak wszyscy mówią?

- Właśnie tak.

Rzucił jej napój gazowany wyjęty ze stojącej na podłodze biura przenośnej lodówki. Tego dnia jej włosy przypominały bańkę wokół twarzy. Wyglądała nieco dziwnie, ale nie tak dziwnie jak z asymetryczną fryzurą, w której widział ją jakiś czas temu.

- Ja tam nie wiem, co zamierza. - Nie podzieliła się z nim swoimi planami.

- A ty i Sadie Jo nie jesteście przypadkiem parą?

Uklęknął i zaczął przekopywać się przez najgłębsze zakamarki swojej skrzynki z narzędziami zajmującej honorowe miejsce na środku pomieszczenia. Prace remontowe trwały dłużej, niż zakładał. Dziś, zamiast posunąć robotę naprzód, spędził dzień na oglądaniu mieszkań, a już wkrótce, dużo wcześniej, niż się spodziewał, będzie musiał rzucić wszystko i wybrać się do Seattle.

- Nie jesteście?

- Co nie jesteśmy?

- Parą. Z Sadie Jo.

Jego życie intymne nie było sprawą Bekki.

- Nie wiem, czy nazwałbym nas parą.

- To jak byś was nazwał?

Uniósł wzrok na tę irytującą smarkulę.

- Najtrafniejsze określenie brzmi: to nie twój interes. Becca zmarszczyła brwi i otworzyła puszkę z napojem.

- Widziałam, jak na nią patrzysz, Vince.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu, jak wpadłam cię odwiedzić, a potem zjawiła się Sadie. - Oparła się ramieniem o ścianę we wnęce drzwiowej, gdzie jeszcze parę dni temu znajdowała się framuga. Nie planował wymieniać drzwi i listew, lecz po latach urzędowania ciotki w budynku odór papierosowego dymu wniknął tak głęboko w drewno, że w pomieszczeniach śmierdziało jak w starym barze w Vegas. - Kiedy na nią patrzyłeś, oczy ci błyszczały.

Pieprzenie. Jeśli rzeczywiście tak było, to musiały lśnić od czystej żądz.

- Mnie oczy nie błyszczą - oznajmił dziewczynie, która używała brokatowych cieni do powiek. Nadal grzebał w skrzyni w poszukiwaniu poziomnicy. - Nigdy.

- Ależ tak.

Poczuł uderzające w twarz gorąco i gdyby nie znał się tak dobrze, mógłby wziąć to za objaw zawstydzenia. Ale ten pomysł był niedorzeczny. On nigdy się nie wstydził.

- Pamiętasz, jak spotkaliśmy się na weselu Tally? Raczej nieprędko o tym zapomni. Podniósł się i wziął z biurka swój pas z narzędziami.

- Nie sądziłam, że po aferze ze Slade'em jeszcze kogoś sobie znajdę.

Zapiął w pasie skórzany przybornik. Boże, ona najwyraźniej kochała teatralność.

- Ale znalazłam. Na imię ma Jeremiah.

Spojrzał na nią, zastanawiając się, czemu Becca sądziła, że go to cokolwiek obejdzie. Ach, no tak, uważała go za swojego ojca.

- Więc nie będę mogła spędzać z tobą aż tyle czasu. Chwalić Boga.

- A Sadie, zostanie?

Nawet gdyby Vince tego chciał, sama zainteresowana wciąż powtarzała, że wyniesie się z Lovett jak najszybciej. „Z powrotem do swojego prawdziwego życia”. Przy ich pierwszym spotkaniu to była jedna z rzeczy, które go w niej pociągały. Teraz odnajdywał ich coraz więcej. Poza oczywistościami, Sadie była inteligentna i twarda. W ciągu kilku ostatnich dni okazała się silna w obliczu straty. Odwrotnie niż jego matka, którą każde nieszczęście rzucało na kolana, Sadie stała mocno na nogach, stawiając czoło przeciwnościom losu z niewzruszoną godnością. To mu się w niej podobało. Ale fakt, że prawdopodobnie wkrótce wyjedzie, przestał go cieszyć. Wcale by się nie obraził, gdyby jednak została. Sam zawitał do Lovett z myślą, że spędzi tu tydzień, najwyżej dwa. Ale przecież wszystko się może zdarzyć albo, parafrazując Donalda Rumsfelda, wydarzenia dzielą się na znane i przewidywalne, znane i nieprzewidywalne oraz nieznanne i nieprzewidywalne. Prasa nabijała się z byłego sekretarza obrony narodowej z powodu tego stwierdzenia, ale ludzie tacy jak Vince, którzy wkroczyli na teren znany i nieprzewidywalny, by następnie wylądować w samym środku nieznanego i nieprzewidywalnego zadymy, rozumieli jego przesłanie doskonale. Vince uwielbiał dobrze przeprowadzone znane i przewidywalne plany. Cieszył się, kiedy udało mu się przeczuć komplikacje, nim te nastąpiły, albo przygotować się na nadchodzące kłopoty, tak, żeby to, co znane i przewidywalne, nie zdążyło zmienić się w znane, lecz nieprzewidywalne. Albo gorzej: w nieznanne i nieprzewidywalne, czyli sytuację, w której nie pozostawało nic innego, jak

wysadzenie okolicy w powietrze i strzelanie do wszystkiego, co się rusza. Sięgnięcie po każdy środek, by dopaść i zniszczyć skurwysynów.

- Jesteś miłym facetem i zasługujesz na miłą dziewczynę.

Co dowodziło, jak niewiele Becca wiedziała. Nie był miłym facetem. Widział i robił rzeczy, do których nie przyznałby się nikomu spoza wojska. Rzeczy, których cywile by nie zrozumieli, które odcisnęły piętno na jego duszy, których jednak nie żałował i nie zawahałby się przed ich powtórzeniem, gdyby tego wymagał jego kraj. Albo w obronie swojej rodziny. Tyle że rodzina nie potrzebowała już jego obrony.

- Uważam, że jesteś naprawdę świetny, Vince. - Duże brązowe oczy dziewczyny spoglądały na niego z drugiego końca pomieszczenia.

Jego telefon zapiszczał, a kiedy wyjął go z kieszeni, przeczytał na wyświetlaczu: „Uratuj mnie”. Na miejscu czekało go wiele pracy. Cały dzień poświęcił na oglądanie mieszkań, a ostatnie cztery dni spędził z Sadie. Był do tyłu z remontem, a dziś mógłby trochę nadgonić, do nocy zostało parę dobrych godzin. Wręcz musiał trochę nadgonić, nim za kilka dni wyruszy do Seattle. A nieoczekiwana wyprawa na ranczo tylko dodatkowo by go opóźniła, co mogło odbić się na jego finansach.

A Vince nie znosił tracić pieniędzy prawie tak bardzo, jak nienawidził nieznanych i nieprzewidywalnych sytuacji oraz długów.

Wsunął telefon do bocznej kieszeni bojówek.

- Już późno - oznajmił. - Czas do domu.

Odprowadził Beccę do drzwi, a sam wskoczył do swojego trucka. W drodze na ranczo nie próbował nawet odpowiedzieć sobie na pytanie, dlaczego rzucił wszystko, by popędzić Sadie na ratunek. Nie znalazłby w tym żadnej logiki,

a wolał, kiedy jego decyzje okazywały się sensowne. Lubił przecież dobrze przeprowadzone plany. Jasność celu. Rzeczy znane i przewidywalne.

Skreśli! z głównej drogi i przejechał przez bramę na teren posiadłości Hollowellów. Chciałby wmówić sobie, że nie chodzi w tym wszystkim o nic poza seksem. Tak byłoby najprościej. Racjonalnie i bez owijania w bawełnę. Ale kobieta, która szła w jego stronę - obcasy jej kowbojskich butów wzbijały obłoczki pyłu - stanowiła jedną wielką, cholernie seksowną komplikację w tym rozumowaniu. Stary dobry Don Rumsfeld nazwałby to znanym, acz nieprzewidzianym rozwojem wydarzeń.

Rozsądnym wyjściem byłoby szybkie w tył zwrot i ucieczka, zanim nieprzewidywalna część tego równania rzuci go w sam w środek burzy. Nie cierpiał zbierających się nad głową chmur, które przynosiły ze sobą przykre uczucie, że znajduje się na niezbadanym terenie. Każdy dobry wojskowy wiedział, kiedy należy się wycofać. Spieprzać jak najdalej. Przez pół sekundy rozważał, czy nie zawrócić. A potem ona się uśmiechnęła i podniosła rękę, żeby lekko mu pomachać, a Vince poczuł się, jakby ktoś przyłożył mu pięścią prosto w przeponę. Musiał przypomnieć sobie, że oddychanie to ważna sprawa. Wcisnął guzik w drzwiach, a szyba zjechała w dół.

- Cześć, żołnierzu - rzuciła Sadie na powitanie, stojąc w bladym tumanie kurzu wzbitego kołami samochodu. Zajrzała do kabiny, jej wzrok padł na czarne włosy i zielone oczy osadzone w twarzy, która z każdym dniem zdawała jej się przystojniejsza.

- Dokąd się wybierasz?

- Gdziekolwiek. - Rozgoniła dłonią chmurę pyłu. - Pasuje ci to?

- To zależy. - Wyszczrzył zęby. - Co masz w planach?

Uśmiechnęła się i był to pierwszy szczery uśmiech, odkąd wstała z łóżka.

- Kiepskie decyzje, których później będziemy żałować. Zaprosił ją gestem do zajęcia siedzenia po stronie pasażera.

- W takim razie wskakuj.

Nie musiał jej dwa razy powtarzać. Parę aut z żałobnikami minęło ją, kiedy szła drogą. Wszyscy byli mili i pełni dobrych intencji, ale ona dość się już dziś nagadała. Wsunęła się na fotel i zapięła pas.

- Boże, co za dzień. - Zdjęła kapelusz i odchyliła głowę w tył.

- Zmęczona?

- Mhm.

- Jak dałaś sobie radę? - Vince zawrócił i skierował się z powrotem w stronę miasta.

Przekręciła głowę, nie podnosząc jej z zagłówka, żeby na niego popatrzeć. Takie pytanie od faceta, który twierdził, że rozmowy to nie dla niego?

- Nabożeństwo było udane. Przyszło mnóstwo ludzi, przynieśli całe tony kwiatów. I tyle jedzenia, że można by wykarmić sporą wioskę. Co w Teksasie wiele znaczy. - Siedząc wygodnie w jego samochodzie, zdołała się rozluźnić, po raz pierwszy tego dnia. Być może nawet pierwszy raz w tym tygodniu. - A ty, co dziś robiłeś? - Rany, ta wymiana zdań niepokojąco przypominała konwersację dwojga ludzi będących w związku. Co trochę ją przerażało.

- Rozglądałem się za mieszkaniem, a poza tym kupiłem dmuchany materac i śpiwór w Amarillo.

- Nie wiedziałam, że szukasz mieszkania. - Miał na sobie swój zwykły zestaw, czyli brązową koszulkę i beżowe bojówki. Był jedynym znanym jej mężczyzną, który bynajmniej nie wyglądał nijako w tak mdłych kolorach.

Wyjechał z powrotem na główną drogę.

- Luraleen wróciła wczoraj wieczorem.

- Wiem. Przyszła na pogrzeb, a potem zjawiała się na stypie z zapiekanką.

Zerknął na nią, a potem znów na szosę.

- A jej kuchnia to tylko jeden z wielu powodów, dla których się wyprowadziłem.

Sadie uniosła brwi, studiując jego profil, a także potężną szyję i szerokie ramiona w obcisłej koszulce.

- Więc już coś znalazłeś? Szybko.

- Jestem szybki.

- Pamiętam. Ledwie spotkaliśmy się po raz drugi, a już wsadziłeś mi łapę pod sukienkę.

Zachichotał i znów na nią zerknął.

- Nie narzekałaś.

- To prawda.

Sięgnął na tylne siedzenie i podał Sadie butelkę zimnej coli light i paczkę cheetosów. Spojrzała na pomarańczowe opakowanie na swoich kolanach, poczuła pod palcami chłód napoju i nagle coś ścisnęło ją za serce. Coś zakłuło. Dostawała już od mężczyzn różne prezenty, kwiaty, biżuterię i bieliznę, a tymczasem rozpływała się z powodu coli i cheetosów?

- Kolacja? - Winiła emocje tego dnia. - Uważaj, ani się obejrzysz, a zaprosisz mnie do kina.

- Mam ukryty motyw.

Sadie otworzyła butelkę, napiła się i pomyślała, że to dziwne uczucie w żołądku musi mieć coś wspólnego z tym, że napój jest gazowany.

- Ze mną sprawa jest praktycznie pewna. Nie musisz mnie przekupywać colą i chipsami, żeby ci się poszczęściło.

- Nie wierzę w szczęście. - Popatrzył na nią, a kącik jego ust uniósł się delikatnie. - Wierzę w dobrze przeprowadzone plany. Nazywa się to stałą gotowością.

- Piszą o tym w podręczniku dla komandosów SEAL?

- W którymś rozdziale, tak. - Zaśmiało się cicho, rozbawiony, i ten dźwięk przyspieszył jej puls. - Gdzieś między „zawsze na czas, zawsze skupiony, nigdy w odwrocie” a „upewnij się, że masz jaja, żeby wyskoczyć”.

Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że istotniejsze jest upewnienie się, czy masz spadochron.

- Toteż.

- Brakuje ci skakania z samolotów? Wyrzwał przez boczną szybę.

- Coraz mniej, ale tak.

- Dlaczego oszedłeś?

Minęło kilka chwil, nim w końcu odpowiedział:

- Głównie ze względu na sprawy rodzinne.

Domyślała się, że nie mówił jej wszystkiego w tej kwestii, ale nie chciała się wtrącać. No dobrze, chciałyby się wtrącić, ale czuła, że nie może.

- Za czym tęsknisz najbardziej?

- Za kumplami z drużyny. - Odchrząknął i skierował wzrok z powrotem na drogę przed sobą. - Za uczestnictwem w misji prowadzącej do szlachetnego celu. - Zamilkł na moment, a potem dodał: - Za pływaniem w oceanie. I atakowaniem wozów wyładowanych karabinami maszynowymi M2 i wyrzutniami granatów, kaliber .40. Za strzelaniem do różnych rzeczy.

Zachichotała, otwierając paczkę z cheetosami. Właśnie wjeżdżali do Lovett.

- Brzmi jak coś dla mnie. Jestem naprawdę dobrym strzelcem.

Zerknął na nią kątem oka.

- Jesteś niezła jak na dziewczynę.

- Wygrałabym z większością facetów. Gdybyś mi pozwolił na rewanż, pewnie pokonałabym i ciebie.

- Nigdy w życiu.

Prawda. Miała okazję oglądać jego zabójczą celność, nabytą dzięki uprzejmości rządu Stanów Zjednoczonych.

- Czego jeszcze ci brakuje?

- Okazji do założenia płetw i stawienia czoła falom.

- Jezioro Meredith leży niecałe sto kilometrów od Lo-vett. - Schrupała jednego chipsa. - A mój wujek Frasier ma basen. To tylko kilka przecznic stąd, ale zaczęła się pora koktajlowa, więc pewnie zdążył się już upić i pływa sobie nago. Ale mogę z nim o tym pogadać, jeśli chcesz.

- Przez szesnaście lat mieszkałem nad oceanem. Zdecydowanie wolę go od basenów. - Skręcił w Desert Canyon Street, a potem w Butte. - Zwłaszcza od basenu, w którym pijany facet dryfuje sobie jak nagi korek.

Co dość trafnie opisywało wujka Frasiera.

Rozdział szesnasty

Osiedle Casa Bella należało do nowych inwestycji, a domy wykończono stiukami w kolorze terakoty i hiszpańskimi dachówkami. Znajdowało się tu na oko dwadzieścia mieszkań. Vince zaparkował pod wiatą, a potem poprowadził Sadie na drugie piętro do jednego z nich, zajmującego powierzchnię siedemdziesięciu pięciu metrów kwadratowych. Miał tu dwa pokoje, łazienkę i toaletę, a wszystkie pomieszczenia wypełniono podstawowym wyposażeniem. Podłogę pokrywał czysty dywan, w powietrzu unosiła się woń świeżej farby - idealne miejsce dla samotnego młodego mężczyzny, który nie wiedział, jak długo przyjdzie mu żyć w małym miasteczku.

- Gdybym wiedziała - odezwała się Sadie, wchodząc do kuchni i wodząc spojrzeniem po sprzętach mieszczących się bez wyjątku w średnim przedziale cenowym - kupiłabym ci roślinkę na nowe mieszkanie.

Otworzyła lodówkę i wstawiła swoją colę na półkę obok skrzynki lone starów i sześciopaku wody mineralnej.

- Nie chcę roślinki. - Chwycił jej kapelusz i rzucił go na pudło leżące na kuchennym blacie. Później zsunął dłonie po jej bokach aż na talię. Przyciągnął ją tak, że oparła się plecami o jego pierś, i pocałował ją w szyję. - Nie napracowałem się dziś zbytnio na Gas and Go. Więc chyba nie śmierdę.

Uśmiechnęła się i przechyliła głowę na bok, by zapewnić mu lepszy dostęp.

- Ten tekst na podryw zwykle skutkuje?

- A w twoim przypadku poskutkował?

- Jak widać.

Rozpiął zamek przy jej sukience i zsunął ją z jej ramion.

- Masz czarny stanik.

- Majtki też.

- Zauważyłem. - Krepowa sukienka opadła na podłogę, a on wyszeptał z ustami przyciśniętymi do jej nagiego ramienia: - Chcę zerznąć cię w tych kowbojskich butach. - Jego palce sięgnęły zapięcia stanika. - Jak ci się to podoba?

O tak. Odwróciła się do niego, a stanik dołączył do sukienki na podłodze.

- Dobrze, Vince. - Ściągnęła mu koszulkę przez głowę, a jej ręce powędrowały w górę i w dół po jego twardych mięśniach. Pocałowała go w szyję, podczas gdy jej dłoń zanurkowała ku przodowi jego spodni. - Ty mi się podobasz.

- Zacisnęła palce wokół jego grubego, stojącego penisa. - Jesteś zawsze na czas, zawsze skupiony i nigdy w odwrocie.

- Vince wciągnął gwałtownie powietrze, a ona się uśmiechnęła z wargami tuż przy ciepłej skórze jego szyi. - Wydaje mi się, że właśnie to nazwałbyś „stałą gotowością”. Lubie, kiedy facet jest całkiem gotowy i może się pochwalić cudownym, wielkim i twardym... - Przesunęła dłonią tam i z powrotem po jego członku, dotykając nabrzmiącej główki - ... ciałem. - Ugryzła go w płatek ucha i wyszeptała: - Zerznij mnie w tych butach, Vince.

1 tak zrobił. Właśnie tam, oparłszy Sadie o drzwi lodówki, z jej nogami owiniętymi wokół pasa. To było szybkie i wściekłe, i tak gorące, że ich skóra ślizgała się i zlepiała, a Sadie czuła, jakby i od środka, i z zewnątrz ogarniał ją ogień.

- Jesteś dobra. Taka dobra - wyjęczał Vince, tymczasem ona nie mogła nawet złapać oddechu, bo trawił ją we-

wewnętrzny pożar. Serce biło jej jak szalone, a cały świat wręcz rozpadł się na kawałki. A kiedy to wszystko dobiegło końca i każda komórka jej ciała wróciła na swoje miejsce, Sadie poczuła się inaczej. Nie jak zakochana. Ale jak ktoś, kto już nie jest tak samotny. Przez cały dzień otaczał ją tłum ludzi, nie mogła powiedzieć, by była sama. Ale przy Vinsie wiedziała, że żyje.

- Wszystko w porządku? - spytał z ustami przy jej szyi, jego gorący oddech łaskotał jej wciąż uwrażliwioną skórę.

- Tak. A co z tobą? To w końcu ty wykonałeś całą pracę.

- Lubię tak pracować. - Wziął głęboki oddech, a potem go wypuścił. - Zwłaszcza z tobą.

Ale jak długo jeszcze? przemknęło jej przez głowę po raz pierwszy od momentu, w którym Vince przekroczył próg jej domu w Dniu Założyciela. Spodziewała się, że wypełni jej noc swoją obecnością. Nie przypuszczała tylko, że wypełni całe jej życie. To zaś było cholernie przerażające. A fakt, że pozwalała swojemu umysłowi wędrować tą przerażającą ścieżką, świadczył o tym, że jej zależało. Co niekoniecznie należało traktować jako coś złego, ale jeśli zaczęłoby jej zależeć za bardzo, wtedy miałyby poważne powody do zmartwienia. Bo to oznaczałoby coś, o czym teraz nie chciała wcale myśleć. Zastanowi się nad tym potem, kiedy będzie rozważać wszystkie pozostałe porąbane sprawy w swoim życiu.

W jakiś czas później siedziała ze skrzyżowanymi nogami na balkonie na tyłach domu, popijając piwo. Zimny beton chłodził jej plecy, kiedy wpatrywała się w zachodzące słońce.

- Zarezerwowałem lot do Seattle na poniedziałek po południu.

Sadie miała na sobie majtki i brązową koszulkę Vince'a, która sięgała jej trochę powyżej kolan.

- Po co?

- Skoro już wiem, że jeszcze trochę tu pomieszkać, muszę zabrać parę rzeczy z magazynu. - Siedział obok niej, oparty plecami o ścianę. Bose stopy ułożył na dolnej krawędzi balustrady z kutego żelaza. Włożył swoje bojówki i nic poza tym. - Wynajmę vana i przyjadę z powrotem. - Wziął łyk piwa. - Zostanę w Seattle parę dni, spędzę trochę czasu z siostrą i Connerem.

- To twój siostrzeniec?

- Tak. I pewnie nie uniknę spotkania z Sukinsynem.

- Czyli Samem Leclair?

- Taak. Boże, nie znoszę gościa. Zwłaszcza teraz, skoro zmienił się układ.

Sadie pociągnęła z butelki i zmrużyła oczy przed pomarańczowym słońcem chowającym się za drzewami.

- Masz na myśli to, że zaręczył się z twoją siostrą?

- Nie. Chodzi o to, że odkąd wpłacił za mnie kaucję, nie mogę mu przywalić.

Sadie aż się zakrztusiła.

- Kaucję? - wyrzęziła. - Jaką kaucję?

- Za wyjście z aresztu. - Zerknął na nią kątem oka. - Zwinęli mnie, kiedy w grudniu zeszłego roku wdałem się w sprzeczkę z paroma facetami w lokalnym barze.

- Paroma? To ilu ich było?

- Pewnie z dziesięciu. - Wzruszył ramionami, jakby nie było o czym mówić. - Myśleli, że są wielkimi złymi bi-kerami.

- Biłeś się z dziesięcioma wielkimi złymi bikerami?

- Oni tylko się za takich mieli. - Potrząsnął głową. - Ale w rzeczywistości byli ciency.

Mimo wszystko...

- Ale z dziesięcioma?

- Zaczęło się z jednym czy dwoma. Reszta dołączała się stopniowo, aż zamieniło się to w prawdziwą barową bijatykę.

- O co w ogóle poszło?

- Kilku z tych gości wycierało sobie gęby ważnym dla mnie tematem i nie mogłem tego słuchać.

- Co? - Sadie otworzyła szeroko usta, a potem zamknęła je gwałtownie. - Wdałeś się w awanturę z bikerami, bo powiedzieli coś, co ci się nie spodobało? - To zakrawało na szaleństwo. Całkowicie bezsensowne do tego. - Nie mogłeś zwyczajnie wyjść?

Popatrzył na nią kątem oka, tak jakby to ona zwariowała.

- Całym sercem popieram wolność słowa i w ogóle. Ale w parze z nią idzie odpowiedzialność za to, co się wygaduje. I jeżeli ktoś decyduje się twierdzić, że każdy wojskowy to niewyedukowany gwałcieł, to ja mam prawo zamknąć mu ten cholerny ryj. Nie, nie prawo. Obowiązek.

- To słowa bikera? - Zdawało jej się, że bikerzy raczej bronią mundurowych.

- To było w Seattle - odparł, jakby to wszystko wyjaśniało. - Cały stan Waszyngton pełen jest stukniętych liberałów.

To chyba nie był najlepszy moment, by zdradzić mu, że głosowała na Obamę.

Vince wyjął komórkę z bocznej kieszeni spodni.

- Całkiem mnie wyczerpałaś i umieram z głodu. Cheetosy nic tu nie pomogą. - Zamówił pizzę i pomógł Sadie wstać. - Jeśli w dalszym ciągu będę napychał się śmieciowym jedzeniem i siedział z tobą, zamiast pracować, wkrótce utyję.

Stała przed nim i położyła dłoń na jego płaskim brzuchu.

- Nie sędzę, żebyś musiał się tym przejmować.

- Nie jestem w formie.

- W porównaniu z kim?

Skierował się do kuchni, a ona podążyła za nim.

- W porównaniu z okresem, kiedy trenowałem każdego dnia. - Zdjął jej kapelusz z pudła na blacie. - Moja sio-

stra przysłała mi trochę starych zdjęć i innych bzdur razem z dokumentacją podatkową z ubiegłych dwóch lat. - Sięgnął do pudła i wyciągnął stamtąd plik fotografii, z których większość rzucił na ladę, a jedną podał Sadie.

Przedstawiała młodego mężczyznę o umięśnionej klatce piersiowej, ubranego w mokre szorty.

- O rany. - A uważała do tej pory, że nie można już być bardziej napakowanym. Wodziła wzrokiem od muskularnej piersi do twarzy Vince'a na fotografii. - Wyglądasz tu tak młodo.

- Miałem dwadzieścia lat. To zdjęcie zrobione w dniu, w którym przeszedłem próbę tonięcia.

Sadie bała się zapytać, co to takiego, więc tylko wzięła z blatu kolejne zdjęcie. Widniał na nim Vince przykłękający na jedno kolano na tle pooranej nabojami ściany, z karabinem maszynowym u boku, ubrany w pełen mundur typu „piaskowa burza” i z nieporządnym czarnym zarostem pokrywającym szczękę. Na innym był gładko ogolony i robił pompki z dwiema butlami nurkowymi na plecach.

- Ile takie coś waży?

Odwrócił się, by sprawdzić, o czym mówiła.

- Jakieś trzydzieści pięć kilo. Wycieńczające cykle ćwiczeń mi nie przeszkadzały. Nie znośmę tylko być mokry i zapiaszczony.

Zdążyli już ustalić, że kocha wodę i nienawidzi piasku. Przeniosła uwagę na kolejną fotografię, na której utrwalona została jeszcze młodsza wersja Vince'a obejmująca ramionami jakąś kobietę oraz rudowłosą nastolatkę. Miał na sobie biały marynarski mundur z czarną chustką na szyi, białą czapkę i szerokim uśmiechem do kompletu.

- To moja mama i siostra na zakończeniu PKNP/S. -Sadie dostrzegła pewne podobieństwo między nim a matką. Siostra wyglądała zupełnie inaczej.

- Co to dokładnie znaczy PKNP/S?

- Podstawowy Kurs Niszczenia Podwodnego/SEAL. Zauważyła też dumę w oczach jego matki. Gdyby jej tata doczekał się takiego syna jak Vince, także byłby dumny. Może nawet poklepałby go trzykrotnie po plecach.

- A twój ojciec, był tam wtedy?

- Nie. Z pewnością miał ważniejsze sprawy do załatwienia.

Biorąc pod uwagę te nieliczne szczegóły, które Vince zdradził na temat ojca, ta odpowiedź wcale jej nie zdziwiła. Ale co mogło być istotniejsze niż własny syn kończący właśnie prestiżowe szkolenie SEAL?

- Co na przykład? Potrząsnął głową.

- Nie mam pojęcia.

- Mój tata nie przyszedł na uroczystość zakończenia liceum. - Ale ona przynajmniej wiedziała, co w tym czasie zyskało wyższy priorytet. - Szczepił bydło. - Znów wróciły do niej wydarzenia tego dnia i historii, jakie żałobnicy opowiadali o Clivie: te przychylne i te mniej przychylne. Ostatnim razem, gdy się z nim widziała, nawiązali silniejszą więź niż przez wszystkie lata jej życia. Udało jej się na chwilę wydobyć na powierzchnię tę stronę ojca, której nigdy nie знаła, lecz temu zbliżeniu daleko było do głębokiej, emocjonalnej relacji, o jakiej zawsze marzyła. - Twój ojciec wciąż żyje, może jeszcze się zmieni.

- Mam to gdzieś. - Zajrzał do pudła i pogrzebał bez celu w jego zawartości. - Uważam, że ludzie mogą się zmienić tylko, jeśli naprawdę tego chcą. Nikt nie zmienia się, bo pragnie tego ktoś inny. Zresztą pewnie i tak jest już za późno.

Nie zgadzała się z nim w tej kwestii, ale jakim prawem miałyby się spierać? Sama nie zdołała w pełni pojednać się z własnym ojcem. Nie doprowadziła do wielkiego finału, do szczęśliwego zakończenia w hollywoodzkim stylu, dzie-

ki któremu rozwiązaliby wszystkie problemy i poukładali wszystkie sprawy. I pewnie nie udałoby jej się to nawet, gdyby ojciec żył kolejne dziesięć lat. Wyciągnęła z kartonu niebieski hełm z białym napisem: „Haven” z przodu i „228” po bokach.

- A to co?

- Hełm z drugiego etapu PKNP/S. - Odebrał go od niej i włożył jej na głowę. Hełm opadł aż na brwi. - Pasuje ci do oczu.

Przesunęła go w tył.

- Raczej je zakrywa.

Z wyłożonej aksamitem kasetki wyjął złoty medal i przypiął go do jej koszulki.

- W tym hełmie i z trójzębem wyglądasz bardzo seksownie.

- Naprawdę? - Zachichotała. - Ilu kobietom pozwoliłeś założyć swój hełm?

- Tego akurat nie nosiła jeszcze żadna. - Pochylił się, by musnąć wargami jej szyję, i wyszeptał przy tym: - Jesteś też pierwszą, która dotyka mojego trójzębu.

Nie wiedziała, czy czyniło ją to kimś wyjątkowym, za to usta Vince'a przyciśnięte do jej skóry z pewnością wywoływały w jej wnętrzu zupełnie wyjątkową reakcję.

- Ja nie mam nic, czego mógłbyś dotknąć.

- Masz mnóstwo takich rzeczy. - Jego wargi znalazły się teraz tuż pod jej uchem. - Miękkich rzeczy, wręcz do tego stworzonych.

- Ale już ich dotykałeś.

- I chcę to zrobić jeszcze mnóstwo razy. - Sadie odchyliła głowę w tył i hełm spadł na kuchenny blat. - Uwielbiam cię dotykać - wyznał między pocałunkami, które składał wzdłuż linii jej szczęki. - Kocham wchodzić tak głęboko...

Kochał wchodzić w nią głęboko, ale to nie znaczyło, że kochał ją. Dawniej mogłaby przypadkiem przekreślić tę in-

formację i uwierzyć, że ten niedostępny emocjonalnie mężczyzna darzy ją miłością. A wcale tak nie było i nie powinna za nic w świecie pozwolić, by w niej samej rozwinęły się jakiegokolwiek głębsze uczucia względem niego.

Odezwał się dzwonek u drzwi i Vince podniósł głowę. Zmarszczył brwi, oczy miał trochę zamglone.

- Kto to może być? Nikt poza tobą nie wie, gdzie mieszkam.

- Pizza przyjechała.

- Ach, no tak. - Zamrugał. - Zapomniałem.

Usiedli razem na środku pustego salonu Vince'a i pochłonęli podwójną pepperoni, popijając piwem. Sadie z zaskoczeniem przyjęła to, jak dużo zjadła, zwłaszcza biorąc pod uwagę, że jej własny dom wypełniały rozmaite pogrzebowe zapiekanki.

- Pizza wcale nie daje energetycznego kopa. Czuję się jak rozleniwiony ślimak - stwierdziła, wyciągając się na podłodze z pełnym brzuchem, podparta na łokciach. - To ja wkrótce utyję, jeśli nadal będę się z tobą zadawać. - Nie istniało w tej chwili na świecie miejsce, w którym wolałaby się znaleźć, lecz poczucie obowiązku mówiło jej, że powinna być gdzie indziej. - Muszę wracać do domu.

- Ale najpierw musisz obejrzeć mój dmuchany materac. - Vince popił ostatni kęs pizzy i odstawił pustą butelkę na płaskie kartonowe pudełko.

- Czemu? - Zauważyła dmuchany materac, a także dwuosobowy śpiwór, kiedy oprowadzał ją po mieszkaniu. - Czy on robi coś niesamowicie specjalnego, czego inne materace nie potrafią?

- Owszem, kiedy cię na nim położę.

- Rozbierzemy się i będziemy tulić? Pokiwał głową.

- Od tyłu, jak w bajkach, pośladki przy jajkach - zadeklamował.

Delikatny śmiech Sadie przerodził się w ziewnięcie.

- Romantyk z ciebie.

Coś było nie tak. Sadie wyczula to, jeszcze zanim uniosła powieki. Przez kilka sekund trwała w dezorientacji, nie mogąc przypomnieć sobie, gdzie jest. Usłyszała jakiś łomot i rozejrzała się po ciemnym pokoju. Była u Vince'a. Leżała w jego śpiworze, na dmuchanym materacu. Nie miała pojęcia, ile spała, ale zdążyło się już całkiem ściemnić. Zwróciła się w bok tylko po to, by dostrzec puste miejsce obok siebie.

- Przyjąłem!

Wstała i podniosła brązową koszulkę Vince'a z podłogi. Jej uszu dobiegł kolejny łoskot; wciągnęła T-shirt i ruszyła w stronę przedpokoju. Rozlegające się odgłosy brzmiały, jakby Vince walczył z jakimś napastnikiem.

- Kurwa!

- Vince! - Przez głowę przemknęła jej myśl, by chwycić coś, co mogłaby wykorzystać jako broń, ale wiedziała, że nic takiego nie znajdzie.

- Zabij wszystkich tych kozojebców!

Lampka nad piecem w kuchni częściowo oświetlała i korytarz. Jeden ciemniejszy kształt poruszał się wśród cieni.

- Vince?

- O Boże! - Dyszał ciężko, jakby dopiero co przebiegł dwadzieścia kilometrów w palącym słońcu. - O kurwa... Wilson. - Cofnął się o parę kroków. - Trzymaj się, stary... Szlag. Zajmę się tobą.

Wilson? Kim był Wilson?

Vince uklęknął, przyćmione światło padało na jego obnażone uda i talię. W powietrzu dało się wyczuć towarzyszące mu napięcie.

- Ani się waż, Pete.

- Vince?

Teraz oddychał z jeszcze większym trudem, gwałtowniej wciągał powietrze, kaszłał. Jego umięśnione ramię wsunęło się w oświetlony obszar i Sadie dostrzegła, że żyły miał nabrzmiące, jakby dźwigał jakiś ciężar. Zdawał się olbrzymi, gdy tak kuczał w ciasnym przedpokoju.

- Zostań ze mną.

- Vince! - Nie dotknęła go ani nie podeszła nawet o krok bliżej. Nie bała się, a w każdym razie nie jego - bała się o niego, że wpadnie w hiperwentylację albo coś sobie zrobi. - Wszystko w porządku? - spytała, choć widziała wyraźnie, że nie jest w porządku.

Zadarł głowę i przez chwilę sądziła, że ją usłyszał.

- Helikopter już leci. Wytrzymaj.

Zaświeciła lampę w sypialni i przyklękła w progu na jedno kolano.

- Vince! - Jego szeroko otwarte oczy zwrócone były wprost na nią, lecz mężczyzna wpatrywał się w coś dla niej niedostrzegalnego. Jej serce krwawiło, kiedy widziała go takim. Pękało na małe kawałeczki. Uczucia ogarnęły ją zupełnie niezależnie od jej woli. Nie miała nad nimi żadnej władzy.

Unosił głowę w górę i z powrotem ją opuszczał, jakby obserwował coś poruszającego się na niebie. Rozchylił usta, wciągając łapczywie powietrze, a jego dłonie poruszały się na wysokości piersi, jakby próbował chwycić jakiś niewidzialny przedmiot.

A zazwyczaj był tak duży i potężny, kontrolujący wszystko wokół.

- Vince! - wrzasnęła.

Zamrugnął i popatrzył na nią niewidzącymi oczyma.

- Co?

- W porządku?

Zamknął usta, a jego nozdrza drżały, kiedy oddychał szybko przez nos. Zmarszczył brwi, rozglądając się wkoło.

- Co?

- W porządku?

- Gdzie ja jestem?

Jej serce ścisnęło się i pękło jeszcze w paru miejscach.

- W swoim mieszkaniu.

Przedpokój wypełniał się odgłosem jego ciężkich oddechów, znów zwrócił ku niej nierozumiejące spojrzenie.

- Sadie?

- To ja. - Czowała, że coś przesącza się przez szczeliny jej rozbitego serca. Właśnie tu, w przedpokoju jego nieumeblowanego mieszkania. W najgorszym dniu jej życia. Bardzo się starała - naprawdę, z całych sił próbowała nie zakochać się w Vinsie Havenie, najbardziej niedostępnym mężczyźnie na ziemi, ale jej się nie udało.

- Jezu.

Właśnie. Jezu. Zbliżyła się do niego i położyła mu dłoń na ramieniu. Skórę miał rozgrzaną i suchą.

- Potrzebujesz czegoś?

- Nie. - Przełknął z trudem ślinę i oparł się plecami o ścianę.

Mimo to wstała i ruszyła przez salon do niewielkiej kuchni, gdzie wyjęła z lodówki butelkę wody. Próbowwała się nie rozpłakać, z powodu tego, co przydarzyło się jemu i ze względu na siebie samą, lecz łzy i tak popłynęły jej po policzkach, które wytarła skrajem koszulki Vince'a. Gdy wróciła, nadal opierał się o ścianę, jego przedramiona spoczywały nieruchomo na zgiętych w kolanach nogach. Wzrok skierował w górę, ku sufitowi.

- Proszę. - Uklękła przy nim i odkręciła korek. Sięgnął po wodę, ale dłoń tak mu drżała, że zamiast chwycić butelkę, zacisnął pięść.

- Czy to przejdzie, poczujesz się wkrótce lepiej? Obliznął spierzchnięte wargi.

- Nic mi nie jest.

Nieprawda.

- Czy to się często zdarza?

- Czasami.

Najwyraźniej nie chciał o tym mówić. Pocałowała gorącą, suchą skórę na jego ramieniu.

- Uwielbiam twój zapach - wyznała. Nie odpowiedział, więc Sadie usiadła obok niego i objęła go w pasie. Kochała go, i to ją przerażało. - Kto to jest Wilson?

Spojrzał na nią, ściągając brwi.

- Gdzie o nim słyszałaś?

- Wykrzyczałeś to nazwisko parę razy. Odwrócił wzrok.

- Pete Wilson. Nie żyje.

- Był twoim przyjacielem? - Ujęła jego rękę i zmusiła go, by rozluźnił palce i chwycił plastikową butelkę.

- Tak. - Wziął kilka potężnych łyków, aż krople wody ściekły mu z kącików ust. - Był najlepszym oficerem, jakiego zdarzyło mi się spotkać.

- Otarł wargi wierzchem dłoni. - Najlepszym facetem, jakiego znałem.

- Jak umarł?

- Zginął w Hindukuszu, w środkowym Afganistanie. Ogarnął go gniew i w poruszeniu jeszcze mocniej napiął mięśnie.

- Jak mogę ci pomóc? - zapytała Sadie. W ostatnim czasie był dla niej taki dobry. Zjawiał się zawsze, gdy najbardziej go potrzebowała. Woził ją i dotrzymywał towarzystwa, z ręką ułożoną u dołu jej pleców. Rozmawiał z nią albo wręcz przeciwnie, razem milczeli. Ratował ją, nawet gdy wcale o to nie prosiła. Przecierał drogę do jej serca, choć było to ostatnie miejsce, w którym chciał się znaleźć.

- Nie potrzebuję pomocy. - Wstał, a dłoń Sadie ześliznęła się po jego nagim udzie. - Nie jestem małą dziewczynką.

Ona również się podniosła i spojrzała prosto w jego zielone oczy.

- Ja też nie, Vince. - Widziała, jak cały zamyka się w sobie. Nie miała pojęcia, co stanie się z nim dalej, wiedziała tylko, że ona została od tego odcięta. - Vince. - Jego imię sprawiło, że drgnęło jej ściśnięte z emocji serce, objęła go za szyję. Przywarła do jego twardej, rozgrzanej piersi i wybełkotała: - Tak mi przykro. To musi być okropne. Chciałabym móc coś dla ciebie zrobić, żeby ci ulżyć.

- Dlaczego?

- Bo ty mi pomogłeś, kiedy byłam w potrzebie. Bo kiedy jesteś obok, nie czuję się samotna. Bo ratujesz mnie za każdym razem, nawet jeśli o to nie proszę. - Przełknęła łzy i otworzyła usta, aby mu powiedzieć, że jest potężny, silny i wspaniały. Że jest najlepszym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek знаła. Lecz zamiast tego z jej ust padło coś innego, zupełnie nieprzemyślanego: - Bo cię kocham.

Zapadła niezręczna cisza, aż w końcu Vince wydusił:

- Dziękuję.

O Boże. Czy on naprawdę jej podziękował?!

- Czas odstawić cię do domu.

Dłonie Vince'a wciąż spoczywały na jej bokach, lecz jego słowa wystarczyły, by poczuła się, jakby fizycznie ją odepchnął. Właśnie wyznała mu miłość, a jego reakcją okazało się „dziękuję” i propozycja podwózki.

- Już późno.

Sadie szybko wciągnęła swoją czarną sukienkę i wsunęła nogi w kowbojki. Żadne z nich za wiele się nie odzywało, gdy chwyciła kapelusz i nerwowo ścisnęła w rękach torebkę w drodze na zewnątrz. Nieprzyjemne milczenie wypełniało samochód, który Vince prowadził w stronę rancza. Milczenie, jakie nigdy wcześniej się między nimi nie zdarzało. Nawet podczas pierwszego spotkania, kiedy dostrzegła go stojącego na poboczu, obok półciężarówki z uniesioną maską.

Nie zapytała, czy napisze do niej albo zadzwoni. Nie zapytała, kiedy znów się zobaczą. Nie wyrzekła więcej ani sło-

wa o swoim uczuciu. Skoro jej miłość była ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, godność nie pozwalała jej na jakiegokolwiek dalsze deklaracje. Vince od początku postawił sprawę jasno i teraz, obserwując tylne światła jego wozu niknące w oddali, miała świadomość, że to koniec.

A czego się spodziewała? Jasno określił swoje oczekiwania. A ona się z nim zgadzała, lecz w ciągu tych paru ostatnich tygodni niepostrzeżenie zaczęła czuć do niego coś więcej, więcej niż tylko pożądanie.

Pochowała ojca, zakochała się i została porzucona -wszystko w ciągu jednego dnia.

Rozdział siedemnasty

Chłodny, wilgotny wiatr muskał knykcie, uszy i policzki Vince'a. Pokażne rury wydechowe jego harleya przeszywały swym rykiem powietrze przy ulicy Morning Glory Drive w Kirkland, stan Waszyngton, na przedmieściach Seattle. Kask Connera uderzył Vince'a w podbródek chyba po raz dziesiąty, kiedy tak toczyli się wolno tam i z powrotem przed domem młodego. Włożyli identyczne skórzane kurtki pilotki, choć ta należąca do chłopca opinała go dużo ciasniej niż ostatnim razem, kiedy wybrali się na przejażdżkę.

Od czasu gdy opuścił Waszyngton, minęło pięć miesięcy. Pięć miesięcy, które w jego odczuciu rozciągały się w całe lata.

Motor zwolnił przy dwupoziomowym domu, na którego podjeździe stałą wypożyczona ciężarówka.

- Jeszcze raz, wujku! - wrzasnął Conner, przekrzykując huk silnika.

- Proszę bardzo. - Vince zawrócił i skierował się z powrotem wysadzaną drzewami ulicą. Stracił rachubę, ile razy zdążyli ją już dziś przemierzyć. Kiedy w końcu zatrzymał się przed domem, za samochodem z wypożyczalni, Conner zaprotestował.

- Nie, jeszcze nie!

Vince zgasił silnik i pomógł siostrzeńcowi zsiąść.

- Jak przyjadę następnym razem, będziemy musieli kupić ci nową kurtkę. - Piętą kopnął podpórkę, by ją roz-

stawić i oprzeć na niej motor. - Może twoja mama pozwoli nam pojechać do parku. - Autumn nienawidziła harleya, ale Conner tak go uwielbiał, że ostatecznie zawsze zgadzała się, by Vince przewiózł go parę razy po ulicy. Nie szybciej niż dwadzieścia pięć kilometrów na godzinę.

Conner sięgnął do zapięcia kasku pod szyją.

- Może mógłbym poprowadzić!

- Pogadamy o tym, jak zaczniesz dosięgać nogami do ziemi. - Vince zsiadł z motoru. - Tylko nie mów o tym mamie.

- Ani tacie.

- Co? Twój tata nie lubi motorów? - Oczywiście. Conner wzruszył ramionami i oddał Vince'owi kask.

- Nie wiem. Na pewno żadnego nie ma. Pewnie dlatego, że jest mięczakiem.

- Biegnij powiedzieć mamie, że się zbieram.

- Nie jedź! Nie chcę, żebyś jechał. Vince odłożył kask na siodełko.

- Ja też nie chcę. - Przyklęknął na jedno kolano. - Będę za tobą tęsknił.

- Szwy w jego kurtce napięły się, kiedy uściskał Connera. Boże, pachniał wciąż tak samo. Proszkiem do prania, którego używała jego mama, i tą charakterystyczną dziecięcą wonią.

- Kiedy wrócisz do domu?

Dobre pytanie. Vince sam nie był pewien.

- Kiedy już sprzedam Gas and Go i zarobię mnóstwo pieniędzy. - Tyle że w Seattle nie czuł się już jak w domu. Nie wiedział, gdzie teraz znajduje się miejsce, które mógłby tak nazwać.

- A potem dasz to mnóstwo pieniędzy mnie?

- Pewnie. - Komu innemu miałby je przekazać?

- A harleya?

Vince wstał i przerzucił sobie siostrzeńca przez ramię.

- Też, o ile nie znajdę jakiegoś innego chłopca, któremu mógłbym go podarować. - Conner zapiszczał, gdy Vince

klepnął go dwukrotnie w pupę. Potem postawił go z powrotem na ziemi. - A teraz leć zawołać mamę.

- Dobra. - Conner odwrócił się na piętach, a jego adidas z Spidermanem zatupały po chodniku, kiedy biegł w stronę drzwi wejściowych. - Mamo! - wrzasnął, skacząc po schodkach.

Vince otworzył klapę z tyłu ciężarówki do przeprowadzek i rozłożył rampę. Wtoczył motor do środka, ustawił pomiędzy ścianą auta a skórzaną sofą i dobrze umocował. Spędził w stanie Waszyngton trzy dni. Ten czas wypełniło mu głównie picie piwa z dawnymi kolegami, spotkania z siostrą i Connerem oraz ładowanie na wynajęty samochód najpotrzebniejszych mebli, takich jak łóżko, skórzana kanapa i sześćdziesięcioczerocalowy telewizor HD.

- Conner mówi, że chcesz sobie sprawić jakiegoś małego chłopca. Wiem, że akurat ja nie mam prawa się wymądrzać, ale powinieneś się ożenić, zanim zaczniesz myśleć o dzieciach.

Vince obejrzał się za siebie, na siostrę, która zaglądała do wnętrza ciężarówki. Światło mglistego poranka igrało w jej rudych włosach.

- Ożenić?

- Potrzebujesz kogoś w swoim życiu.

- Zapominasz o ciotce Luraleen - zażartował. Wykrzywiła twarz w grymasie.

- Kogoś bez nikotynowego kaszlu i zamarynowanej na amen wątroby. Dołuje mnie myśl, że żyjesz tam samotnie, tylko z ciotką Luraleen na karku.

- Wyprowadziłem się od niej. - Pomyślał o Sadie. Nie czuł się samotny od momentu, w którym jego auto zepsuło się na drodze do Lovett. - I ani przez chwilę nie byłem samotny.

- Ani przez chwilę? - O Boże, zapominał, że przy Autumn musi uważać na każde słowo. Zbyt dobrze go znała, aby coś przegapić. - Poznałeś tam kogoś?

- Oczywiście. - Podniósł się i przeszedł na tył wozu. -Zawsze kogoś poznaję.

Autumn splotła ręce na piersi, bynajmniej nie ubawiona, i zmierzyła go groźnym spojrzeniem, jakby świadoma swojej przewagi, nie zważając na to, że fizycznie brat znacznie nad nią góruje. Patrzyła na niego w ten sposób od zawsze, gdy jeszcze byli jeszcze dziećmi.

- Spędziłeś z jakąś dziewczyną więcej niż jedną czy dwie noce?

Vince zeskoczył na ziemię, zamknął klapę i wzruszył ramionami. Autumn знаła go lepiej niż ktokolwiek na tym świecie, jednak nawet ona nie wiedziała wszystkiego. O pewnych sprawach nikt nie miał pojęcia.

Oprócz Sadie. Ona wiedziała. Widziała go na samym dnie, bezradnego, pochwyconego w sieć własnych koszmarów. Boże, nie znosił samej myśli o tym, że oglądała go w takim stanie.

- Vinny! - Siostra złapała go za ramię.

Jego milczenie uznała za swego rodzaju potwierdzenie.

- To już przeszłość. - Miał nadzieję, że Autumn zaniecha dalszego wypytywania, choć domyślał się, że tak się nie stanie.

- Jak długo się z nią spotykałeś?

Nie zadał sobie trudu, by wyjaśnić jej, że on i Sadie nigdy tak naprawdę się nie spotykali, nie w takim znaczeniu, o jakim myśli.

- Poznałem ją w dzień przyjazdu do Lovett. - Spuścił głowę, by spojrzeć w jej zielone oczy. - Skończyliśmy to parę dni temu. - Tuż po tym, jak widziała go nagiego i żalosnego. A potem wyznała, że go kocha. Nie miał pojęcia, jak to w ogóle możliwe.

Autumn westchnęła.

- Dwa miesiące. To długo jak na ciebie, bardzo długo. To jak czternaście miesięcy w przeliczeniu na psie lata.

Vince nie mógł się nawet zezłościć, bo ona mówiła całkiem poważnie, a na dodatek właściwie miała rację. Ale sam odnosił wrażenie, jakby spędził z Sadie więcej niż tylko dwa miesiące. Jakby znał ją od zawsze, a jednocześnie wciąż nie zdążył poznać wystarczająco dobrze.

Odwrócił się i przysiadł na wystającej listwie z tyłu ciężarówki.

- Czemu z nią zerwałeś? - Autumn zajęła miejsce obok niego. Powinien odgadnąć, że mu nie odpuści.

Znała go zbyt dobrze. Na tyle, by mieć świadomość, że to zwykle on ponosił odpowiedzialność za rozpad związku.

- Powiedziała, że mnie kocha. - To nie był prawdziwy powód, ale siostra nie wiedziała nic o jego koszmarach, a on nie miał zamiaru teraz się z nią tym dzielić.

Uśmiech wykwitł na jej wargach.

- A co ty odpowiedziałeś?

- Dziękuję. Autumn westchnęła.

- No co? - „Dziękuję” nie było wcale najgorszą z reakcji. Nie było też najlepszą, ale z pewnością plasowało się wyżej niż zbycie wyznania milczeniem.

- A potem?

- Odwiozłem ją do domu.

- Podziękowałaś jej i zawiozłeś do domu? Nienawidzisz tej kobiety czy co?

Nienawidzisz? On miałby nienawidzić Sadie? Oczywiście, że jej nie nienawidził. Nie był pewien, jakie uczucia budzi w nim to zerwanie, poza jakimś dziwnym zagubieniem. Jakby panika, zakorzeniona głęboko w jego wnętrzu, i przejmująca ulga zmieszały się i stopiły na dobre w jedno w jego głowie oraz piersi. Jak panika mogła współistnieć z ulgą? Nie dostrzegał w tym żadnego sensu.

- Nie nienawidzę jej.

- Czyżby wykrzyczała to podczas - Autumn rozejrzała się wokół, by upewnić się, że niczyje uszy nie nasłuchują -seksu? Bo to się chyba nie liczy, jeśli ktoś to wyrzeszczy w czasie seksu.

Prawie się roześmiał.

- Nie, to nie było w czasie seksu.

- Jest bardzo brzydka?

- Nie. - Pomyślał o jej jasnych włosach i szerokim uśmiechu, o przejrzystych niebieskich oczach i różowych wargach. - Jest piękna.

- To może głupia? Potrząsnął głową.

- Jest mądra i zabawna i na pewno ucieszy cię fakt, że nie poderwałem jej wbarze. Nie była przygodą na jedną noc. - Chociaż początkowo tym właśnie miała pozostać.

- To jakiś postęp, ale i tak uważam, że to smutne. -Szczera troska odmalowała się na twarzy Autumn, kąciki jej ust opadły. - Kiedy tak bardzo zamykasz się w sobie, żeby nigdy nie okazywać bólu, odcinasz też drogę wszystkim dobrym rzeczom, które mogłyby przyjść do ciebie z zewnątrz.

Popatrzył jej w oczy, o kilka odcieni ciemniejszych niż jego własne, a jego wargi uniosły się w otumanionym uśmiechu.

- Co takiego? Bawisz się w białą wersję Oprah?

- Nie wygłupiaj się, Vin, ja mówię poważnie. Jesteś taki dobry i opiekuńczy, tak oddany walce za wszystkich, poza samym sobą.

- Potrafię o siebie zadbać.

- Nie mówię o wychodzeniu cało z barowych bójek. To się nie liczy.

Zachichotał i wstał.

- To zależy, czy trzymasz z wygranymi, czy wręcz przeciwnie.

Jego siostra również się podniosła, a on objął ją i zapytał:

- To kiedy to wesele, przy którym tak się upierasz?

- Dobrze wiesz, że w lipcu, żeby Sam nie miał poobijanej twarzy na ślubnych zdjęciach. Twoje zadanie polega jedynie na tym, żeby się zjawić i odprowadzić mnie do ołtarza. Ja zajęłam się całą resztą. - Uściskała go. - Nadal będziesz w Teksasie?

- Tak. Sądzę, że zostanę tam przez cały przyszły rok, przynajmniej. - Opuścił ramiona i pomyślał o Sadie. Zastanawiał się, czy także na dłużej zatrzyma się w Lovett, czy może już zdążyła opuścić miasto.

Czerwona półcieżarówka nadjechała wolno ulicą, a potem wtoczyła się na podjazd obok nich. Autumn zgromiła brata wzrokiem.

- Masz być miły. Nie żartuję.

Vince uśmiechnął się, gdy Sam Leclair, utalentowany hokeista, ojciec Connera, narzeczony Autumn, jego przyszły szwagier i, ogólnie rzecz biorąc, kawał sukinsyna, wysiadł z chwoleta i skierował swe kroki w jego stronę. Przewyższał Vince'a o dobrych parę centymetrów, a przy tym był twardy jak uczestnik ulicznych walk na pięści. Vince z wielką chęcią skopałby mu tylek, ale zdawał sobie sprawę, że Sam nie okazałby się łatwym przeciwnikiem. Obecnie jego policzek zdobił spory fioletowy siniak. Mieli kwiecień, czyli wciąż daleko do końca rozgrywek eliminacyjnych. Jeszcze kolejny mecz, może dwa, a Sam dorobi się podobnej pamiątki pod okiem, do kompletu.

- Wyglądasz lepiej niż ostatnim razem. - Sam wyciągnął rękę, a Vince uściskał ją z pewnym oporem.

Ostatnim razem obaj byli poobijani. Sam z racji swego zawodu, Vince z powodu zajścia w barze.

- A ty gorzej. - Sam się roześmiał. Zadowolony z życia facet, któremu wszystko się układało. Vince nie pamiętał, kiedy ostatnio czuł się w ten sposób. Na pewno zanim odszedł z armii. Może w Teksasie doświadczył paru takich przeblysków.

Sam otoczył Autumn ramieniem.

- Muszę zamienić parę słów z twoim bratem.

- Sam na sam? -Tak.

Spojrzała to na jednego, to na drugiego.

- Tylko się zachowujcie - przykazała. Potem obdarzyła Vince'a jeszcze jednym pożegnalnym uściskiem. - Zadzwoń, jak już dojedziesz na miejsce, żebym się nie martwiła.

Pocałował ją w czubek głowy.

- Nie ma sprawy.

Przypatrywali się, jak Autumn wchodzi po schodkach, a potem znika we wnętrzu domu.

- Kocham ją - oświadczył Sam. - Nie musisz się martwić, że coś złego spotkają albo Connera.

- To moja siostra, a Conner to mój siostrzeniec. - Vince skrzyżował ręce na piersi i spojrzał prosto w niebieskie oczy hokeisty.

Sam pokiwał głową.

- Nigdy ci nie podziękowałem.

- Za co?

- Za to, że zaopiekowałeś się moją rodziną, podczas kiedy ja uciekałem przed odpowiedzialnością. Wtedy jeszcze nie zdawałem sobie sprawy, że wszystko, czego pragnę, wszystko, co coś dla mnie znaczy, znajduje się tutaj, w tym czterdziestoletnim domu w Kirkland, a nie w luksusowym apartamencie w centrum miasta.

W luksusowym apartamencie, który jeszcze do ubiegłej jesieni wypełniał się supermodelkami i króliczkami Playboya.

- Zrozumiałem, że tak naprawdę nie liczy się to, gdzie mieszkasz, ale z kim mieszkasz - dodał Sam. - Przenieś się za twoją siostrą i Connerem choćby na koniec świata. - Wyszczерzył zęby. - Choć przyznaję, że z chęcią sprawiłbym sobie jakąś większą wannę z hydromasażem.

- Nie masz za co dziękować - odrzekł Vince. I chociaż ta sytuacja go dobijała, przypomniał samemu sobie, że pięć miesięcy temu opuścił Seattle właśnie po to, by mogła zaistnieć. - Ale to nie znaczy, że cię lubię. Sam się roześmiał.

- Oczywiście, że nie. - Poklepał Vince'a po ramieniu. - Ja uważam, że jesteś tępym dupkiem.

Vince próbował się nie uśmiechnąć, ale przegrał starcie.

- Cieszę się, że się rozumiemy, mały fiutku. - Podeszedł do wozu. Pomachał na pożegnanie Autumn i Connerowi, którzy patrzyli na niego przez okno, wyjechał na drogę, zawrócił i ruszył do Teksasu. Do domu. W stronę plotkarskiego małego miasteczka i swojej stacji benzynowej.

Dom. Kiedy do tego doszło? W którym momencie zaczął uważać Lovett w Teksasie za swój dom? I czy teraz nic się nie zmieni? Skoro Sadie nie będzie już częścią jego życia? Pomyślał o tym, że nigdy więcej jej nie zobaczy, że ona już nigdy nie wstąpi na Gas and Go, nigdy nie odwzajemni jego spojrzenia ani nie przylgnie swym ciałem do jego ciała, jej palce nie musną znów jego twarzy, a łagodny szept nie polaskocze jego ucha albo szyi, i po raz kolejny odczuł gdzieś w brzuchu panikę zmieszaną z ulgą.

Jego siostra dopytywała o ich zerwanie. Tymczasem nie było żadnego zerwania. To, co się wydarzyło w ciemnym kącie jego mieszkania, trzeba by raczej nazwać kompletną destrukcją. Vince obudził się z koszmaru zdezorientowany i zagubiony, i przerażony jak cholera.

I upokorzony. Wolałby, żeby ktokolwiek inny oglądał go w takim stanie, ktokolwiek, tylko nie Sadie. Spojrzał wtedy w jej zaniepokojone niebieskie oczy i odniósł wrażenie, że wylądował po pas w nieznanym i nieprzewidywalnym bagnie, więc zrobił to, do czego go szkolono: rozpieprzył wszystko na kawałeczki i otworzył ogień do każdego w zasięgu wzroku.

Myślał o jej twarzy. O sposobie, w jaki na niego patrzyła, kiedy pospiesznie wciągali ubrania. Czekala, aż Vince powie coś, czego nie był w stanie wykrztusić. Coś, czego nigdy nie mówił nikomu spoza rodziny.

Sadie wyznała, że go kocha, a on ją zranił. Żeby wiedzieć, jak głęboko, nie musiał nawet spoglądać jej w oczy podczas jazdy na ranczo, a przecież to była ostatnia rzecz na świecie, której chciał się dopuścić. Po raz pierwszy w swej historii z kobietami przejmował się tym, jak świadczy o nim jego zachowanie. Nie miał tylko pojęcia, co z tą sprawą zrobi. Jeśli w ogóle cokolwiek. Prawdopodobnie wszystkim wyszłoby na dobre, gdyby nie robił absolutnie nic.

Sadie wcisnęła guzik i szyba saaba zsunęła się o centymetr. Zimne powietrze wdarło się przez szczelinę do środka i schłodziło jej policzek. Powiew pochwycił kilka kosmyków jasnych prostych włosów, unosząc je wokół jej twarzy. Wracała do Lovett, do domu.

Dom. Tym razem nie czuła podenerwowania ani ochoty, by jak najszybciej znów się stamtąd wyrwać - zupełnie inaczej niż parę miesięcy temu, kiedy pokonywała tę samą drogę. Pogodziła się ze swoją przeszłością. Nie czuła się uwięziona ani związana. No dobrze, może odrobinę, ale przyszłość znów otwierała się przed nią szeroko, a ta świadomość pomagała jej oddychać, kiedy mocno ścisnęła ją w piersi.

Ubiegły tydzień spędziła w Arizonie. Powyrzucała martwe roślinki i spakowała dobytek. Dokończyła kilka niezala-twionych spraw, wystawiła na sprzedaż swój nieduży dom i wynajęła firmę od przeprowadzek.

W poniedziałek po pogrzebie ojca spotkała się w Amarillo z Dickiem oraz pozostałymi zarządcami i nadzorcami, a także z całą grupą prawników. Przez cały tydzień poprzedzający jej wyjazd do Arizony widywała się z nimi jeszcze

kilkakrotnie i znacznie poszerzyła swą wiedzę na temat prowadzenia rancza. Zdawała sobie sprawę, że jeszcze wiele musi się nauczyć, ale podobały jej się biznesowe aspekty związane z tą pracą. Nagle lata studiów, z których żadnych nigdy nie ukończyła, zaczęły się w pewien sposób przydawać. No, może poza wykładami „Zombie w kulturze popularnej”. Nie przychodziło jej do głowy, jak miałyby wykorzystać wiedzę na temat filmów o żywych trupach oraz ich wpływie na społeczeństwo, ale kto wie, jakie apokaliptyczne wydarzenia czekają ją w przyszłości? Wcześniej nigdy nie przyszło jej do głowy, że dożyje dnia, w którym nieprzymuszana przez nikogo zechce zamieszkać na rodzinnym ranczu. Zupełnie tego nie przewidziała, ale teraz naprawdę nie mogła się doczekać czarowania pożyczkodawców, jak wówczas, gdy zajmowała się sprzedażą domów. Cieszyła się na pilnowanie nienaruszalnych terminów i przesuwanie tych mniej ważnych, utrzymywanie wszystkiego w porządku. Mogła zaangażować się w codzienne obowiązki na JH w takim stopniu, jaki najbardziej będzie jej odpowiadał. Nie podjęła jeszcze ostatecznej decyzji w tym względzie, ale nagle odnalazła w sobie spore podobieństwo do taty. Kochała ranczo, ale nie znosiła bydła. Krowy to śmierdzące, głupie zwierzęta, które nadają się wyłącznie na steki, buty i naprawdę oszałamiające torebki.

Skręciła z głównej szosy ku bramie posiadłości. W przeciwieństwie do ostatniego razu na poboczu nie stała zepsuta czarna półciężarówka. Żaden potężny, silny mężczyzna nie czekał na okazję, by zabrać się do miasta.

Mimowolnie się zastanawiała, czy Vince zdążył wrócić ze Seattle. Nie żeby to miało jakieś znaczenie. Układ, który ich łączył, już nie istniał. Koniec. Kres. Mogiła. Od tamtej nocy w jego apartamencie Vince nie próbował się z nią kontaktować, a ona wiele by oddała, by cofnąć słowa, które wtedy padły. Żałowała, że wyskoczyła z tym miłosnym wy-

znaniem. Przede wszystkim zaś chciałyby, żeby nie było ono tak boleśnie prawdziwe. A jednak.

Wieczorne słońce zaglądało do wnętrza auta przez przednią szybę, więc Sadie opuściła osłonę przeciwsłoneczną, by promienie nie raziły jej w oczy. Zakochała się w niedostępnym emocjonalnie mężczyźnie, który nie potrafił odwzajemnić jej uczucia. W mężczyźnie, który przyciągał ją do siebie jak magnes tylko po to, żeby później ją odepchnąć. Po tym, jak oświadczyła, że go kocha. W najgorszy dzień jej życia. Co, praktycznie rzecz biorąc, czyniło go największym palantem świata.

Nie miał też konkurencji w kategorii facetów, z powodu których przelała najwięcej łez - jeśli nie liczyć jej taty. Więcej, niż na to zasługiwał, to pewne. Teraz zaś musiała uporać się ze złamanym sercem i okropnym samopoczuciem, a za ten stan rzeczy mogła winić tylko siebie. Vince na samym początku oznajmił, że nie nadaje się do prawdziwego związku. Nie ukrywał, że kiedy się znudzi, zmienia partnerkę. Chciałyby móc go nienawidzić, ale nie potrafiła. Za każdym razem, gdy udało jej się wypełnić głowę gniewnymi myślami pod jego adresem, co nie przedstawiało samo w sobie żadnych trudności, przed jej oczami zjawiał się obraz Vince'a stojącego nago w przedpokoju, oddychającego ciężko, pochłoniętego sennymi majakami, a wtedy jej serce znów pękało ze współczucia. Dla niego i dla siebie samej.

Po raz kolejny zakochała się w upośledzonym emocjonalnie mężczyźnie. Tym razem sprawa wydawała się poważniejsza niż zwykle, ale, jak w przypadku pozostałych upośledzonych mężczyzn, którzy kiedykolwiek przewinęli się przez jej życie, i jego wyrzuci w końcu z serca.

Zatrzymała samochód przed domem i chwyciła leżące na tylnym siedzeniu torbę podróżną oraz torebkę. Siostry Parton wciąż kręciły się gdzieś w pobliżu, ale wewnątrz bu-

dynku panowała cisza. Kopia testamentu jej ojca leżała na stoliku w przedsionku, na wierzchu sterty listów i innych dokumentów. Rzuciła bagaże na podłogę i zabrała pocztę do kuchni. Wzięła z lodówki colę light i usiadła w śniadaniowym kąciku, gdzie pewnego razu zastała Vince'a pałaszującego ranczerską specjalność Carolynn.

Przejrzała testament, który zawierał również list napisany do niej przez ojca, i się uśmiechnęła. W przeciwieństwie do wszystkich poprzednich Hollowellów miała zamiar podjąć się modernizacji posiadłości. Meble z sypialni ojca umieści w magazynie, a zapełni ją własnymi. Kanapa obita bydlęcą skórą i liczne portrety koni również skończą w przechowalni. Jeśli miała zamieszkać na ranczu, zamierzała przystosować je do własnych potrzeb. Rozważała też poważnie pozbycie się galerii obrazów ze ściany korytarza na piętrze. Kiedy dorobi się dzieci, jeśli w ogóle, nie chciałaby, żeby gapiała się na nie banda przodków, wprawiając w takie samo przerażenie, jakie niegdyś wywoływała w niej.

Przeskoczyła do części dokumentu, w której mowa była o funduszu dla nieokreślonego z nazwiska beneficjenta. Zakładała, że ojciec stworzył go z myślą o jej przyszłym dziecku czy dzieciach. Teraz uniosła butelkę coli do ust i zmarszczyła brwi. Nie wiedziała, czy podczas oficjalnego odczytania testamentu źle usłyszała, czy też coś zostało przemilczane. Fakt, że ojciec założył fundusz powierniczy dla nieokreślonego z nazwiska beneficjenta, się zgadzał. Tyle że był to nieokreślony z imienia beneficjent urodzony dziesiątego czerwca 1985 w Las Graces, w stanie Nowy Meksyk.

Dziesiąty czerwca 1985? Co to, do diabła, znaczyło? I Las Cruces, Nowy Meksyk? Nie mogło chodzić o nią, bo urodziła się w Amarillo. I nie mogło to też mieć nic wspólnego z jej przyszłymi dziećmi. Więc jak miała to rozumieć?

Trzasnęły tylne siatkowe drzwi i Sadie aż podskoczyła.

- Widziałam, jak podjeżdżałaś - powitała ją Clara Anne, wchodząc do kuchni. - Jeśli jesteś głodna, przyniosę ci coś ze stołówki.

Sadie potrząsnęła głową.

- Posłuchaj, byłaś na otwarciu testamentu taty, prawda?

- Oczywiście, że tak. Co za smutny dzień.

- A pamiętasz to?

- Co, kochanie? - Clara Anne pochyliła się nad dokumentem, a jej włosy skłoniły się nieco w jedną stronę. Pokręciła głową. - Co to jest?

- Nie jestem pewna, ale po co tata ustanawiałby fundusz powierniczy dla nieznanej z imienia i nazwiska osoby urodzonej dziesiątego czerwca 1985 roku w Las Cruces w Nowym Meksyku?

Kobieta zmarszczyła nos i brew.

- To o to w tym chodzi?

- Tak mi się wydaje. Pamiętasz, żeby to zostało odczytane tamtego dnia w gabinecie prawnika?

- Nie, ale nie powinnaś się mną sugerować. Byłam w kompletnej rozsypce, jak sukienka zszyta z worków po mące. - Wyprostowała się. - Dziesiątego czerwca osiemdziesiątego piątego... - Zastanowiła się chwilę, cmokając językiem. - Ciekawe, czy to ma coś wspólnego z Marisol? Wyjechała w takim pośpiechu.

Sadie odstawiała colę na stół. -Kto?

- Zapytaj pana Koonza - poradziła gospodyni, a potem zagryzła wargi.

- Tak zrobię. Kim jest Marisol?

- Nie wypada mi o tym wspominać.

- Już to zrobiłaś. Kim ona jest?

- Przyjechała tu jako twoja niania, niedługo po śmierci twojej mamy.

- To ja miałam nianię?

- Przez kilka miesięcy. A potem zniknęła. Jednego dnia jeszcze pracowała, a następnego słuch po niej zaginął. - Clara Anne założyła ręce pod obfitym biustem. - Wróciła jakiś rok później, z niemowlęciem. Nigdy nie chciało nam się wierzyć, że to było dziecko twojego taty.

- Co? - Dopiero kiedy już stała, zdała sobie sprawę, że z wrażenia zerwała się na równe nogi. - Jakie dziecko?

- Dziewczynka. A przynajmniej zawiniątko opatulone było w różowy kocyk, o ile dobrze pamiętam.

- Więc mam siostrę? - Czyste szaleństwo. -1 dowiaduję się o tym dopiero teraz?

- Gdybyś miała siostrę, twój ojciec by ci o tym powiedział.

Sadie potarła twarz dłońmi. Może. A może nie.

-1 nie sądzisz, że gdyby tak było, wszyscy w mieście by o tym plotkowali? - Clara Anne potrząsnęła głową i opuściła ręce wzdłuż tułowia. - W Dzikim Kojocie rozprawialiby o tym po dziś dzień.

Z tym akurat musiała się zgodzić. Gdyby Clive Hollowell posiadał dziecko z nieprawego łoża, stałoby się to tematem stulecia przy każdym stole jadalnym w okolicy. Na pewno coś na ten temat dotarłoby już do jej uszu.

- Z drugiej strony jedynie ja i Carolynn byłyśmy w domu tego dnia, kiedy zjawiła się Marisol. I nigdy nikomu o tym nie mówiłyśmy.

Rozdział osiemnasty

Bar Rozjechany Zwierz nie zmienił się w znaczący sposób przez ostatnie dziesięć lat. Ze starej, klasycznej szafy grającej sączyły się przeboje country. Ściany jak dawniej ozdabiały znaki drogowe oraz wypchane stworzenia, zaś hołdujący modzie klienci mogli nabyć paski ze skóry grzechotnika oraz torebki z garbowanej skóry pancernika wystawione na pokaz za mahoniową ladą. Właściciel Rozjechanego Zwierza zajmował się na boku taksydermią. Krążyły pogłoski, że Velma Patterson, poczciwa kobieta, poprosiła go, by wypchał jej rozszczekanego pieska Hektora, ofiarę szaleńca, który potracił go samochodem i uciekł.

Sadie zajęła miejsce przy stoliku w oddalonym kącie sali, pod wypchanym kojotem wyjąłym do sufitu z zadartym łbem. Naprzeciw niej rude napuszone włosy Deeann błyskały refleksami w przyćmionym barowym świetle, kiedy obie wychylały kolejne margarity. Deeann zadzwoniła nieco wcześniej i namówiła Sadie na spotkanie w knajpie. Co prawda nie musiała jakoś bardzo jej przekonywać. W życiu Sadie niewiele się ostatnio działo, za to w jej głowie kłębiło się mnóstwo myśli. Dzisiejszego ranka spotkała się z panem Koonzem i odkryła, że tata wspierał finansowo „nieznanego beneficjenta” przez ostatnie dwadzieścia osiem lat. Nie istniał żaden oficjalny dokument potwierdzający ojcostwo. W danych z banku Wells Fargo w Las Cruces nie widniało

nawet żadne imię czy nazwisko osoby pobierającej pieniądze. Tak przynajmniej poinformował ją prawnik ojca, lecz Sadie mu nie wierzyła.

- W weekendy, w które mój były zajmuje się chłopcami, zawsze staram się gdzieś wyjść - oznajmiła Deeann, sącząc koktajl.

Sadie wolała jednoskładnikowe drinki z lodem - mniejsze ryzyko zwarzenia mózgu. Na strój wyjściowy do Rozjechanego Zwierza wybrała prostą białą sukienkę, niebieską rozpinaną bluzę i kowbojki. Im częściej je wkładała, tym lepiej przypominała sobie, dlaczego kiedyś tak bardzo lubiła je nosić. Były doskonale rozchodzone, pasowały jak ulał.

- Bez dzieci dom jest za cichy.

Sadie wiedziała co nieco o cichych domach. Gdy siostry Parton wracały do siebie, na ranczu robiło się zdecydowanie zbyt cicho. Tak cicho, że słyszała konie taty zamknięte w zagrodzie. Tak cicho, że wciąż nasłuchiwała dzwonka milczącego telefonu, sygnału nigdy niewysłanej wiadomości i odgłosu półciężarówki wtaczającej się na podjazd przed domem, który nigdy się nie rozlegał.

- Właściwie nie miałyśmy okazji pogadać, odkąd zmarł twój tata. - Deeann upiła łyk. - Jak się trzymasz?

- Mam mnóstwo na głowie. - Tego właśnie chciała. Zapewnić sobie ogrom zajęć, które odwracałyby jej uwagę od faktu, że straciła ojca. I Vince'a. Chociaż chyba wypadałoby zaznaczyć, że Vince nigdy tak naprawdę nie należał do niej.

- Przejeżdżałam ostatnio koło Gas and Go i zauważyłam nowe szyldy. Kiedy Vince ma zamiar otworzyć?

Sadie również widziała świeżo założone oznakowanie, a także samochód Vince'a stojący z boku budynku, który dziś rano mijała w drodze do kancelarii adwokackiej w Amarillo. Jej serce jednocześnie przyspieszyło i zamarło. W piersi poczuła jego bolesne kołatanie i głuchy łomot. Ból

promieniował z czaszki na oczy, a ona naprawdę bardzo się starała nienawidzić Vince'a Havena.

- Nie mam pojęcia, kiedy otwiera.

- Myślałam, że jesteście parą...? Parą?

- Nie, nie jesteśmy. Vince może się spotykać, z kimkolwiek zechce. - Napiała się i przełknęła, czując, jak haust pokonuje drogę przez otwartą ranę w piersi. - Możesz się z nim umówić, jeśli chcesz. - Powinna pewnie przy okazji ostrzec Deeann, że jeśli do czegoś dojdzie, Vince wkrótce się znudzi i ją porzuci. Możliwe, że w najgorszy dzień jej życia, dzień, w którym pochowa ojca i będzie musiała zdecydować, co zrobić z okropną zapiekanką jego ciotki Luraleen. Dupek.

Deeann potrząsnęła głową i zmarszczyła brwi ponad brązowymi oczami.

- Nigdy nie umówiłabym się z byłym przyjaciółki. Z Vince'a jest niezły przystojniak, ale tak po prostu nie można. To wbrew regułom. Wbrew damskiemu kodeksowi.

Sadie zawsze wiedziała, że lubi Deeann nie bez powodu.

- Chociaż... - Deeann zamieszała w swoim drinku. - Randkowałam kiedyś z byłym chłopakiem Jane Young. - Uniosła zwiniętą dłoń i osłoniła nią usta. - Ale ona ma rozległe tereny łowieckie, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Sadie pochyliła się w jej stronę. Minęło mnóstwo czasu, odkąd ostatnio miała okazję pogawędzić z przyjaciółkami i nie zdawała sobie dotąd sprawy, jak bardzo jej tego brakowało. Tego i, ach tak, plotek. Nie miała nic przeciwko nim, dopóki dotyczyły kogoś, kogo nie lubiła.

- Jane się puszcza? - Normalnie nie wzięłaby dziewczynie za złe tego, że lubi się zabawić. Ale Jane miała złą duszę.

- Cóż, jak mawiała moja babcia, ściąga nie tylko spojrzenia. - Opuściła rękę na blat stolika. - No i spiknęła się na jakiś czas z Rickym, moim eks.

Sadie wciągnęła powietrze. Deeann i siostry Young przyjaźniły się od dawna, odkąd chodziły razem do szkoły dobrych manier.

- Ale to przecież wbrew zasadom!

- Jej się wydaje, że ja o niczym nie wiem. - Deeann wzruszyła ramionami i zaczęła się bawić swoim srebrnym naszyjnikiem. - Gdyby nie kupowała ode mnie biżuterii, zaczęłabym ją ostentacyjnie ignorować.

Ach, Deeann nie pozwalała, by osobiste urazy szkodziły interesom. Bardzo dobrze.

- Jej były facet okazał się dużo lepszy w łóżku niż Ricky. Bo on to chyba cudem spłodził dwóch chłopców.

Sadie parsknęła śmiechem i obie zamówiły jeszcze jedną kolejkę. Sączyły drinki, podczas gdy bar wypełniał się ludźmi znanymi Sadie od urodzenia. W sali w głębi zagrała w bilard z Caine'em Stokesem, a potem z Cordellem Partonem, z obydwojma przegrała. Bawiła się całkiem dobrze, ale o jedenastej szykowała się już do wyjścia. Rano na ranczu zjawi się weterynarz, by zbadać Maribell i podać jej szczepionkę Pneu-mabort. Tyrus potrafił zajmować się końmi, lecz Maribell się starzała i to miało być jej ostatnie źrebię. Ostatni żrebak taty - Sadie chciała więc zasięgnąć drugiej opinii, by mieć pewność, że wszystko pozostaje w najlepszym porządku.

Odłożyła kij bilardowy i wyszła z pomieszczenia na tyłach, żeby znaleźć Deeann.

- Właśnie cię szukałam - zawołała do niej koleżanka ze środka sali. - Vince tu jest.

Spojrzenie Sadie przesunęło się ponad natapirowaną fryzurą i spoczęło na wyraźnie rysujących się pod materiałem mięśniach klatki piersiowej zaledwie kilka metrów dalej. Miał na sobie swoją zwyczajową brązową koszulkę oraz bojówki. Serce Sadie ścisnęło się na jego widok. Uniosła wzrok wzdłuż jego mocnej szyi, na podbródek, aż po wpatrujące się w nią zielone oczy.

- Chcesz stąd iść? - spytała Deeann.

- Nie. - Sadie potrząsnęła głową, choć jeszcze przed chwilą zamierzała wracać do domu. W mieście tak niewielkim jak Lovett musiała pędzić czy później na niego wpaść. Lepiej od razu mieć to za sobą. Ruszył w jej stronę, a ona zmusiła się, by czekać na niego w bezruchu, nie uciec, nie rzucić się na niego ani nie przytulić do jego szerokiej piersi.

Przekrzywił głowę na bok i popatrzył jej w twarz.

- Jak się masz, Sadie? - zapytał nieco podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć głośnie barowe rozmowy.

Dźwięk jego głosu ją połaskotał i sprawił, że wszystko w środku skręciło się w węzeł.

- Jakoś żyję.

Skrzyżował ręce na piersi.

- Zostajesz w Lovett?

- Na razie tak. - Czcze pogaduszki. Z Vince'em? Nie mogła się na to zgodzić, bo inaczej po prostu się załame.

- To mój kumpel Blake. - Machnął ręką w stronę stojącego w pobliżu mężczyzny. - Pomaga mi z ładami na Gas and Go.

Sadie odwróciła się do znajomego Vince'a i zadała sobie pytanie, jak mogła go wcześniej nie zauważyć. Był potężnie zbudowanym blondynem, niewątpliwie wojskowym. Wyciągnęła do niego rękę.

- Miło cię poznać, Blake.

Blake wyszczerzył zęby i ujął jej dłoń.

- Cała przyjemność po mojej stronie, skarbie.

Vince w znaczącym geście położył wyprostowaną dłoń na piersi przyjaciela. Wymienili spojrzenia, a potem Blake przeniósł uwagę na Deeann.

- Uwielbiam rudowłose dziewczyny. Jak masz na imię, piękna?

Sadie z trudem powstrzymała się, by nie przewrócić oczami, ale Deeann gładko przełknęła komplement. Ledwie

się sobie przedstawili, a już udali się do pomieszczenia na tyłach, żeby grać w bilard.

- Masz ochotę na drinka?

Stał tak blisko niej, że Sadie czuła szaleńcze bicie serca w piersi i gardle.

- W zasadzie właśnie wychodziłam.

Popatrzył w dół, na jej usta. Jak to miał w zwyczaju, obserwował, jak mówiła.

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba.

Położył dłoń u dołu jej pleców, a ona nie zaprotestowała, jakby to nic nie znaczyło, jakby Vince nie rozerwał jej serca na kawałki. Jakby jego dotyk wcale nie wzbudzał w niej pragnienia, by wtulić się w niego, przylgnąć do jego piersi. Jak gdyby nie cierpiała tak bardzo, że zastanawiała się, dlaczego jeszcze od tego nie umarła.

- Co słysząc na ranczu?

Jakby ciepło jego dłoni na jej ciele i zapach jego skóry nie mieszały jej w głowie i nie oszalały zmysłów.

- Niewykluczone, że mam siostrę - wyrzuciła z siebie, kiedy wychodzili w chłodną majową noc. Nie planowała zdradzać nikomu tego sekretu. A zwłaszcza Vince'owi. Nie byli już przyjaciółmi, nie miała obowiązku informować go o nowościach ze swojego życia. Ale znała go na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie wyjawia jej tajemnicy, nie musiała go nawet o to prosić.

-Co?

- Nie, nic. Zapomnij. Nieważne. - Już na zewnątrz odsunęła się, a ręka Vince'a opadła bezwładnie. - To może nie być prawda, a nawet jeśli jest, i tak nie mam pojęcia, jak odnaleźć tę dziewczynę.

Szli pod niezliczonymi gwiazdami rozrzuconymi po ciemnym teksańskim niebie, ale tej nocy Vince nie odnajdywał

spokoju, niczego, co by go ukoilo. Nie przypuszczał, że spotka Sadie w Rozjechanym Zwierzu. Nie spodziewał się też, że poczuje się w ten sposób, kiedy zobaczy ją po raz pierwszy od swego wyjazdu. Nie miał pojęcia, że będzie mu się zdawało, jakby ziemia usuwała mu się spod stóp, choć przecież w rzeczywistości nawet nie drgnęła, ani że jego płuca będą płonąć żywym ogniem z każdym oddechem, który usiłował złapać.

- Tam zaparkowałam. - Wskazała na lewo, a chrzęst żwiru pod obcasami jej kowbojek wypełniał przestrzeń między nimi. Ostatnim razem, gdy Sadie miała na sobie te buty, Vince był głęboko w niej, opierając ją o lodówkę. Zatracony w niej, nie przewidywał zbliżającego się końca. Nie myślał wtedy o niczym, tylko o tym, jak mu z nią dobrze. - Możesz już wracać do środka - dodała.

Nie mógł wracać, nie teraz. Zatrzymali się przy jej samochodzie od strony kierowcy i Vince wyciągnął do niej rękę. Sadie cofnęła się o krok, a jego ramię znów opadło w pustkę.

- Nie chciałem cię zranić - odezwał się. Spuściła wzrok na czubki swoich butów.

- Wiedziałam, że w końcu się znudzisz i mnie zostawisz.

- Wcale się nie znudziłem. - Tym razem nie popełnił już błędu i nie próbował jej dotknąć. Zamiast tego zacisnął dłonie w pięści. - Przy tobie nigdy.

Potrząsnęła głową, poświata księżycy padała na jej jasne włosy oraz policzek.

- To bez znaczenia.

- Wręcz przeciwnie.

- Więc dlaczego potraktowałeś mnie, jakbym to ja nie miała dla ciebie żadnego znaczenia? - Spojrzała znów na niego, uniosła dłoń i przycisnęła ją do piersi. - Jakbym była nikim.

Ponieważ widziała go, kiedy upadł na samo dno. Ponieważ cierpiał z powodu koszmarnych snów jak mała dziewczynka, a ona to odkryła. Ponieważ sam czuł się nic niewarty.

- Nigdy nawet bym nie pomyślał, że jesteś nikim.

- Od początku zdawałam sobie sprawę, że kiedyś to zakończysz, ale czy naprawdę musiałeś złamać mi serce w dniu pogrzebu mojego taty?

- Przykro mi.

- Nie mogłeś poczekać chociaż jeden dzień?

Tyle że on wcale nie zamierzał niczego kończyć. Oddałby wszystko, żeby móc cofnąć wydarzenia tamtej nocy. Żeby nie zasnąć, a czuwać i patrzeć na nią, jak spała.

- Przepraszam, Sadie.

Światło księżycy ześliznęło się z jej czoła, kiedy zmarszczyła brwi.

- Przepraszasz. Przepraszać może mnie ktoś, kto przypadkiem nadeptnie mi na stopę. Ty zdeptałeś moje serce, i to wszystko, co jesteś w stanie powiedzieć? Przepraszam?

-Tak.

Żałował, że stoi tuż obok niej, a nie może nawet jej dotknąć. Nie mógł jej opowiedzieć o pracach, które przeprowadził na Gas and Go ani posłuchać o tym, co działo się w jej życiu.

Zareagowała tak gwałtownie, że nie zauważył nawet, kiedy się zbliżyła. Pchnęła go mocno obiema rękami w pierś.

- Przepraszam?! - Była tak wściekła, że pod jej ciosem faktycznie przechylił się nieco do tyłu. - I pewnie zdaje ci się, że to załatwia sprawę? Że wszystko jest w porządku?

- Nie. - Położył dłonie na jej dłoniach. - Nic już nie jest w porządku. - Jego ręce przesunęły się wzdłuż jej ramion, ujął jej twarz i nachylił się do niej. - Pragnę cię - wyszeptał. - Nigdy w życiu nie pragnąłem niczego tak gorąco jak teraz ciebie.

- Vince. - Wypowiedziała jego imię, a on odczuł jego łaskotanie na własnych wargach i nie wytrzymał. Stracił zupełnie kontrolę. Pocałował ją zachłannie, trawiony palącym głodem, którego istnienia w zakamarkach swej duszy nawet nie podejrzewał, a który rozbudzał w nim szalejące piekło jakiejś pierwotnej potrzeby oraz tęsknoty. Buchającej i niepowstrzymanej, dzikiej i wymykającej się spod kontroli. Jego dłonie wędrowały po jej ciele. Dotykał jej i przyciągał blisko do siebie, wpijając się w nią łapczywie ustami. Chciał ją wciągnąć w siebie, zjeść ją całą i nigdy więcej nie dać jej odejść.

- Vince! - Odepchnęła go i zrobiła parę kroków w tył. -Przestań. - Wierzchem dłoni osłoniła usta. - Nie pozwolę, żebyś znów mnie skrzywdził.

Czuł klucie w płucach, kiedy wciągał głęboko powietrze i próbował wyrównać oddech.

- Nie chcę cię skrzywdzić.

- Ale to zrobisz. - Otworzyła drzwi saaba, ale on nigdzie jej nie puści. Należała do niego. Uda mu się ją przekonać do zmiany zdania.

Złapał drzwi auta za górną część ramy.

- Powiedziałaś, że mnie kochasz. - Chciał, żeby to była prawda. Nie pamiętał, by kiedykolwiek pragnął czegoś tak mocno.

- Przejdzie mi. - W księżycowym świetle dostrzegł łzę spływającą po jej bladym policzku. Ten widok zabolął go jak cios w brzuch i aż opuścił rękę. - Trzymaj się ode mnie z daleka, żebym mogła przestać cię kochać. Trzymaj się z daleka, żebym pozbyła się wszystkich uczuć względem ciebie.

Sadie nie płakała. Ani w dniu, w którym dowiedziała się o śmierci ojca, ani podczas pogrzebu. Vince patrzył, jak odjeżdża, odrętwiały i pusty w środku. Bezsilny. Jak wtedy gdy próbował uratować Pete'a.

Pierwotne piekło, które się w nim rozpętało, zaczęło teraz szukać ujścia. Wściekłość. Taka, jaką czuł po śmierci Pete'a, kiedy walczył o odzyskanie słuchu i kiedy został zmuszony do opuszczenia oddziałów, które tak kochał. Taka, jaka go ogarnęła tuż przed tym, jak znalazł się w barze pełnym bikerów.

Rozdział dziewiętnasty

Sadie ułożyła poduszki na łóżku, a potem cofnęła się o parę kroków, by ocenić swoje dzieło. Nie zaszkodziłaby jeszcze odrobina fioletu. Kiedy następnym razem będzie w Amarillo, spróbuje coś znaleźć w sklepie z akcesoriami do sypialń i łazienek.

Rozejrzała się po głównej sypialni, odczuwając mieszaninę smutku i spokoju ducha. Urządziła go na własną modłę, wstawiając swoje białe meble i kładąc biały dywanik, dzięki czemu poczuła się tu jak w domu. Zrobiło się przytulnie. Nad kamiennym kominkiem wciąż wisiał obraz z Captain Church Hillem, nie ruszyła też stojącej na gzymsie ślubnej fotografii rodziców, lecz pozostałe sprzęty kazała wynieść na strych. Wszystko, poza srebrną szczotką do włosów i grzebieniem, które ojciec podarował mamie w noc poślubną. Znalazła zestaw w szufladzie ze skarpetkami taty, razem z jego starą bolą z plecionego sznurka. Obie pamiątki postanowiła zatrzymać i teraz leżały na jej komodzie.

Tego ranka przyjechał weterynarz, żeby zbadać Maribell. Wraz z Tyrusem przeprowadzili badanie USG i powiadomili Sadie, że na jesieni klacz urodzi ogierka. Gdzieś w niebie jej ojciec wykonywał teraz taniec radości. Pewnie z mamą w ramionach.

Sadie wyszła z pokoju i ruszyła korytarzem obwieszonym portretami przodków, wciąż niepewna, co chce z nimi

zrobić. Zbiegła po schodach i usiadła w gabinecie ojca za starym biurkiem z drewna i bydlęcej skóry, którego bezdyskusyjnie należało się pozbyć. Za to skórzany fotel ozdobiony indiańskim wzorkiem wydał jej się wygodny i zdecydowała, że może zostać. Włączyła laptop i wpisała: „poszukiwanie zaginionych krewnych” w okno wyszukiwarki. Musiała znaleźć sobie jakieś interesujące zajęcie, coś, co wypełni pustkę jej dni. Telefon do Vince'a z prośbą, by przybył ją uratować, nie wchodził już w grę, za to odnalezienie nieznannej siostry - o ile faktycznie miała nieznaną siostrę - zdawało się słusznym posunięciem. Skoro Sadie przez całe życie nie usłyszała ani jednego słówka na ten temat, co też wiedziała ta druga dziewczyna? I jeśli istniała, to jaka była?

Zaczynając poszukiwania, Sadie czuła się jak dziecko we mgle. Nie miała pojęcia, jak należy postępować, by skontaktować się z kimś, po kim ślad zaginął lata temu. Znała imię jej matki, datę urodzenia oraz nazwę szpitala, w którym przyszła na świat, miała także informacje o funduszu powierniczym założonym przez tatę i koncie bankowym, na które przelewał pieniądze. Nie wiedziała jednak, co zrobić z tymi danymi ani komu może je bezpiecznie powierzyć. Nie chciała, żeby wiadomość o dziecku Clive'a się rozeszła. Przynajmniej nie w tej chwili. Dotychczas podzieliła się tym sekretem jedynie z Vince'em, i to całkowitym przypadkiem.

Oderwała wzrok od ekranu komputera. Spotkanie z Vince'em okazało się trudne. Już sam jego widok sprawił, że jej poturbowane serce ścisnęło się z bólu i tęsknoty za nim. A potem pocałował ją z większą pasją i żądzą niż kiedykolwiek wcześniej. Z tego pocałunku było pragnienie silniejsze niż ze wszystkich poprzednich razem wziętych. Pewnie dlatego, że nie znalazł jeszcze żadnego zastępstwa za nią. Tak łatwo byłoby odpowiedzieć na jego ruch... Pozwolić mu się dotknąć, zabrać go do domu i się kochać. Pragnął jej,

sam to przyznał, ale jej nie kochał. A ona miała dość darzenia uczuciem mężczyzn, którzy nie potrafili kochać jej tak, jak na to zasługiwała. Jeśli nawet nie zdawała sobie z tego sprawy wcześniej, to śmierć taty uświadomiła jej, że nie można w nieskończoność czekać z zapartym tchem na wielką deklarację uczuć, których niektórzy mężczyźni po prostu nie byli w stanie w sobie wykształcić albo wyrazić.

Odezwał się dzwonek do drzwi, lecz Sadie sądziła, że Clara Anne się tym zajmie. Dopiero gdy dźwięk rozbrzmiał po raz drugi, podniosła się i skierowała do holu. Otworzyła na oścież skrzydło ogromnych drzwi i spojrzała prosto na Vince'a stojącego na dużej wycieracze z napisem: „Witamy”. Gdzieś zniknął jego zwykły strój składający się z T-shirtu i bojówek; dziś włożył elegancką białą koszulę oraz spodnie khaki, jak na wesele Tally. Brakowało tylko krawata. Był taki potężny i silny i wyglądał tak dobrze, że jej żołądek skręcił się w ciasny supeł.

Wpatrywał się w nią tymi swoimi zielonymi oczami, które zdawały się przenikać ją do głębi. Miała wrażenie, że ich intensywne spojrzenie muskają to tu, to tam.

- Sadie - powiedział jedynie.

Po kilku dłużących się chwilach zapytała:

- Co ty tu robisz?

- Mam dla ciebie nazwisko.

- Czyje?

- Kogoś, kto może sprawdzić, czy masz siostrę. - Wręczył jej złożony na pół świstek papieru. - Zrobi tyle, ile będziesz chciała, nie mniej i nie więcej.

- Dziękuję. - Przyjęła karteczkę i wsunęła ją do tylnej kieszeni dzinsów. - Nie musiałeś jechać taki kawał drogi tylko po to, żeby mi to dać. Mogłeś wysłać SMS-a.

- To jeszcze nie wszystko.

- Co?

- Wpuść mnie. - Odchrząknął. - Proszę.

Czyżby wiedział coś więcej? Ale jak to możliwe, skoro nie przekazała mu żadnych dalszych informacji? Odsunęła się na bok, a on minął ją, wchodząc do holu. Sadie odwróciła się na pięcie i oparła plecami o zamknięte drzwi.

- Wczoraj wieczorem, kiedy mnie zostawiłaś w barze, miałem ochotę skopać komuś tyłek. Czułem się okropnie i chciałem sprawić, żeby ktoś inny czuł się tak samo źle. I jeszcze jakiś czas temu tak bym zrobił.

Sadie zerknęła na jego dłonie, a potem na jego szczerą twarz.

- Ale wczoraj się powstrzymałeś.

Potwierdził ruchem głowy, a na jego ustach wykwit! krzywy uśmiezek.

- Gdybym zjawiał się na ślubie mojej siostry z podbitym okiem, ona skopałaby tyłek mnie. - Urwał na chwilę, a uśmiech znikł. - Ale przede wszystkim powstrzymałem się ze względu na ciebie. Bo nie chciałem, żebyś mnie uważała za faceta, który nie potrafi się kontrolować. Po raz pierwszy w życiu obchodzi mnie zdanie kobiety na mój temat. Obchodzi mnie, co myślisz.

Poczuła ucisk gdzieś w głębi serca i musiała bardzo się starać, by nie nadać jego słowom większego znaczenia, niż faktycznie ze sobą niosły. To, że ktoś liczy się z twoją opinią, nie znaczy jeszcze, że cię kocha.

- Kiedy cię wczoraj zobaczyłem, pomyślałem, że moglibyśmy wrócić do tego, jak między nami było wcześniej. I ciągnąć to dalej, bez żadnych zmian.

- To niemożliwe.

- Wiem. Nigdy nie miałaś stać się niczym więcej niż przygodą na jedną noc.

- Wiem. - Spuściła wzrok na podłogę. On też nie miał stać się niczym więcej niż tylko przyjacielem oferującym dodatkowe korzyści. Lecz ten przyjaciel zamienił się w ukochanego.

- Ale jedna noc przeszła w dwie, dwie w trzy, te trzy zmieniły się w tydzień, a tydzień w dwa tygodnie. A dwa tygodnie w dwa miesiące. Nigdy nie byłem z nikim tak długo jak z tobą.

Spojrzała na niego.

- Pewnie powinno mi pochlebiać, że znudziłeś się mną dopiero po takim czasie.

- Nie znudziłem się, mówiłem ci to wczoraj. Wcale nie chciałem tego kończyć.

- Więc dlaczego to zrobiłeś? Założył ręce na piersi.

- Bo widziałaś mnie tamtej nocy. Nie chciałem, żebyś kiedykolwiek zobaczyła mnie w takim stanie. Nikt poza lekarzem wojskowym nie ma pojęcia o moich koszmarach i nie chciałem, żeby ktokolwiek kiedykolwiek się dowiedział. A już zwłaszcza ty. - Potrząsnął głową. - Szczególnie ty.

Oderwała się od drzwi.

- Dlaczego?

- Bo jestem facetem. - Wzruszył ramionami i zwiesił ręce wzdłuż tułowia. - Bo powinienem ze wszystkim sobie radzić. Bo jestem komandosem SEAL. Wojownikiem. I nie mam stresu pourazowego. Bo to źle, że się boję głupiego snu.

- To nie był głupi sen.

Spojrzał ponad jej ramieniem na wazon pełen żółtych róż, które Clara Anne ścięła w ogrodzie. Otworzył usta, a potem znowu je zamknął.

- Jak długo już cierpisz z powodu tego koszmaru?

- Od śmierci Pete'a. Od sześciu lat, z przerwami.

- Mówisz o twoim przyjacielu, Pecie Wilsonie?

- Tak.

- Co się z nim stało?

Przeniósł wzrok na nią, ale znów odniosła wrażenie, że w rzeczywistości patrzy przez nią na przestrzał, na coś, cze-

go ona nie mogła dostrzec. I tak jak ostatnio, ta świadomość skruszyła jej już i tak złamane serce.

- To ja powinienem zginąć, nie on. Byliśmy w potrzasku, pod ciężkim ostrzałem, pociski nadlatywały ze wszystkich stron, trafiały w drzewa i skały. Pete się oddalił, waląc we wszystko wokół z karabinu, a drugą ręką wzywając przez radio wsparcie powietrzne. Nie mieliśmy drogi ucieczki, pozycje przed nami zajęli marines, strzelając prosto w talibów. Ale ich było tak wielu... Setki. Nie dało się wycofać z tej pierdolonej góry, za dużo terrorystów. Mogliśmy jedynie zmieniać magazynki i mieć nadzieję, że lotnictwo zdąży nas stamtąd wyciągnąć.

Nabrała ochoty, by ująć jego twarz w dłoń i spojrzeć mu w oczy. Ale tego nie zrobiła. Kochała go, a nie mogła dotknąć.

- Cieszę się, że nie zginąłeś. Znow odwrócił głowę w lewo.

- Pete dostał trzy kulki. Jedną w lewą nogę i dwie w pierś. Ja nie oberwałem. Przynajmniej nie talibskimi pociskami. A potem nadleciały z wyciem bombowce i bojowe śmigłowce i urządziły w tych rozpadlinach piekło, aż ostatni z talibów zniknął z powierzchni ziemi. Pete odszedł, zanim helikoptery ratownicze w końcu nadciągnęły z południa. Ja ogłuchłem i myślałem, że wyrzygam wnętrzności, ale żyłem.

Sadie uniosła dłoń, by go powstrzymać.

- Czekaj. Ogłuchłeś?

- Od wstrząsu mózgu spowodowanego nalotem. -Wzruszył ramionami, jakby nie chodziło o nic wielkiego. - Potem wszystko wróciło do normy, straciłem tylko słuch w lewym uchu w jakichś sześćdziesięciu procentach.

Więc to dlatego przyglądał się jej ustom, kiedy mówiła. A ona sądziła, że po prostu lubi patrzeć na jej wargi.

- Nigdy nie rozmawiałem z nikim o Pecie, ale ty widziałaś mnie na samym dnie, więc uznałem, że powinnaś

wiedzieć. Przyszedłem tu dzisiaj, żeby wytłumaczyć ci, dlaczego zachowałem się tak, jak się zachowałem, kiedy zobaczyłaś mnie w tak żalnym stanie i... No, kiedy zobaczyłaś mnie wtedy w przedpokoju.

Wcale nie musiał się usprawiedliwiać.

- Nie byłeś żalny.

- Kobieta powinna czuć się przy mężczyźnie bezpiecznie, a nie odnajdywać go drżącego ze strachu, wrzeszczącego na cienie.

- Zawsze czułam się przy tobie bezpiecznie. Nawet tamtej nocy.

Potrząsnął głową.

- To mężczyzna powinien troszczyć się o kobietę, nie na odwrót. A ty widziałaś mnie w najwyższym stopniu poniżenia i bardzo cię za to przepraszam. Żałuję też wielu innych rzeczy, a przede wszystkim tego, że wtedy po prostu odwiozłem cię do domu. Miałem nadzieję, że mogłabyś zapomnieć o tym, co się wydarzyło.

- I tylko dlatego się tu tłukłeś? - Powinien zdawać sobie sprawę, że ona nie plotkuje. No, chyba że na temat rozwiązłości Jane Young. - Nigdy nikomu nie powiem, co zaszło. - Sama została porzucona na wycieraczce, o tym też raczej nie miała ochoty rozpowiadać.

- Nie martwię się, że komuś wygadasz. I to wcale nie jest jedyny powód, dla którego tu jestem. Chodzi o coś więcej.

Więcej? Nie wiedziała, ile jeszcze da radę na siebie przyjąć, nim znów rozpadnie się na kawałeczki. Tak jak poprzedniej nocy, kiedy ryczała przez całą drogę do domu. Cieszyła się tylko, że nikt jej nie widział.

- Przykro mi, że doprowadziłem cię wczoraj do płaczu. Cholera. Było ciemno, a po jej policzku spłynęła jedna jedyna łza. Szkoda, że to zauważył. Szkoda, że nie potrafiła lepiej nad sobą panować.

- Nie chcę, żeby to się kiedykolwiek powtórzyło.

To mogłoby się udać wyłącznie wtedy, gdyby Vince wyjechał i dał jej czas na wyleczenie ran. Cofnęła się o krok i sięgnęła ku gałce u drzwi. Oczy ją piekły i czuła, że jeśli Vince nie wyniesie się natychmiast, znów będzie miał okazję oglądać ją we łzach.

- To już wszystko?

- Została jeszcze jedna rzecz, którą zamierzałem ci powiedzieć.

Spuściła wzrok, wpatrując się gdzieś w okolice trzeciego guzika jego koszuli.

- Co takiego? - Nie miała pojęcia, co jeszcze można by dodać. Chyba pożegnanie.

Wziął głęboki wdech i wyrzucił z siebie:

- Kocham cię.

Sadie spojrzała mu w oczy, a spomiędzy jej warg wydobyło się tylko krótkie:

- Co?

- Mam trzydzieści sześć lat i po raz pierwszy jestem zakochany. Nie wiem, jak to o mnie świadczy. Może po prostu czekałem na ciebie całe życie.

Sadie otworzyła szeroko usta i wciągnęła haust powietrza. Trochę kręciło jej się w głowie, jakby zaraz miała zemdleć.

- Vince. Czy ty właśnie wyznałeś, że mnie kochasz?

- Tak, i cholernie mnie to przeraża. - Z trudem przełknął ślinę. - Tylko proszę, nie dziękuj.

Przygryzła wewnętrzną stronę policzka, by się nie uśmiechnąć albo nie zacząć drżeć, albo by uniknąć obu tych rzeczy.

- A ty mówiłaś całkiem poważnie, kiedy wyznałaś, że mnie kochasz?

Pokiwała głową.

- Kocham cię, Vince. Myślałam, że zostaniesz zwykłym znajomym, z którym łączą mnie seks. Ale potem stałeś

się dla mnie prawdziwym przyjacielem. Przyniosłeś mi colę i cheetosy. I się zakochałam.

- Cheetosy? - Zmarszczył brwi. - I to wystarczyło? Nie, oczywiście, że nie. Powodów znalazłoby się o wiele więcej.

- Uratowałeś mnie, Vincencie Havenie. - Zbliżyła się 0 krok i zadarła głowę, by popatrzeć mu w oczy. Był przy niej zawsze, gdy go potrzebowała.

- Zawsze będę cię ratował.

- A ja będę ratowała ciebie. Kącik jego ust wygiął się w górę.

- Przed?

- Przed tobą samym. Przed świętowaniem trzydziestych siódmych urodzin beze mnie.

Ujął jej twarz w dłoń.

- Kocham cię, Mercedes Jo Hollowell. Nie chcę żyć bez ciebie ani dnia dłużej. - Pogładził kciukiem jej policzek

1 dolną wargę. - Ten sukinsyn Sam Leclair powiedział coś mądrego. O tym, że nieważne, gdzie stoi twój dom. Liczy się to, z kim go dzielisz. - Pocałował ją i wymruczał z ustami przy jej ustach: - Boże, nie znoszę, kiedy on ma rację.

Sadie zachichotała i chwyciła Vince'a za rękę. Czasem to nie miejsce okazywało się kotwicą, lecz osoba. Ranczo było jej domem. A Vince jej kotwicą.

- Chodźmy.

- Dokąd?

- Gdzieś, gdzie będziemy mieli trochę więcej prywatności, żebyś mógł wyratować mnie z tych ciasnych dzinsów. A ja wyratuję cię z twoich znoszonych spodni.

- *Hu-jaa.*